NIEZAPOMINAJKI.

Rok siódmy.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu prawem przepisanéj liczby Exemplarzy.

W Warszawie dnia 29 Lipca (10 Sierpnia) 1844.

Cenzor Starszy i Naczelnik K. K. C.

Niezabitowski.

NIEZAPOMINAJKI.

NOWOROCZNIK

NA ROK

1845

WYDANY

PRZEZ

Karola Korwella.

Ozdobiony rycinami.

WARSZAWA.

W Drukarni Stanisława Strąbskiego.

Nakładem Wydawcy.

Korrekta Autora.

NIEZAPOMINAJKI.

Za cichym borem,
Po nad jeziorem
Błonie się stroi w kwieciste wianki,
Pstrzą się tam w kole,
Jaskry, kąkole,
Złote dziewanny, białe rumianki,
I mak pąsowy z jasnemi głowy,
I żółte dzwonki.
A po nadbrzeżu owéj mozajki,
Niby wezgłowia tego koronki
Błyszczą niezapominajki.

I wbiegła Hanka na błonie,
Śmiga lekkiemi nóżki,
To raz w zieleni tonie,
To goni złote muszki;
To znów pstrego motyla,
To się po kwiaty schyla.
W oczach szczérość, uciecha,
Róża gości na twarzy,
Do kwiatków się uśmiecha,
I o motylkach marzy.
Kwiatki w białéj jéj dłoni,
Zda się, śmieją się do niéj:
Ona pełna wesela
Płynie daléj i daléj,
Jak łabędź po téj fali,
Z kwiatów trawy i ziela,
Po téj z balsamów wodzie,
Złotéj w słońca zachodzie.

I Hanka czarująca
Patrzy się słońcu w oczy,
I śmieje się ze słońca,
Że się powoli toczy,
Z jego pyzatéj twarzy,
Co się purpurą zarzy.

I znów zwraca swe oczki
Na jaskrawe obłoczki,
To z pustotą kobiécą
Prześciga je, gdy lecą,
To znów patrzy z pod ręki
Na ich lekkie sukienki
Pełne złota i szkliwia,
Gdy je słońce ożywia.

A czernieje bór szary,
Nikną góry w oddali,
Tylko szczyt się ich pali;
Brzęczą rojne komary
Szumią muszki brzęczące,
Rosa perli po łące;
Żabki skrzeczą przed nocą,
Ptaszki gdzieś tam swiegocą
A Haneczka urocza
Staje u wód przezrocza.

Patrzy, aż tu malutka
Błękitna niezabudka,
Skromna, smętna i cicha
Nad jeziorem oddycha,
A więc główeczkę skłoni,
I zaduma się o niéj.

Ile ziarnek w makówce,
Tyle dumek w téj główce,
A każda jasna, chyża,
Jakby z gazy uwita,
Do oczek się przybliża
I łeskami je wita,
Lub w promykach radości
Na usteczkach jej gości.—
Co w tej główce owadków,
Ile sieci pajęczy,
Ile fijołków i bratków,
Ile chmurek i tęczy,
Ile psotek w tej główce,
Co tam smiéchów, słodyczy,
Ten zgadnie, kto policzy
Ile ziarnek w makówce.

A więc zgaduj zgaduła,
Co téż myśli nieboże,
Niezabudka ją może,
Jakimś smutkiem osnuła;
Kwiaty mają uroki,
Mowę mają ich prątki,
Szczęście mknie jak obłoki,
Jako błękit pamiątki.

Hanka stoi milcząca,
Miesiąc promyki sieje,

Patrzy w oczy miesiąca,
Z miesiąca się nie śmieje.

Tu znowu gwiazdka cicha
Na niebiosach się miga,
A Hanka tylko wzdycha,
Gwiazdeczki nie prześciga.

W oczach jéj błyszczą łeski,
W sercu smutek z tęschnotą,
Czyż przeszłość szczéro-złotą
Przypomniał kwiat niebieski.

Hanka niéma przeszłości
Dzień dnia jakby był cieniem,
Więc pamiątek zazdrości,
I wzdycha za wspomnieniem.

Kwiat mówi „niezapomnij"
Pierś się jéj żalem wzdyma,—
I czegóż nie zapomnić?
Gdy zapomnić nic nie ma.

Antoni Czaykowski.

UBIOR DAWNY
DZIEWICY POLSKIÉJ
W WIEKU XVII.

(Z rysunkiem).

W okręgu wolnego miasta Krakowa, o 5 mil odległości od tegoż, za Krzeszowicami, leży miasteczko Trzebinija. W grobie kościoła parafialnego tegoż miasteczka, pod wielkim ołtarzem, znajduje się dotąd w całości zachowana trumna, która obejmuje dosyć jeszcze w całości przechowane ciało młodej dziewicy. Na tej trumnie przytwierdzona jest blacha cynowa, lub ołowiana, na którćj wymalowaną jest dziewica klęcząca przed obrazem Najświętszej Panny, w ubiorze na głowie i sukni jak się tu przedstawia. Malowanie to ma około 8 calów wysokości, a 6 szerokości.

Na drugiéj stronie tej blachy znajdują się czarną farbą wypisane następujące miłej rzewności wiérsze:

Dobra noc świecie!... Bóg was żegnaj miły,
Moi mili rodzice!... Już com miała siły
Śmierć mi odjęła: bo gdy zmierzch wieczorny
Umarł, ranny mi ożył, dzień pozorny.





Sinokewski rys. w Lit. J. V. Fleck & C.

Ubior dawny dziewicy Polskiej w Wieku XVII.

Dobry dzień niebo!... Wielbij duszo moja
Pana, — wiecznego nabywszy pokoja.

R. 1658 umarła Elżbieta Eljaszowiczówna
Kuźnikowna.

* * *

Wyobrażenie to, przypominające dawny ubior Polek, przedstawia zapewne córkę dziedzica jednej wioski, do parafii Trzebińskiej należącéj; — czego domyślać się należy częścią z ubioru jéj, wskazującego lepszy byt ziemiański; częścią z téj okoliczności, że dziewica ta pochowaną została w grobach kościelnych, a cześć tę zwłokom zmarłych wyrządzano tylko osobom, których położeniu los sprzyjał.

Godną dalszego rozwinięcia byłaby myśl ta, aby podobne pamiątki z dawnych czasów pozostałe, razem zebrane i w obrazkach przedstawione były: mileby one nam przypominały ubiory prababek naszych.

Ambr. Grabowski.

UŁAMEK.

Gdy pierś grała młodością jakby chóry grzmotu,
Gdy świat mi się przymilał uśmiéchem dziecięcia,
Wtedy, by w róż objęciach pragnąć wniebowzięcia,
Nie brakło piersiom ognia, marzeniom polotu!

Lecz gdy świat pomarszczoną, starą twarz odsłonił,
Gdy pierś młoda oziębła wśród gradowéj burzy, —
O! dzisiaj zamiast pączka woniejącéj róży,
Z większą roskoszą echa piorunu bym gonił! —

W jego grobowe dźwięki wpoiłbym się uchem,
I moją myśl zadumał nad marzeń zwaliskiem,
Jaki pomnik przeszłości otoczył uściskiem,
Do staréj księgi czasu przylgnął całym duchem! —

Na zwiędłéj niwie marzeń dziś nie wschodzą róże,
Promienna myśl przyszłości nie rozjaśnia ciemnic,
Pierś otwarta oddechem wciąga w siebie burze,
Oczy słupem stanęły nad księgą tajemnic.

E. W.

PAN STAROŚCIC.

POWIASTKA.

1.

Było stare obszerne starostwo między Dniestrem i Prutem; kiedy je sprzedano, każdy właściciel wioski chciał być tytułowanym Starostą. Po obliczeniu wszakże ścisłym, okazało się, że byłoby ich aż trzydziestu; na walnym przeto zjezdzie nabywców uradzono, aby najstarszych wiekiem i odznaczonych rozumem, utytułować Starostami. Ale cóż zrobić z resztą? *In vinum veritas,* przy uczcie rozcięto i ten węzeł gordyjski. Postanowiono uczcić nabywców innemi tytułami cywilnemi, a reszta co służyła wojskowo przestała na podwyższonych rangach i tak: Podoficerowie starej daty zostali Porucznikami, Porucznicy Kapitanami i Majorami — a Major z chorągwi janczarskiej aż Jenerałem! I w świętej zgodzie nowo-mianowani rozjechali się na dziedziczne siedziby.

Już prawie wszyscy wymarli kiedym przybył w tamte strony; z napisów nagrobowych zebrałem tylu dygnitarzy: dychał jeszcze ale krótko Jenerał, i prawił o

swoich wyprawach; w parę miesięcy i ten się przeniósł do wieczności. W mowie pogrzebowej którą rzewnym głosem wydeklamował jego przyjaciel i domownik, dosłyszałem nowe faktum historyczne, że ten Jenerał mający lat 76 skończonych miesięcy 5, i 3½ dnia życia, był Hussarzem przy boku Króla Jana Sobieskiego, i on to Papieżowi odwoził z rozkazu bohatéra chorągiew Mahometa zawieszoną w Kapitolium. Obecni kiwali głowami z podziwienia nad tak potężną sędziwością, jam obliczył, że gdy umarł, musiał mieć nie więcej jak 157 lat.

Po śmierci przedwczesnéj tak walecznego Jenerała, ze wszystkich dygnitarzy tego starostwa został wiekowy Starosta: człowiek wesoły i uprzejmy. W zimie grał w maryasza na zdrowaśki, latem pilnował ogrodu i smażył konfitury; miał kilkoro dzieci, najstarszy był pan Krzysztof i o nim to mamy mówić.

Zaczynamy od opisania postaci w brew zwyczajowi dawnych naszych pisarzy, którzy téj części biografii zaniedbywali, i przez to wiele zeszczerbili stare postacie, bo teraz dziwolągi z nich robią poeci i powieścio-pisarze.

Nasz pan Krzysztof był statury nie małej, rosły i pękaty, bo był i tłusty i dźwigał brzuch duży przed sobą. Czuł on zawsze dobry humor swego pana, bo gdy był wesoły, klepał się po nim, i pluł na pułap. Było to piękne usposobienie duchowe, wymównie świadczące, że pan Krzysztof myślami nie przykuwał

się do ziemi, ale wyżej nad ziemię poglądał. Na koniu nie jeździł nigdy, strzelby w ręku nie trzymał i wiele miał z przyrody zajęczej, bo i sercem i odwagą, a co szczególnego i oczyma. A! bo też oczy miał duże, wypukłe, bywało dwie nocy gra w wista, odrzuca dobrze, i bije dobrze, oczy zawsze otwarte, a spał wśród gry, i chwalił się że się wywczasował dobrze. Umarł niedługo ojciec Starosta poczciwy. Pan Krzysztof sprawił mu suty pogrzeb, na nagrobku kazał wyryć herb z napisem: że tu spoczywa ostatni Starosta Królestwa Polskiego; objął majątek, i przy stypie odebrał tytuł ojcowski, niestety zdrobniały, bo go mianowano Starościcem. Martwił się tém nie mało, nie mogąc wynaleść sposobu jakimby tytuł ten uchować w swoim rodzie. Jak się ożeni będzie miał syna, i umrze, jakże jego potomka utytułują sąsiedzi? Bo ze Starosty, można zrobić Starościca, ale ze Starościca— już nic. O! wieleż to ranków przedumał w goryczy, te chwile przecież były wypoczynkiem jego brzucha, bo wtedy więcej go nie klepał, i nie pluł na pułap ale na ziemię, i słusznie, bo o ziemskich marnościach myślał. Czas przecie ułagadza i największe cierpienia; począł myśléć o małżeństwie, i zwolna czynił do tego jak wyrażał *zawodu*, gospodarne przybory.

Była w sąsiedztwie młoda, miła, urodna i posażna Matylda, sierota—bo bez matki; ojciec surowy w obejściu, rozumiał że panny za rozkazem powinny iść za mąż, a nie za sercem. Na tę dziewczę obrócił spoj-

rzenie wypukłe pan Krzysztof; obliczył że dostanie 3,000 dukatów zaraz, a po śmierci Chorążego więcej. Wysłał więc w swaty po kilku oględzinach, pana Pułkownika świeżéj daty, człowieka mównego, a w obejściu nadzwyczaj ujmującego. Zajechał Pułkownik w pięć koni suto, trzaskać kazał, a pędząc galopem zręczny stary wiarus osadził w miejscu przed samym gankiem ogniste rumaki. Chorąży rad go widział u siebie, Matylda mile patrzyła; ale Pułkownik żołnierz duszą i ciałem ani pomyślał o żonie. Po przekąsce dopiéro oświadczył pana Krzysztofa. Matylda z drugiego posłuchawszy pokoju omal nie zemglała, gdy Chorąży głaszcząc czuprynę poważnie wyrzekł.

— Owo tedy mój Moci Pułkowniku, dobrzeć to wszystko, ale czy czysta *tabula* pana Starościca. Ród to dawny i znany u nas, ale to młodzieniaszek, lubi karteczki mój Moci. Folwark ma niezły, sieje do pięćdziesiąt korcy pszenicy, przeszło trzydzieści kukurydzy, ma i łąki i lasek; jest tam, jak to mówią i ryby i grzyby i łąka, i mąka, aby był statek i głowa!

Pułkownik zachmurzył czoło.

— No! no! mój Moci Pułkowniku nie gniewaj się Moci, jać żyłem ze Starostą śp. a ojcem pana Krzysztofa w przyjaźni, i nie odmówię mojej dziewki byle się nie znalazło coś przeciw konkurentowi. Matyldziu! Matyldziu! donośniej na córkę zawołał, a biedne dziewcze blade ze łzą w oku, drżąc z bojaźni stanęło przed ojcem.

— Moja dzieweczko, mówił Chorąży całując ją w czoło i głaszcząc, wszak ty pójdziesz za staróścica, ja wiem mój Moci (to mówił obrócony do Pułkownika) że moja dziewka nie odmówi, gdy ojciec tak życzy....

Biedna Matylda padła ojcu do kolan, zapłakała rzewnie, bo cóż jej zostało na obronę, gdy matkę pochowała niedawno. Chorąży pocałował ją szczérze, otarł łzy i wyrzekł.

— No! no! dobrze moja dzieweczko! ty wiesz że cię kocham serdecznie, a dzieci posłuszne mają błogosławieństwo boskie.

Matylda ze ściśnioném sercem wybiegła do swego pokoju, i łkając rzuciła się na szyję poważnéj wiekiem ochmistrzyni.

— Najsłodsze imię Jezus! zawołała przerażona, a cóż to paniuleczce?

— Moja Linosiu! ja umrę! mnie chcą wydać za mąż!

Pani Linowska odetchnęła z przestrachu; no! czy tylko to? i uśmiechnęła się wesoło.

— Ale nie wiesz moja Linosiu.... z płaczem rzekła Matylda.

— No i za kogóż panułeczku?

— Za starościca Krzysztofa!

— Co, za tego z baraniemi oczyma:—i załamała ręce poczciwa niewiasta.

— Za tego samego, ze łkaniem odrzekła Matylda,

co go jako tchórza młodzież palcem wytyka — co nie umie ruszyć nogą w tańcu, chyba suwa się jak baryła w polonezie!

— A któż go rekomendował panu Chorążemu?

— A któż inny — pan Pułkownik?

— Pułkownik? mówiła ochmistrzyni z podziwem, a przyznam się panuleczce, wolałabym Pułkownika choć starszy, niż młodego a takiego niezdarę. I Jegomość już dał słowo?

— A już dał, jęknęło dziewcze, i już po wszystkim. O moje miłe marzenia w coście się obróciły! Nieraz moja Linosiu marzyłam jakiego będę miała pięknego męża — odważnego; widziałam jak hasał na dzielnym koniu, jak celnie strzelał, widziałam kresę na mężnego czole i krzyż krwią zdobyty na polu sławy w obronie pięknej sprawy. Wszyscy go kochali, szanowali! A teraz co? o mój Boże, dostaje mi się młody, prawda, ale twarz babia; czy uważałaś Linosiu że mu faworyty ani wąsy nie rosną—gęba tłusta, baranie oczy, a widziałaś ręce—jakie palce, jak kiełbasa; na każdym pierścionki, i co na dobitkę kulczyki w uszach. O, nie cierpię u mężczyzny kulczyków i pierścionków.

I biedne dziewcze, wstrzęsło się od wstrętu.

— Moja panuleczku, ufaj Bogu; on to wszystkim rządzi, jeżeli odmieni—dobrze, jeżeli nie,—snać taka święta jego wola.

Matylda płakała całą noc, ochmistrzyni modliła się, przewracała paciórki, paliła świece, i pod pozorem

że spać nie mogła, czuwała nad biednym dziewczęciem. Ona je wypiastowała na swoich ręku, ona przysięgła matce umierającej czuwać nad dzieciną: po modlitwie postanowiła więc choć drżała przed Chorążym, przedstawić mu wszystko i oprzeć się przewidzianemu nieszczęściu Matyldy.

Po śniadaniu więc, mówiąc pod Twoją obronę, weszła do komnaty Chorążego, gdy ten przeglądał jakieś papiery świeżo nadesłane.

— Wszystko dobrze, mówił do siebie, tabula czysta, długów nie ma, chłop młody, to i basta, słowa nie cofnę.

Linowska powitawszy starca, zaczęła kaszleć niewiedząc jak zacząć.

— Coż mi Waszeć masz powiedzieć? no, gadaj i siadaj.

— A przyszłam do Jegomości, bo panna nam całą noc płakała.

— Ho! ho! taka trwoga to od Boga, będzie szczęśliwą jak pójdzie za Starościca.

— Ale proszę Jegomości kiedy panna nie kocha jego.

— Co! co! zawołał z gniewem Chorąży, czy jakie romanse.

— Ale nie ma tu żadnych romansów, tylko Starościca nie kocha.

— Kocha, nie kocha, rzekł groźnie Chorąży, to mi wszystko jedno; ale pójdzie za tego kogo jej daje i basta. — Wieś dobra, chłop młody — będzie błogosła-

wieństwo, a Wacpani nie kładź palca między drzwi, bo ci go przyskrzypią.

Poczciwa ochmistrzyni zalała się łzami i odeszła: Chorąży w gniewie pokręcił wąsa — los Matyldy już się rozwiązał.

2.

Z przepychem odprawiono wesele młodéj pary: kapele aż ze Lwowa sprowadzono, przystrojono wspaniale łożnice, na amarantowéj aksamitnej tarczy błyszczał herb rodzinny. Pan Krzysztof pod pozorem że śp. ojciec miał order maltański i był kawalerem maltańskim, zrobił miłą niespodziankę sąsiadom, przyjaciołom, panu Chorążemu, i swojéj narzeczonéj, występując w pąsowym suto haftowanym mundurze do ślubu. Diak chcąc uczcić swego dziedzica, dzień tak uroczysty, palnął z wiwatówki, czém konie tak popłaszał, że ledwie goście zaproszeni na obiad wieczorem przybyć mogli. Mimo to, wszystko odbyło się w porządku, po cukrowéj kolacyi pan młody nową sprawił wszystkim niespodziankę, bo spił się jak bela, a gdy jeden z przyjaciół Chorążego, miał mowę okrągłymi słowy w imieniu ojca, oddając córkę mężowi, krewni pana Krzysztofa dla przyzwoitości przynieśli go do wysłuchania długo prawiącego oratora. Chorąży zmarszczył czoła, mruczał coś groźnie, ale było po czasie. Wujaszek Starościca pan Wincenty wymawiał go słabością głowy że mu i kieliszek wadzi.

— Mój Moci, myśmy za naszych lat po trzeźwu się żenili, było też po Bogu, zgodnie i poczciwie. — I nie czekając jeszcze kolejki węgrzyna, ucałował ze łzami Matyldę, pobłogosławił i odjechał.

A Matylda? zmartwiała, odpowiadała niezrozumiale przy ołtarzu, patrzyła obojętnie w około na wszystko, przyciskając rękę do zbolałego serca.

Przywiązana Linowska zamknęła sypialnię bogato przystrojoną, rozebrała Matyldę ze ślubnego wieńca i sukni, poczém obiedwie głośno się modliły płacząc rzewnie. Matylda kiedy powstała, spójrzała na herb i kotarę srebrem haftowaną, załamała rączęta a rzucając się na szyję zacnéj ochmistrzyni zawołała:

— Moja Linosiu! uciekajmy ztąd, ja tu nocy nie prześpię!

— Najsłodsze imię Jezus, a panuleczce jakież myśli przychodzą? Jak to od męża? A cóżby na to świat powiedział, co ludzie?

— Ach! cóż mi do ludzi i świata! uciekajmy; ja w swojéj komnatce usnę spokojnie, a tu bym umarła. Uciekajmy moja najdroższa, na pamięć matki mojéj zaklinam. I padła przed poczciwą matroną na kolana, złożyła ręce na piersi wznosząc oczy łzami zalane.

Linowska nie mogła znieść dłużéj tego widoku.

— Dobrze panuleczku! dobrze! tylko cicho! jest tu bryczka co mnie miała odwieść do domu, siadajmy, ale powoli, powoli, tylko panuleczkę okryję.

Zarzuciła salopę na Matyldę, złożyła w zawinięciu suknie ślubne i wianek, cicho i skrycie wyszły na ganek, wsiadły na bryczkę—i galopem pognały do dworu Chorążego. Cicho zajechały przed ganek, ciszej wysiadły. Chorąży nie spał, odmawiał modlitwy. Na palcach przebiegła Matylda koło drzwi niedomkniętych, usłyszał chód cięższy ochmistrzyni. Uchylił podwoje, a zobaczywszy zmieszaną matronę, rzekł drżącym ze wzruszenia głosem.

— A cóż tam moja dzieweczka?

Gdy Linowska miasto odpowiedzi głośno załkała, starzec porwał ją za rękę, wciągnął do swej komnaty, i patrząc gorżko począł płakać. Matylda w cieniu ukryta padła na kolana.

— No! no! dość tych beków, przerwał Chorąży ocierając oczy, jakże się ma? czy mnie nie przeklinała?

Linowska zdobyła się na mowę.

— Kto, panuleczka nasza, a toć to Anioł, a biedna i nieszczęśliwa! Ona się tylko modlić i płakać umie.

Chorąży załamał ręce i westchnął boleśnie.

— Nie masz już mojej dzieweczki, nie ma komu dobranoc powiedzieć! — i płakał jak dziecię, a wypchnąłem ją z domu jakby ciężar, jak sierotę.

Matylda słyszała wszystko, mało jej serce z żalu nie pękło; skoczyła, a padłszy na kolana przed starcem poczęła ręce i nogi jego całować. Groźny Chorąży nie wyrzekł słowa, przytulił ją do serca, całował i z rado-

ścią patrzał na nią, jakby ją z dalekiej powitał podróży.

A pan Starościc nowożeniec, spał w mundurze maltańskim jak nie żywy! — Taki to był dzień ślubny biédnej Matyldy.

Gruchnęła wieść po okolicy że Matylda uciekła od męża, przyjaciele Starościca znajdowali w tém powód haniebny; złe języki oczerniały skromność i cnotę biédnej ofiary. Nikt pojąć nie mógł prostéj prawdy, każdy wyszukiwał nadzwyczajne a skryte i brudne powody. Już wskazywano palcami kochanków tajemnych Matyldy, z którymi wiązać ją miały stosunki.

Kobiéta, mówiono głośno, która nie cierpi narzeczonego, powinna przed ślubem zerwać wszystko, ale gdy przed ołtarzem przysięgła, winna dotrzymać święcie swojej przysięgi.

Doszły te wieści do uszu Chorążego. Starzec poznał swój błąd wydawszy córkę, dziś czuł obrażony honor domu; potrzeba ocalić ją, której dobre zniesławiono imię. Kiedy wrócił od sąsiada, gdzie go zdala dochodziły tak bolesne odgłosy, poszedł do pokoju Matyldy.

Klęczała ona przed obrazem swéj matki, blada, pogrążona w zadumie, nie słyszała nawet jak wszedł sędziwy starzec. Chorąży stanął na progu, wlepił w klęczącą oczy, ścisnęło się mu serce, a ból wylał się łzami na zmarszczone lica.

— Moje dziécię! biédna moja dziewuszko! cóż ja

począć! a przecież dla jej sławy, dla zatłumienia potwarzy, potrzeba smutnej ofiary! I wyciągnął drżące ręce, wołając z płaczem:

— Dziewko moja! czyż mnie nie widzisz?

Matylda odwróciła głowę, zobaczyła starca, ale nie poruszyła się z miejsca; zbladła bardziej i wyrzekła z cicha:

— Czy on przyjechał?

— Kto taki?— zapytał zdziwiony Chorąży.

— A któż inny jak nie mój mąż, i pan! dodała z szyderskim uśmiechem, od ołtarza wszakżem jego niewolnica. A tyś, mój ojcze, wyrzucił z gniazda swego ptaszę młode, jakbyś nie kochał, a cóżem ci zawiniła.

Starzec zadrżał, i w niemej boleści stanął oparty o ścianę ocierając oczy.

Matylda widziała jego cierpienie; wstaje, sadza ojca w krześle ulubioném matki przed jej wizerunkiem, sama przyklęka u nóg jego.

— Patrz mój ojcze, to portret mojej dobrej matki, gdyby ona żyła, ja bym nie była tak nieszczęśliwą.

Starzec przycisnął jej rękę do serca w milczeniu.

— Ja wiem co mówię, w okolicy zniesławiają mnie, posądzają o tajemne miłostki. O ludzie! ludzie! z waszą sprawiedliwością. Widzę, mówiła powolnie, opierając głowę na kolanach ojcowskich, że muszę opuścić dom rodzinny, i jak ofiara, której niedługo żyć na Bożym świecie, iść tam, gdzie mnie przysięga wiąże. Czyś to chciał powiedzieć mój ojcze?

Starzec skłonił tylko głową potwierdzając jéj domysł.

— Ale mój ojcze, i całowała jego ręce — przyrzeknij tu przed obrazem mojéj kochanéj matki, że mnie co dzień odwiedzisz, że ja często będę mogła tu przyjechać by odetchnąć wolniej. Ten pokoik niech zostanie jak jest, ja tu sobie popłaczę, zabawię z tobą. Zachowaj mi i te kanarki w klatce, i moje sprzęty, bo przeczuwam, że tu nie raz potrzeba będzie nabierać odwagi do zniesienia mego losu.

Chorąży przemógłszy boleść z cicha wyrzekł:

— Więc mogę pojechać, i zapowiedzić twój powrót?

— Jedź! jedź mój ojcze! rzekła powstając! — jestem gotowa! A teraz uściśnij mnie mój ojcze i pobłogosław! Starzec jak dziecię w głos się rozpłakał, przycisnął do serca Matyldę, i wybiegł co rychlej do swej komnaty.

3.

We dworze u pana Starościca choć już tydzień od czasu wesela upłynął, huczno bawili przyjaciele przy stole biesiadnym, jakby to były gody. Pan Krzysztof lubo zachęcał do picia, siedział osowiały i wzdychał głośno. Nie trapiła go miłość serca, bo téj nigdy nie czuł, ale obrażona miłość własna. — Od tygodnia nie grał w ulubionego djabełka, a co najdziwniejsza przy

stole po wypiciu tylko butelki wina, pił czystą wodę ze strugi. Wszyscy patrzyli nań z litością.

— Ktoby się spodziewał, zawołał kartując talję do wista, pan Wincenty wujaszek Starościca, iż do tego stopnia zepsucie u naszéj szlachty doszło, aby żona po ślubie uciekała od męża. Gdybym był jéj ojcem, pięćdziesiąt rózeg dałbym publicznie ojcowską ręką, i przywiózłbym głupią dziewczynę do męża.

— A wieleż masz dzieci Wacpan Dobrodziéj?— zapytał sędziwy i zacny proboszcz, co ślub dawał.

— Ani jednego, czyż o tém nie wié reverendissime,

— Znać to po mowie Wacpana Dobrodzieja, dodał proboszcz, bo nie wiesz co to serce ojcowskie, i jak drogie jest dziecię; a to przecie jedynaczka.

Starościc westchnął bardzo głośno, i mruknął: „A ja ją tak kochałem!”—ale ton mowy okazywał zaraz, że tak kocha wszystko, co do jego wygody służy.

Pan Wincenty już się gotował na nowe pioruny przeciw Matyldzie, gdy spójrzawszy w okno, wykrzyknął zmięszany:

— A to co? stary Chorąży — albom oślepł.

Zbladł Starościc i wybiegł na ganek. Chorąży blady i cierpiący podał mu uprzejmie rękę wysiadając z kolaski. — Mam coś do pomówienia z Waszecią Mości panie zięciu, na osobności — proszę do osobnéj alkowy.

Starościc zbladł więcéj, i wprowadził gościa do sali.

— Nieprzeszkadzam, rzekł starzec skłaniając gło-

wą poważnie, i przeszedł z zięciem do odległego pokoju. Gdy usiadł, Starościc stanął przy drzwiach z uszanowaniem.

— Chodź wasze bliżej, i posłuchaj:

Starościc stał nie poruszony.

— Prawnie, Waszeć — (mówił Chorąży z wolna oddychając, jak bólem drażniony) — zostałeś moim zięciem, i z mojéj woli, popełniłem błąd; bom nie zapytał mojéj córki czy ma do Waszeci afekt. Twoi przyjaciele czernią sławę mojego domu, zniesławiają dobre imię mojéj córki, a Waszeci małżonki; czyż zasłużyła na to, za mały błąd, ale z winy Waszeci pochodzący, że uciekła po ślubie. Czyż waszeć nie leżałeś opity jak bela.

— Panie Chorąży Dobrodzieju, jak Boga kocham nie moja wina, taką słabą mam głowę, a pili w ręce, zaklinali jak węża, jak nie wypić!

— A to Waszeć masz wyborną wymówkę dla siebie, a dla mego dziecięcia nie znalazłżeś żadnej. Cóż dziwnego, że gdy nie znalazła tego przy swym boku, który zaprzysiągł być jéj przyjacielem i opiekunem dozgonnym, sama w cudzym domu, przejęta trwogą, uciekła na rodzica łono, przytuliła się do jego serca!

— Ja nic, jak Boga kocham panie Chorąży nie mówiłem o tém, to najwięcej gadał wujaszek pan Wincenty.

— Kto! ten gracz, rozpustnik, zawołał Chorąży powstając nagle, a prowadź mię Waszeć niech mu

zajrzę w oczy. I porwał za szablę probując czy łatwo z pochwy dobywać, wsadził rogatywkę na głowę, a ciągnąc za rękę drżącego z bojaźni Starościca, wbiegł na salę. Wszyscy powstali z podziwieniem.

— Jest tu jeden w tym gronie, co śmiał znieważać moją córkę, a Starościca małżonkę, niech wystąpi tak śmiało, jak bezczelnie szargał językiem. Panie zięciu, przynieś Waszeć augustówkę swego ojca, moja jednéj z nią miary, chociem stary, Bóg dobréj sprawie pomaga.

Milczenie powszechne; nikt nie wystąpił....

— Kiedy tak, jak jest podły, jest nie śmiały, zawołał Chorąży wlepiając oczy w oblicze pana Wincentego, który bladł i czerwieniał, muszę tego nikczemnika wymienić, i jak publicznie szarpał, tak go publicznie znieważę. To mówiąc, dobył szabli, ujął ją w lewą rękę, z prawą wzniesioną posunął się naprzód.

Sędziwy proboszcz, szanowany powszechnie, zmiarkował zamiar Chorążego, wiedział kto ulegnie zniewadze haniebnej. Pan Wincenty drżący i blady stał oblany potem bezwładny w miejscu. Zasłonił go więc sobą, wstrzymując rękę Chorążego.

— W imię Boga, upamiętaj się panie Chorąży! czyż tak się mamy mścić na naszych wrogach, czyż tak odpuszczamy winy?

Chorąży opuścił rękę, a zmęczony wewnętrzną walką upadł na krzesło. Starościc tymczasem nadszedł niosąc augustówkę.

—Panie Chorąży Dobrodzieju, odetchnąwszy z przestrachu przemówił pan Wincenty, niech mię piorun trzaśnie jeżeli co złego mówiłem.

Proboszcz z pogardą na niego spojrzawszy wyrzekł:

— Zapomnij panie Chorąży o złych językach — przebacz, i obmyśl szczęśliwszą przyszłość dla dziecka swego.

— Córka moja, mówił Chorąży, wraca w dom mężowski, bo odjechała nie dla czego innego, tylko, że jej mąż bezprzytomny....

— Panie Chorąży! zawołał na wpół z płaczem Starościc, całując go w rękę, przebaczenia i zapomnienia. Już tak nigdy nie będzie. Kiedyż moja żona przyjedzie?

— Jutro, w południe przyjedzie ze mną!

— Dzięki niebu! oby byli szczęśliwi! wyrzekł Proboszcz.

— Vivat! vivat! święta zgoda! wołał pan Wincenty. Siostrzeńcze, wina! wypijem zdrowie kochanego Chorążego, Starościcowéj, Starościca i przyszłéj konsolacyi.

Ale Chorąży nie czekał puhara, zaprosił z sobą proboszcza, i pożegnawszy zięcia, wyruszył do domu.

Starościc uradowany począł skakać na jednej nodze, a gdy trzeci kielich dopijał, wujaszek stanął przed nim, i przemówił jak najpoważniej.

— Mój wujaszku, ja sądzę że na przyjęcie żony, trzebaby mi się ubrać w mundur maltański!

— Co! co! wykrzyknął ze śmiechem pan Wincenty, a cóż to za feta tak wielka!

Widząc jednak zmartwienie pana Krzystofa, dodał szczerze i otwarcie.

—Nie radzę ci mój siostrzeńcze, jak twój dobry przyjaciel; wyglądasz w nim jak małpa, co to je pokazują z niedźwiedziami, a zawsze te przeklęte małpy są w podobnych kolorach. Nie do twarzy ci mój bracie!

— A w cóż się ubiorę, mało nie z płaczem zawołał Starościc.

— We fraku źle, radził pan Wincenty, oto wiész co, włóż czamarę; w niej najlepiej wyglądasz. A mundur maltański spal, byłeś w nim pijany, już go zna żona, prezentowałeś się w nim godnie. W czamarze najlepiej! Teraz pij znowu i baw się, niech ci się marzy że nie masz małżeńskich kłopotów.

4.

W miesiąc później, w pięknym dniu letnim siedziała na ganku Matylda: znikł już rumieniec, a oczy tak żywe i ogniste rzuczające spojrzenia, jakoby lekką mgłą zasnute. Patrzyła to na Prut, co jak wstęga niebieska poruszana wiatrem, spływał w krętym korycie, to na wyniosłe kilkorzędne Karpaty i Tatry śniégiem ubielone. Wśród nich wspaniała *Czarno-góra* dymiła, co oznaczało poblizką burzę z dészczem.

Na obszernym dziedzińcu, kilku z młodzieży hasało na dzielnych biegunach: nagle zatrzymali się przed gankiem, właśnie gdy Staroście wynosił *mandarynkę* dla żony aby się okryła, bo wiatr od śniegów zimny dolatywał.

— No gospodarzu, zawołał młody Henryk, daleki krewniak Starościca, czy nie dosiędziesz konia: patrz jakiego masz bułanka. To mówiąc zwrócił na miejscu, w około klombu pognał w największym pędzie, i znowu osadził przed samą Matyldą. Puść się z raz przecież, pokaż kuzynie a swojej żonie żeś mężczyzna. I złośliwie się uśmiechnął.

— Żem mężczyzna, odrzekł Starościc, nie ma wątpliwości, ale człek żonaty powinien się oszczędzać, wszak prawda moja Matyldziu (tak pieszczotliwie żonę nazywał), że to mi już nieprzystaje. A gdybym kark skręcił ha! albo ja głupi.

— Śliczny bymci pogrzeb sprawił, z uśmiechem wyrzekł Henryk; kazałbym herb twój złamać przy grobie, jako ostatniego bezdzietnego z twego domu!

— Tak, a zostawić wdowę w rozpaczy!

— Z wdową ja się ożenię, i pocieszę twoje smutne cienie.

Matylda spojrzała rzewnie na Henryka, bolał ją żart każdy. A Starościc trochę gniewny zawołał: Mój Henryku, idź do djabła, wiesz że ja o śmierci i o pogrzebach nie cierpię mówić, a jeszcze do tego przy kobietach!

Henryk zwrócił konia, rzucił czapkę i strzelił: Starościc drgnął jakby piorun uderzył mu przy nogach, i zbladły upadł na ławkę. Matylda spojrzała nań boleśnie i ze wzgardą; oblicze męża bez życia zeszkaradziło tchórzostwo nikczemne. W téj chwili, gdyby go nawet kochała, uczułaby pogardę.

Kiedy z zajęciem, odwróciwszy od męża oczy, który pot wyciśnięty bojaźnią ociérał z tłustego oblicza, spojrzała na drogę, krzyknęła z radością: Mój ojciec! mój ojciec!

— A, pan Chorąży! chwała Bogu! dodał mąż wracając do przytomności, powiększy się nasze towarzystwo.

Chorąży zajechał przed ganek, a z nim młody Bolesław syn dawnego przyjaciela z Mazowsza. Średniego wzrostu, kształtnéj postaci, był blady jakby cierpieniami zmęczony, piersi jego zdobił krzyż, nagroda walecznych.

— Mój kochany zięciu, wyrzekł Chorąży uściskawszy córkę, przedstawiam ci syna mego przyjaciela: i resztę na ucho mu dopowiedział. Starościc tylko głosem a! a! proszę! a! a! okazywał swoje zadziwienie. Uścisnął dłoń przybyłego gościa, i pobiegł sam do piwnicy. Młodzież wnet się z Bolesławem zaznajomiła.

— Lubisz pan konie? — zapytał Henryk wesoło.

— O, i bardzo.

— A dobrze jezdzisz?

— Nie źle.

— Czy nam nie pomożesz, mamy tu jednego upartego przeklęcie, każdy już z nas zleciał, ja sam, mówił Henryk z pewną dumą, o tu, tu, przed moją kuzynką zleciałem jak długi.

Matylda z uśmiechem potwierdziła prawdę.

Na blade lica Bolesława wybił rumieniec. — Dajcie mi tu tego ptaszka może ja podołam.

Matylda spojrzała na niego z zajęciem. — Niech się pan nie naraża, Henryk zawsze roztrzepaniec, sam o mało nie poniósł szwanku.

Bolesław skłonił głową, i odrzekł: Dziękuję pani za troskliwość, ale narażenia nie widzę; i przyznam pani, że nie lubię dla próżnej przechwałki, narażać życia.

Henryk już wyprowadził osiodłanego kasztana, rżał on, wspinał się, stawał dęba. Bolesław krzyknął aby siodło zeń zdjęli.

— Jakto ! zawołał przybiegając Henryk z podziwem, pan oklep chcesz go dosiadać ?

Ale Bolesław jednym skokiem siedział już na nim: gdy dziki i rozhukany rumak wspiął się nadzwyczajnie, Matylda krzyknęła i zbladła. Zręczny jezdziec potrafił poskromić zwierzę, które posłuszne teraz ręce i woli groźnej, stąpało przestraszone zwolna lub kłusując.

— To czarownik , zawołała młodzież jednogłośnie. Matylda ochłonąwszy patrzała nań z zajęciem, a stary Chorąży mruknął z cicha ale tak, że córka usłyszała:

„O! czemużem się pośpieszył, to byłby mąż dla mojej dziewki!”

Słowa te, zachowało głęboko serce biednej Matyldy, a gdy Bolesław podjeżdżając zdjął przed nią rogatywkę, i wąsa dumnie pokręcił, Matylda spojrzała nań wzrokiem tak przenikającym, że oblicze jezdzca zlało się purpurą. W tej chwili zasapany stanął Starościc, niosąc opleśniały gąsiorek starego węgrzyna. Matylda ujrzała męża, a tajemny głos jej szepnął:— patrz kto twym mężem. I biedna, odwróciła się od niego ze wstrętem nieopisanym.

Bolesław w największym galopie obiegł podwórze, osadził nagle rozhukanego rumaka przed gankiem, aż zarył głęboko kopytem w darni, a zeskoczywszy lekko, rzekł do patrzącego z podziwem Henryka, rzucając lejce na grzywę. „Nie wart ten koń dobrego ka„walerzysty. Dikszem ja konie ujeżdżał, hulając nie„raz na nich po bujnych stepach! No! prawił dalej wesoło, patrząc ciągle w oblicze Matyldy, widzę strzelacie, odwykła już nieco ręka, ale sprobuję, rzuć co panie Henryku.”

Henryk chciał rzucić czapkę.—Ale cóż znowu, co mniejszego, i porwał jabłko, — rzuć w górę. Henryk wyrzucił, Bolesław kulą rozbił je w powietrzu.

Wszyscy wydali okrzyk podziwienia, Henryk w zapale rzucił się Bolesławowi na szyję i ucałował serdecznie. Chorąży podał mu rękę i rzekł z uczuciem:

— Czemużeś nie moim synem, miałbym się czem poszczycić i stare uweselić lata.

Matylda z bijącém sercem słuchała tych wszystkich pochwał, nie śmiejąc spojrzéć na Bolesława; pierwszy raz poznała uczucie miłości, zamarłe dotąd w jéj piersiach. Trwoga, boleść, żal, radość i drżenie na przemiany ją szarpały. Bolesław czy poznał, czy przeczuł stan biednéj Matyldy, bo westchnął boleśnie, a przyjmując z rąk Starościca kielich starego węgrzyna:

— „Pozwolisz, rzekł, zacny gospodarzu, że wypiję zdrowie piękności i cnoty, a ozdoby naszego towarzystwa."

I zbliżył się do Matyldy, ujął jéj rękę drżącą, pocałował, i rzekł z cicha: — „Bodajbyś pani była tak szczęśliwą, jak ja ci życzę."

— Dziękuję! odrzekła słabym głosem.

Staroście tym czasem chwalił wciąż młodego gościa: „To bardzo przyjemny człowiek, wcale do rzeczy." Spojrzał na chmury zbierające się od dawna. Uciekajmy do pałacu! krzyknął przestraszony, deszcz lunie, burza za pasem, a ja mówiłem że Czarna-góra nigdy daremnie nie dymi.

Matylda korzystając z takiéj przestrogi, wbiegła do swojéj komnatki, już nieco ze swego przestrachu ochłodła. Poraz pierwszy zajrzała w zwierciadło, poprawiła włosów, a piękny warkocz ozdobiwszy świeżą różą, weszła na salę z obliczem promienistém radością, i nowym uczuciem. Nigdy tak piękną nie

była; różnica musiała być wielką, gdy sam Starościc rzekł do Henryka:

— „A prawda kuzynku, że moja żona ładna?"

Bolesław tę prawdę poznał dawniej, bo od chwili wejścia nie mógł oderwać swojego wzroku od jej oblicza.

Chorąży widząc zawsze córkę smutną i bladą, a teraz jakby odrodzoną, w uniesieniu ściskał ją i pieścił.

— Panowie sąsiedzi! zawołał starościc, dészcz leje jak z wiadra, może fajeczki i w wista zagramy?

Ha! dobrze, odezwała się młodzież.

— A Pan Dobrodziéj, zwrócił mowę gospodarz do Bolesława, czy pozwoli z nami.

— Nie Panie, odparł zimno, nie umiém grać w karty.

Starościc stanął osłupiały. Jakto, pomyślał, i taki człowiek nie umié grać w karty? no przynajmniéj choć tem jestem wyższy od niego.

Zasiedli wszyscy do stolików: Bolesław obok Matyldy, przy nim siadł Chorąży. Prowadzili z sobą cichą rozmowę, nim dano wieczerzę, już Matylda poznała dobrze że kocha młodego gościa, i że jej trudno będzie zwalczyć to uczucie namiętności, które się tak silnie i prędko w młodém objawiło sercu.

5.

Prędko dnie płyną w szczęściu i radości: Matylda widząc Bolesława w swoim domu częstym gościem,

to spotykając go w domu ojca gdzie bawił ciągle, nie miała chwili jednéj do rozwagi i zastanowienia nad swojém położeniem. Sercem i duszą przywiązała się do Bolesława, jak ten odpłacał jéj najczulszą wzajemnością. Nastała po dészczowéj i burzliwéj jesieni zima, spadły ogromne śniegi, zaspy przerwały drogi: ze wsi do wsi trudno się było przedostać.

Matylda zadumana siedziała na sofie. Starościc w fotelu wielkim drżymał przy samym kominie, gdzie naniecono suty ogień zwierkowy, wygrzéwając sobie i nos i policzki. Mimo snu głębokiego, trzymał silnie w ręku antypkę z wielkim bursztynem, fajka z popiołem tylko spadła z cybucha, leżała u nóg. Snać śniło mu się że pali jeszcze, bo poruszał ustami jakby dym wciągał i wydmuchiwał wspaniale.

Gardłowym, silnym chrapaniem jego zbudzona z marzenia Matylda, zwróciła nań oczy; jeden rzut oka na uśpionego męża, wywołał rój myśli z przeszłości i obecnego czasu.

— Mój Boże, pomyślała, cóż się ze mną stanie. To ten, do którego przykuła mnie przysięga, a do Bolesława ciągnie mnie serce, ulatują myśli zawsze. Dotąd nie odbiegł mnie jeszcze, mój anioł stróż lat dziecinnych, ale czyż daléj nie narażam się na niepewną walkę, w któréj zostawszy branką, na czole będę miała niesławę, a wzgardę u ludzi—i przekleństwo ojca i męża! Boże! Boże! dodaj mi siły, wskaż drogę do ocalenia! I zakryła oczy tamując łzy rzewne.

Tymczasem Staroście zbudzony, spojrzał obumarłym wzrokiem wokoło, przypatrując się gdzie tak smaczno spoczywał; śniło mu się bowiem, że u Chorążego pożérał kruchy comber sarni, i popijał starego węgrzyna. Kiedy już rozpoznał stanowczo miejsce swego spoczynku, dojrzał kobietę na sofie z pochyloną głową, przypomniał sobie że to jego żona.

— A, a co Matyldziu, wyrzekł poziéwając, i przeciągając się z wdziękiem, nudzisz się kochanie, nie ma nikogo, a tu śniég wali i wali, niewidać żadnego z sąsiadów, a nawet pan Chorąży i nasz przyjaciel Bolesław zapomnieli o nas.

Matylda otarłszy łzy odrzekła.—A przyznam się, że trudno przez takie zaspy wybierać się w drogę.

— Nie masz złéj drogi do swéj niebogi! z poziewaniem niedbale prawił Staroście; już to że Chorąży nie przybył, ani słowa, staruszek to co innego, ale Bolesław co cię tak kocha, taki miły, to się niegodzi.

Matylda jak piorunem rażona, stała nieporuszoną wlepiając wzrok w oblicze męża; ale na nim niedojrzawszy najmniejszego śladu wzruszenia, przyszedłszy do siebie....

— Mój mężu, co téż ci w głowie, jak możesz używać takiego wyrażenia, gdyby kto słyszał, posądziłby mnie na prawdę o romans z panem Bolesławem.

— Głupiec kto tak sądzi, przecież ja to wiém najlepiéj, ja nie mam za złe że przenosisz towarzystwo człowieka tak rozumnego nad innych; bo prawdą

a Bogiem cóż umieją: grać w karty i palić fajki, palić fajki i grać w karty. Ty kobiéta rozumna także, potrzebujesz przecie kogoś do towarzystwa; on i Chorążego bawi przyjemnie. Jeżelim cię nierozsądnym słówkiem obraził, to już więcéj ani pisnę, tylko się na mnie nie gniéwaj. Wstał, pocałował ją w rękę i dodał: ja wiém że jesteś uczciwa kobiéta, byłaś dobrą córką, jesteś wyborną żoną. A nie masz tam co zjeść Matyldziu, bo jakoś ckliwo po drzymce.

Tyle było w téj mowie prostoty, że trudno niewierzyć w jéj szczerość. Matylda pobiegła do kredencerza, i kazała podać na zimno zająca. Starościc na widok ulubionéj potrawy, zaczął się uśmiechać, a całując w rękę żonę rzekł z przymileniem: moja Matyldziu, dodaj swoją rączką bulioniku, zakrop cytrynką, podléj nieco winkiem, a zjemy wyborną potraweczkę.

Kiedy zajmowała się przyrządzaniem tak niepoetycznego przedmiotu, a niestety zwyczajnego w życiu naszém, zadzwoniły dzwonki, i małe saneczki stanęły przed gankiem. Jakiś podróżny otulony w niedźwiedzie wysiadł do sieni, i wszedł do pokoju.

Matylda zaledwie odetchnąć mogła, rumieniec oblał jéj twarz, ręce drżały: Starościc z wykrzykiem a...a! pan Bolesław — cóż się to stało dla Boga! odskoczył od komina.

Był to Bolesław, blady jak trup; z szerokiéj blizny nad czołem krew płynęła. Matylda widziała ranę, porwała więc serwetę i poczęła krew tamować.

— Co się stało! co się stało! wołał przestraszony Starościc, podsuwając krzesło Bolesławowi.

— Nic...już mi lepiej, wyrzekł i pocałował z uczuciem rękę tamującą krwi upływ.

— A my tu z Matyldzią, prawił już spokojniejszy gospodarz, o panu Bolesławie i o Chorążym mówili: ale co się stało, zkąd ta rana?

— Mały przypadek, w zaspach śniegu koń gromadą wilków przestraszony zaczął biedz co siły, prawda uniósł mię od nich daleko, ale w poblizkim lesie przewróciły się sanki, a ja czołem uderzyłem o drzewo.

— Mój Boże! zawołała Matylda, potrzebnoż było w taką zamieć......

— Pani! Chorąży pragnął ją widzieć .... od dwóch dni słaby.....

— Kto, mój ojciec! a pan dopiero mi mówisz! krzyknęła Matylda, mój mężu każ zaprzęgać.... natychmiast.....

— Dobrze Matyldziu, jedź, jedź, tak dobra córka zawsze robi, ja zostanę przy gospodarstwie, bo wiész że to pańskie oko konia tuczy.

W pół godziny Matylda pomimo zaspów, dostała się krytemi saniami na szeroką drogę, wiodącą do dworu Chorążego, za nią z obwiniętą głową w swoich saneczkach, pospieszał Bolesław.

A Starościc — jadł smacznie potrawkę z zająca, popił wina, usiadł w fotelu napowrót, i gdy Matylda wyskakiwała na ganek, powitana od spłakanej Lino-

wskiej, mąż grzejąc się wybornie przy kominie, chrapał głośno, utrudzony gospodarskim dozorem, i pracą.

6.

Stary Chorąży wielce zmieniony, spoczywał na łożu w swojej komnacie, oświecał ją tylko szeroki płomień z marmurowego komina, i rozlewał miłe ciepło w około. Wedle dawnego zwyczaju, na tym to kominie gorzał całą zimę, jesień i pół wiosny, nie raz ciągły ogień; a stosy w około ułożone, zgrabnie z suchych polan, dębiny, buczyny i swierkowe, wznosiły się wysoko.

Matylda zmęczona całonocném czuwaniem, na chwilę zdrzymnęła się w nogach. Starzec wlepił w jéj oblicze blade, wzrok swój obumarły. Było spojrzenie jego nieruchome, miało coś przejmującego i strasznego w sobie; a gdy Matylda otworzyła oczy, i spotkały się one z ojcowskiemi, dreszcz ją zimny przejął, pot kroplisty oblał czoło.

— Matyldo! coś taka blada? wyrzekł Chorąży słabym głosem: chodź, ucałuj ojca, to mu ulży, bo on cierpi..i bardzo! a zasłużył na tę karę jaką Bóg nań zsyła, bo ci nie kto cudzy, ale ojciec własny wydarł szczęście i zatruł młode lata.

— Mój ojcze! nie myśl o tém! któż ci to powiedział? I całowała w chłodne czoło i lodowate ręce.

— Ja to wiém moje dziecię, i to mnie boli i wpędza do grobu!

— Żyj! żyj! mój drogi i kochany ojcze, a będę zupełnie szczęśliwą!

— Szczęśliwą! zawołał starzec silniejszym głosem, i z podziwieniem Matyldy, usiadł krzepko na łożu. Szczęśliwą! o biedne i nieszczęśliwe dziecko! Dla ciebie nie ma szczęścia, bo ty kochasz.....a twoję miłość zbrodnią świat nazwie. I ja ją inaczej nie nazwę, jeżeli zapomnisz przysięgi i wstydu!

— Nigdy! nigdy! mój ojcze! i padła na kolana przy łożu.

— Córko moja! a głos starca nabierał co raz więcej mocy i powagi. On mi powiedział że cię kocha... a ja wiém że i ty go kochasz. Ale jest to prawy i uczciwy człowiek, na mojém łonie szukał ulgi, opłakiwał swoją nieszczęsną namiętność. Słuchaj, dla was obojga nie masz innego ratunku, jak się rozdzielić na wieki.

— Na wieki! wyjękła z boleścią Matylda.

— Tak, na wieki moje dzieci! moja śmierć i mój grób, niech was dzieli na zawsze. On wkrótce wróci z lekarzem, ale jego pomoc daremna; czuję to, posłałem po naszego proboszcza, to lekarz potrzebniejszy dla duszy, bo ciało woła już spoczynku w ziemi. Przy mojém łożu, pożegnajcie się z sobą. Czy mi przyrzekasz nie widzieć go więcej?

— Przysięgam! zawołała Matylda uroczyście, i dotrzymam choćbym umarła.

— Dziecko dobre i cnotliwe, wyjęknął starzec, niech cię Bóg błogosławi; tam! tam! gdzie się ujrzymy razem, i matka twoja ten anioł dobroci, i ja przyciśniemy cię do serc naszych, czystą i nieskalaną. O gdybym mógł moja dzieweczko, mówił spokojniej, na kolanach modliłbym się Bogu, dziękując mu, że mi dał ciebie. Ale nie mogę... nie mogę — siły mię opuszczają. I upadł na łoże.

Bolesław wrócił z doktorem, a nadziei żadnéj nie było, gasł z wolna starzec. Proboszcz przygotował już go na śmierć; wtedy przywołał córkę i Bolesława:

— „Jesteśmy sami,“ wyrzekł słabym głosem trzymając w jednéj ręce zapaloną gromnicę, w drugiéj krzyż z Chrystusem; nim zamknę powieki przy łożu śmierci, pożegnajcie się z sobą dzieci moje! Ty go kochasz Matyldo, podaj mu rękę. Bolesławie! gdy zwłoki moje złożysz w ziemi — daleko od niéj!

— Mój ojcze! rzekł ponurym głosem Bolesław, przysiągłem ci i dotrzymam. Bądź zdrowa, i całował jéj rękę drzącą, bądź zdrowa Matyldo! Byłabyś szczęściem mojém na tej ziemi, słodząc cierpienia które szarpią mą duszę; teraz daleki, zawsze cię czcić i kochać będę. Nasza miłość jest czystą, nieskalaną! Czemuż Bóg nas nie połączył?

— Moja wina! jęknął starzec! błogosławię was! O mój Jezu przebacz... Gromnica wypadła z martwych ręku i zagasła, zgasło Chorążego życie. Matylda omglała przy jego łożu, nie słyszała już słów ostatnich ojca.

Starościc Krzystof przybył w dzień pogrzebu; kiedy schowano do grobu rodzinnego zwłoki Chorążego, zapraszał Bolesława do siebie na mieszkanie.

— Dziękuję ci mój Starościcu, ja zaraz odjeżdżam.

— A gdzież to? jakto i bez pożegnania z moją żoną?

— Pozdrów ją odemnie! Żegnam cię kochany panie.

I uścisnąwszy go silnie, znikł w tłumie gości, zostawiwszy Starościca zadziwionego.

W rok po pogrzebie Chorążego, burzą zagnany w tamte strony przybyłem. Mieszkając w sąsiedztwie Starościca, poznałem go i Matyldę. Biedna ofiara miłości, była cieniem tylko! a jednakże pomimo bladego oblicza, i mgłą zasłonionego spojrzenia, był to anioł, co chciał prędzej ulecić z tego padołu cierpień, i niedoli. Często przebywała w domu ojca, modliła się w swojej komnatce: tam przemieszkiwała wiekiem

nachylona poczciwa ochmistrzyni Linowska. W zimie po wesołym kuliku, wracał podochocony Starościc, gdy go posłaniec na drodze zatrzymał.

— Co tam Grzesiu? zapytał chłopaka.

— Pani...

— Co pani! zawołał przestraszony Starościc.

— Pani we dworze pana Chorążego...

— Bartłomieju, gnaj co siły! krzyknął pan Krzystof, w jednej chwili byli przed gankiem. Wewnątrz usłyszał płacz i krzyk Linowskiej: wbiega do komnaty Matyldy — już nie żyła; z złożonemi jak w modlitwie rękoma, klęcząc przed wizerunkiem swéj matki, skonała. Blade lica krasił jeszcze uśmiech anielski: był to sen, ale sen wieczny; zdawało się że w tym śnie miłe marzenia, wywołały na to piękne oblicze wyraz radości i wesela.

Starościc z rozpaczy rzucił wiejską zagrodę, sprzedał majątek Chorążego, ochmistrzynię Linowską osadził w szpitalu: we dwa miesiące znaleziono ją martwą na grobie Chorążego i Matyldy. Sam wyjechał do Lwowa, pił i grał w djabełka: niespełna we dwa lata straciwszy majątek, tknięty apoplexyą, wśród grona karciarzy — skonał.

Bolesława żadna wieść nie przypomniała tamtéj okolicy: mówiono tylko że w rocznicę śmierci Chorążego i Matyldy, jakiś podróżny już po dwa razy się zjawiał na ich grobie, klęczał i płakał. Zacny proboszcz, który ślub dawał Matyldzie, przyjaciel Chorą-

żego, widywał się z nieznajomym, i gdy raz ostatni odjeżdżał, klęczącemu na mogile, dał błogosławieństwo, i uściskał. Nikt nie widział podróżnego twarzy; sędziwy proboszcz wrócił wielce wzruszony, ocierał oczy — nie wyrzekł słowa do nikogo — i do północy modlił się gorąco. Wkrótce potem, stanął piękny grobowiec na tymże cmentarzu, dla przywiązanej ochmistrzyni.

Kaź. Wład. Wojcicki.



WIECZNA ŻEGLUGA

DUMANIE.

Na niezgłębioném morzu wzburzyły się wody,
Łódź skołataną fala na swym grzbiecie niosła,
A łódź była, bez steru, bez żagli i wiosła,
A na niej w zamyśleniu siedział żeglarz młody.

Młody — ale cierpienia żelazną prawicą,
Zatarły w twarzy wieku młodzieńczego róże,
Patrzył, lecz gardził burzą—bo w sercu czuł burzę
Która duszę miotała sroższą nawałnicą.

A jednakże mu kiedyś o szczęściu mówiono —
Mówiono o rozkoszach które młodość zsyła.
Matka mu przy kołysce o szczęściu nóciła,
I sam nie raz w snach widział, tę marę złoconą.

Lecz w snach tylko—bo zawsze zlubego uśpienia
Budził go własny smutek, albo smutek braci,
Powoli świat się zjawił w prawdziwszej postaci,
A rzeczywistość zdarła zasłonę złudzenia.

Wtenczas wszystko co życie upiększa i słodzi,
Odbiegło od młodzieńca; przestał po kolei
Wierzyć zwodnym uśmiechom, miłości, nadziei —
I jak dąb w śród pustyni, sam stanął w śród łodzi.

Pójrzał w niebo, lecz próżno smutne oko trudzi,
Niema żadnego światła, wszędzie zguby hasło,
Pójrzał w serce—i w sercu już wszystko wygasło
Co go niegdyś wiązało, do szczęścia i ludzi.

Wezwał jeszcze pociechy, lecz nikt nie przybywał,
A ryk piorunu cichą modlitwę zagłuszył,
Błagał słońca o swiatło—lecz słońca nie wzruszył,
Więc zaczął błagać śmierci, i nie próżno wzywał.

I zstąpił anioł śmierci i ręką grobową
Roztoczył czarny sztandar nad żeglarza czołem,
Drugą zgasił pochodnię, i z życia aniołem,
Kazał rozbrat uczynić by odżyć na nowo.

Stanął nad ciałem, czarne wnet żagle powiały,
I zgaszoną pochodnię, ujął zamiast wiosła,
Nadludzkiego żeglarza szybko woda niosła,
Bo przed nim milkła burza, płaszczyły się skały.

A gdy stanął u portu — wnet ciemności znikły,
Miliony słońc zabłysły, dźwięczne brzmiały pienia,
Młodzian otworzył oczy, jak gdyby z uśpienia,
I z zadziwieniem patrzał, na ten świat niezwykły.

Wtém go przyjął w objęcia ojciec ukochany,
I przyjaciele których opłakał na ziemi:
I dusza w nim rozkwitła siłami nowemi,
Z serca spadły cierpienia — a z myśli kajdany.

Niechciał wierzyć w swe szczęście, bo w ziemskiej dziedzinie,
Już się z twardém nieszczęściem i smutkiem oswoił,
Myślał, że o tém wszystkiém we śnie tylko roił,
I że razem z snem zwodnym, ta roskosz przeminie.

Lecz się ozwał głos z góry: „tu ziemskich twych braci
Przyzywa nieomylna przedwieczności władza,
Tutaj, Pan swych wybranych pokojem nagradza,
I wiekami radości, chwilkę cierpień płaci.“

Młodzian słuchał zdumiony, w tém górne sklepienia,
Rozległy się odgłosem dziękczynień i chwały,
Rozjaśniało się czoło, skrzydła go odziały,
I na obłoku płynął — nucąc Stwórcy pienia.

DO CYPRYSU.

Znasz śmiertelników przyjaźń wiarołomną?
Gdy już nie istniesz w żyjącéj naturze,
Żal ci na zimnym wyryją marmurze,
Rzucą cię z płaczem, ze śmiechem zapomną.

Lecz Cyprys majne swe lica rozściela,
Wieczną nadzieją zdobi grób człowieka,
Czemuż nie może kamienna powieka,
Prawego wtedy ujrzeć przyjaciela?

Z chwil co konieczność na ten świat wypędza,
Które na życia drodze smutnie błyszczą,
Które zawodzą i nudzą i niszczą,
Najprzyjemniejsze z tobą się przepędza.

Józef Dunin Borkowski.

HOGARTOWSKIE OBRAZY.

Niedawno temu w uczonej rozmowie słyszałem od sąsiada mego, że Hogart malował same karykatury, a karykatury podług niego są malowane paszkwile; napróżno było się wdawać w polemikę, bo mój sąsiad jest uparty szlachcic, umilkłem zatym, jakkolwiek innego jestem zdania. Hogart podług mnie, malował obrazy z życia wzięte, nie jego wina, jeżeli towarzystwa i szczególne osoby, które w koło siebie zdybywał były śmieszne; a malując pęzlem śmieszności te naroście moralne, nie mógł je inaczej oddawać, tylko rzucając na papier tu i owdzie naroście zbytkowe nosów, bród i garbów, które bym się tak wyraził, były tylko szyldami!.. Każdy człowiek ma, jak się niemcy wyrażają, szatańską jednę nogę, która gdzieś koniecznie wystawać musi; Hogart szatańskie te nogi widzialnemi rysami malował — i to mają być karykatury?... Sąż więc karykaturami, powieści których pisarze nowocześni, anatomicznym piórem moralne opisują wrzody?... i czyliż Hogart, gdy wydał naprzód usta dumnego, nos skąpca w wytrych przedłużył, twarz pijaka całą kopalnią

rubinów i safirów obsypał, oczy głupca na wierzch wysadził, czyliż wówczas malował karykatury?... Czasy Hogarta bogate były w szmieszności, bo życie było mniej wyrozumowane, więcej zewnętrzne, a zatem rozmaitsze; i naród z którego łona czerpał Hogart natchnienia swoje, splinowém usposobieniem, więcej mu poddawał rysów płaskorzeźbowych. Dziś trudniej już o karykatury; nie ma ich zkąd czerpać, i nie ma dla kogo malować, bo i śmiesznych i śmiejących się ubyło; dziś Hogart gdyby z Moskwy do Lizbony całą olbrzymią przestrzeń ucywilizowanego świata przeleciał wiatronogą kibitką, orlopiórym wozem parowym, nie zdybałby może jednego obrazka dla siebie, a wkrótce przyszłe Hogarty, lecące balonem po nad starym światem, chyba pomiędzy ptakami, lub herszlowskim szperając teleskopem, między gwiazd mieszkańcami szukać będą przedmiotów do rozśmieszających obrazów! Są i dziś zapewne karykatury; ale w życiu dzisiejszém więcej wewnętrzném, trudno je wynaleźć, a jeszcze trudniej ołówkiem lub pęzlem oddać; bo rysy ogólne zlały się pomału w rodzaj podobieństwa familijnego, a rysy szczególne rozstrzaskały się na tak rozmaite odcienia, iż je ledwie piórem opisać można. A to pióro dzisiejsze, pióro anatomiczne, jak zacznie w głąb się wkopywać, nie jeden obraz, który miał na pozór być komicznym, stanie się w głębi tragicznym!... Dla czego tak jest? trzeba się pytać życia dzisiejszego; ja zamiast długich i nudnych

definicyj odpowiem kilka przypomnionemi sobie obrazami, które nazwę hogartowskiemi. Czyli i jaki ztąd może wyniknąć pożytek? by szczerze wyznać, nie umiem powiedzieć; ale może zabawię, może przez jedną chwilkę oderwę od nudniejszych zatrudnień . . . a i to czyż nie jest pożytkiem?...

DWA ZÉGARKI.

Najprzód rysunek powierzchowny . . . . izba niska i obszerna stanowi oczywiście część dworku szlacheckiego, bo podłoga z niebardzo równych desek ułożona, a powała sterczy poprzecznemi balkami, skąpo i ongi pobielonemi; piec kaflowy z pręgami gliną zalepionémi, mnogich swędów świadkami, i komin sadzy przybytek, zapełniają całą jedną ścianę; za to trzy inne płótnianem pobielonem obiciem strojne: czas i szczury, tu i ówdzie wyglądające, podziurawili je wprawdzie, zawsze jednakże dosyć świeże się wydają, a niemało strojności dodają im obrazki nie nader symetrycznie rozwieszone. Na jednéj ścianie cztéry pory roku, różne swojemi kolorowanémi godłami, choć je muchy dosyć jednostajnie popstrzyły; na drugiéj dzieje syna marnotrawnego, od hucznych bankietów zacząwszy, aż do skromnego swiniek pasienia; a na trzeciéj dziwnie interessujący żywot Genowefy brabanckiéj, w pałacu i na

puszczy, z dzieckiem i łanią. Krzesła w koło ścian dębowe podobno, lecz i politurę i barwę obiciów ząb czasu zdrapał, a porządek który wszystko naprawia, nowemi ubrał łatami; na środku stół dębowy umozajkowany dziurami wypalonémi i wydrapanemi, brudem, kredką i piórem nawet, zdaje się świadczyć, że pokój ten łącząc kilka przeznaczeń, jest jadalnym, bawialnym, i ekonomicznym razem pokojem. Bym niezapomniał, w przeciwległym kominowi kącie, stoi długa drewniana rura z głową zégara i głosem kukułki, a między nią i obrazem kwiecistej wiosny, wiszą trzy nahajki różnej długości, grubości i tęgości, dobrze zużywane, ale zawsze pełne jeszcze życia. Trzy tylko osoby stanowią grupę obrazu, bo wprawdzie przez drzwi wpółotwarte widać w sieni kilku chłopków z nieśmiałą miną drapiących się w głowy, ale w samej izbie widzimy tylko w samym środku stoła stojącą postać mężczyzny, którego metrykę z twarzy trudno poznać, bo jeżeli ją czas licznemi poorał zmarszczkami, natomiast zdrowie, wiatry, upały i niepogody, znamię czerstwości na niej wyryły; czoło niskie i ciasne, grubą, kasztanowatą, najeżoną i brudną włosów szczotką nadsztukowane, nie rachując w to słomy i pierza, resztek z rozlicznych noclegów; oczy bure, wielkie, na wierzchu osadzone, były obie jednakowe zapewne, póki jednego niezgrabna ręka jakaś sincem i gulą czerwoną nie naznaczyła; nos musiał być zadarty, lecz tabaka go w szersz rozepchała, a gorzałeczka ustroiła w barwę sincowi odpowie-

dnią; usta szerokie, grubowargie, rodzajem szyderczego uśmiechu ku uszom rozciągnięte, i nieco skrzywione, wszystko to wraz z brodą dwa razy dłuższą od twarzy, napół włosem zarosłą, i centkami czerwonemi, na twarzy hojnie zarzuconemi, tworzyło ogólną charakterystykę tej twarzy. Szyja krótka, ale za to garb z tyłu sowicie wzniesiony, i powiększony jeszcze mantelzakiem dosyć podartym, z którego boków wystawały sukien i bielizny ułamki; a na wierzchu położone buty dziurawe, zdawały się łączyć głowę z garbem. Surdut, kamizelka, i spodnie tworzyły całość harmonijną brudem, łatami i wynoszeniem, ale oczywiście się kłócą pochodzeniem swoim z tandety, która surdut z niegdyś axamitném kołnierzem, zdjęła z wysokiego suchotnika, kamizelkę z otyłego pasibrzucha, a spodnie z małego gimnazialisty, by naszego ubrać garbusa. Otóż i on cały, prócz krawaty niegdyś włosiennej, i czapki któréj pochodzenia i kształtu nie odgadnąć, tak ją używanie rozepchało; a stoły licznych szynkowni, i deszczu nawały z prochem dróg zmieszane, pobrukały, ten człowiek wydaje się ubogi, a przecież jest zbytek widzialny na nim, zbytek drugiéj pary butów na krótkich nogach, zbytek dwóch pierścieni na palcach, srebrnego i tombakowego, zbytek chustki kratkowanej, którą w chwili na obrazie schwytanéj, pot zciera z czoła.

Druga na obrazie osoba wpół oparta na dębowym stole, jestto chudy, wysoki, ospowaty jegomość z za-

padłemi policzkami, nosem śpiczastym, sympatycznie ku równie śpiczastej brodzie schylonym, pod tym kabłąkiem usta w głąb ściśnięte, bezzębną zamykają gębę, nieco w górę rozciągnięte złośliwym uśmiechem rozpromieniają żółte, pargaminowe policzki, nad któremi błyszczą małe, piwne, zyzowate oczy, pełne ciekawej niespokojności, a wznosi się czoło ściśnięte w skroni, zapisane całe najkapryśniejszemi zmarszczkami, jakie tylko wymyśleć można. Włosy niegdyś ciemne, czas przerzedził i posrebrzył, a grzebień i ręka ku czołu zaczesała i zagładziła, ubiór cały kusy, stary, z ojczystego dreliszku, i widocznie przez starozakonnego krawczyka sporządzony, odznaczał się nie tyle porządkiem, ile szanowaną oczywiście starożytnością. Bez czapki, bo domowy; bez halsztuka, bo widać przez okno otwarte zielone sadu konary; drugą rękę miał napół wyciągniętą ku garbusowi, a długiemi palcami jakby szponami zdawał się mocno cisnąć przedmiot jakiś, z którego wisiał, tylko ułamek sznurka czarnego.

Trzecia osoba na obrazie stoi o pare kroków od stołu, jakby tylko co przyszła ze środka pokojów, na pół obrócona ku chudemu jegomości, a na pół ku garbusowi, trzyma rękę wyciągniętą, a w niej złoty zegarek cybulowego kształtu, z różnobarwnym łańcuszkiem paciorkowym. Jestto niski, pękaty, niemłody już i nawet łysawy blondyn, chociaż się do tych własności przyznawać nie zdaje, bo i głową zadartą w górę, i obcasem wysokim sztukuje się jak może, faworytami gęstemi

od uszów do ust ciągnącemi się, i wąsem rzęsistym, miotłowym, a hiszpanką wymuskaną, nagradza brak włosów, pilnie na czoło wypukłe naciągniętych, i zmarszczki twarzy, jakkolwiek się ta pełnością i rumieńcem kłóci jak może z nielitościwym wiekiem; ubiorem obcisłym brzuch wyrastający ściąga, o ile sił starczy, a świeżością barwna w tym całym stroju, chce widocznie letnich kwiatów przypominać porę. Bo proszę patrzyć tylko: na kamizelce białej, pikowej, nakrapianej niebieskiemi i pomarańczowemi gwiazdkami, która dziwnie dobrze odbija od różowych spodni i walterskotowego surducika, jest najprzód na cal szeroka wstęga, jakby orderowa, jasno błękitna, która niknie w lewej kieszonce od kamizelki z wystającym piórkiem od zębów, jest czerwona, morowa wstążeczka, która po prawéj dąży kieszonce z zegarkiem zapewne, a zieloną przedłużona wstęgą, kończy się bogactwem krwawnikowych pieczątek; na paliowej wisi u szyi lornetka, ku ozdobie raczej niż ku potrzebie zawieszona, czarna znowu z jakąś pamiatką czy świętością z poza kamizelki wygląda, a bladoróżowa wstążeczka wstydliwie się chowa pomiędzy guziczki świecące z niewidomém przedmiotem. Oczy jasnoniebieskie chociaż pozbawione wyrazu, i jak dwie olbrzymie cybule na wierzchu osadzone, zdają się także spojrzeniami pewnémi, zuchwale na wsze boki rzucanemi, świadczyć o żywotnym ogniu, którego pełno jeszcze w tej okrągłej, kulowatej figurze; tą razą zdaje się z nich strzelać inny jakiś wyraz, który gdzieś

z głębi dobyty, mniej zwyczajnym promieniem uszlachetnia twarz całą.

Niewiem czy piórem zdołałem oddać ten wyraz śmieszności, rozlany na tej grupie, tak jakby się on wydał, gdybym mógł obraz ten wymalować pędzlem, tak nareszcie jak się wydał oczom moim.

Garbaty Janek, byłato sierota losu, stworzenie koczownicze, które odbyło wędrówkę życia bez popasów wygodnych i noclegów orzeźwiających. Życie jego całe tak rozmaite stanami których probował, miejscami które niezmordowaną przebiegł nogą, a tak jednostajnie nędzą, nieodstępną towarzyszką swoją, nic mu nie dało po czterdziestu leciech, prócz tych łachmanów, w których go widziémy, prócz tego filozoficznego uśmiechu, z którym się nauczył patrzeć na świat i jego zdarzenia, i tych kilku plam na nosie i twarzy, któremi go obdarzyła jedyna pocieszycielka jego żywota, gorzałka; ta stała mu się wszechwładną czarodziéjką, wywołującą codzień świat inny, świat pełny uroku!.. Jakoż dzieje jego życia łatwo odgadnąć z powierzchownej jego postaci: nie ma w jego głowie myśli tajemnych, dusza jego nie chowa pamięci zdarzeń szczególniejszych, a przecież są chwile przedgorzałkowe, w których niknie filozoficzny jego uśmiech, są chwile pogorzałkowe, w których o przeszłości swéj gada jak o raju utraconym. Epizody jego żywota, nie ciekawe zapewne dla czytelników, przemilczę, jakkolwiek nie mały dałby się może wyciągnąć sens moralny z téj prostéj, ale

hartownej natury, którą nędza i pijaństwo nie zepsuły; o brudy towarzyskie ocierając się przez lat czterdzieści, wyszedł nasz garbus z czystém sumieniem i wesołém zawsze usposobieniem. Fatalizmem jego żywota był garb, a później gorzałka!.. Napróbowawszy się różnych rzemiosł, z których wypędzał go śmiech, jaki wzbudzała jego postawa, dłużej zatrzymał się przy warsztacie szlufirskim, bo wędrując z ulicy na ulicę, z miasteczka do miasteczka, przy furczącym ślufirskiego koła odgłosie, łatwiej mógł puszczać mimo uszów żarty i przydomki, jakiemi go lamparty uliczne obsypywali; lecz nagle bez pozornej przyczyny, opuścił ten stan najwięcej zgodny z garbem jego. To była tajemnica jego żywota!.. Odtąd po raz pierwszy rzucił się w objęcia czarownej wódeczki, i odtąd pozostał w nich na zawsze; zaczął sługiwać po dworkach i dworach; nielitościwy śmiech wyganiał go zewsząd. Stan lokaja w mieście uśmiechał mu się jako najwyższy szczebel szczęścia, lecz próżne były sny jego nocne, próżne marzenia dzienne; napróżno uczciwością chciał się utrzymać i wznosić w tym stanie; lokaj garbaty była śmieszność od której każdy uciekał; ledwie jako sługa dochodzący mógł czyścić buty studentów niezamożnych i niższych urzędników: a i tu, ileż razy odpędzało go głupstwo, wstydzące się garba Jankowego! Coraz głębiej zazierając do kieliszka sprzykrzył sobie nareszcie to życie, znienawidził ludzką niewdzięczność, i puścił się na wę-

drówkę. Przechodząc przez tyle stanów, niemało pożytecznych nauczył się kunsztów, i tak, tam łatał, to brzytwy i noże ostrzył, tam furmanił, tu siekierą rąbał, czasem komin wyczyścił, czasem hucznego zagrał mazura, zgoła od wioski do wioski, od gospody do gospody, od rannego kieliszka wódki do wieczornéj piwa szklanki przeskakiwał wesoło życie, a słuchając zdarzeń cudzych, i rozpowiadając własne, nabrał tego filozoficznego uśmiechu, z którym go widziemy stojącego na obrazie przed panem Wincentym i panem Antonim dwoma braćmi, współdziedzicami czwartej części lichej wioski polskiéj.

Lecz uważam, iż nadto prostym sposobem rozpowiadam powieść moją... a zatym zróbmy skok!..

— Było to w wieczór po bitwie pod Samosierra czyli Sierra-Morena... Jakkolwiek mógłbym tu piękny umieścić epizod o téj, nie tak stanowczéj, jak raczéj morderczéj bitwie, wolę jednakże ciekawych czytelników odesłać do opisów historycznych, które prozaiczniéj, ale wierniéj zapewne, odmalują tę bitwę. I o okolicy górzystéj, w któréj się odbywać ma scena mojéj powieści, wiele powiedziéć można, lecz niestety! nie byłem w Hiszpanii, i tylko z opisów wiem, jak musi być czarowna ta okolica, przerznięta skalistemi wąwozami, które dziwacznemi piętrząc się wyłomami, tam gołym stérczą urwiskiem, tu w zieloność drzew strojne, wznosić się zdają w błękit nieba... w błękit nieba hiszpańskiego! a rzuciwszy na

to wszystko złociste promienie słońca zachodzącego, tego słońca południowego, słońca, które się odbija o złote arabeski ścian Alhambry, łamie się pomiędzy kolumny dawnych Maurów pałacu, chowa się w wonnych gajach Grenady, przegląda się pyszne i promieniste w złotem tkanych Tagu nurtach; a dodawszy do tego powietrze rozkołysane nutą dawnych pieśni o Cydzie, byłby to krajobraz godny pędzla, godny pióra poety!.. Nie byłem w tym kraju poezyi i słońca, nie mnie to mieszkańcowi lodów północnych zgadywać i opisywać cuda, które tylko w godzinę natchnienia przyśnić się mogą!.. Był wieczór pogodny, chociaż tu i ówdzie z parowów oświeconych wznosiła się mgła; nie mgła, która spada nazad na ziemię deszczem ożywczym, ale mgła z morderczéj walki pozostała, mgła prochu nieszczędzonego przez dzień cały. Milczenie nastało powszechne, czasem je tylko przerwie jęk jaki urwany!.. Nie głos to puszczyka!.. zawcześnie jeszcze na tego nocnego ptaka! o nie!.. lecz mgłę prochu, wnet rosa rozkradnie wieczorna, a jęk umilknąć także musi! Ścieżką wiodącą gęstym gajem, rozrzuconym po nad wąwozem, który był świadkiem morderczéj bitwy, szły dwie kobiéty: młodsza postawą i ruchem, osłonięta ciemną mantylką, szła naprzód; starsza z chromionym przez wiek wlekła się za nią krokiem.

— Panno! panno! wracajmy! jak się stryjaszek do-

wie o tej wyprawie, będzie się gniewał na biedną Donatę.

— Nie bój się poczciwa Donato! mój stryj był żołnierzem, dziś jest kapłanem; nie będzie się gniewał na bratankę, w której żyłach płynie krew dawnych Hiszpanii oswobodzicielów, jeżeli idzie z ratunkiem i modlitwą na pole bitwy gdzie nie jeden może z ziomków moich...

Jęk przedłużony dał się słyszéć. Stara wzdrygnęła się! Panno! Juanito! uciekajmy!

— To tam niżej! odezwał się głos... chodźmy!.. I przedzierając się pomiędzy krzaki pobiegła Juanita ku miejscu, skąd głos się odezwał powtórzony, lecz coraz cichszy i słabszy. Stanęła nagle dziewica, nie bez wewnętrznego poruszenia, i do nadbiegającéj staruszki rzekłszy z wyrazem pogardy: to Francuz!.. chciała iść dalej; lecz mimowolnie gdy raz jeszcze rzuciła wzrokiem na leżącego przy krzaku trupa, coś jéj zaświeciło z łona ciemności, które się już rozchodzić zaczynały. Byłto złoty krzyżyk zawieszony na piersi leżącego żołnierza, snać go dobył z zanadrza, przyciskając rękę o piersi zranione, lub wiedziony myślą jaką pobożną. To chrześcijanin! rzekła głosem Anioła, i odrzucając zasłonę na ramiona, schyliła się ku leżącemu. O! jeżeli była jeszcze iskierka w nim życia, musiało się ocucić na widok tych dwoje oczu, które spojrzały na niego z wyrazem nadludzkiej litości. Jakoż ranny zrobił poruszenie; oczy Juanity z wy-

razem wdzięczności wzniosły się ku niebu, a spadły radośnie na oblicze dorodne leżącego młodzieńca; i ratując go wszystkiemi przyniesionemi ku temu środkami, zapomniała Juanita na godzinę późną, zapomniała na ziomków, których szukać i ratować przyszła. A gdy pod puchowém śnieżnéj ręki dotknięciem, ogorzała twarz żołnierza ożywiać się zaczęła, gdy jéj ciemne oczy piérwszą iskrę życia i poznania w otwiérającém się błękitném jego oku dostrzegły, pamiętała już tylko jakby wyratować zupełnie biédnego młodzieńca.

— Donato! jak my go zaniesiemy?

Mniéj litościwa staruszka trzęsła się ze strachu i zgrozy, widząc swoją pannę, córkę prawego szlachcica hiszpańskiego, bratankę przeora bliskiego klasztoru bosych Karmelitów, schyloną nad bezbożnym Francuzem.. — To poganin! krzyknęła.

— Donato! patrz na oblicze pana Jezusa na tym krzyżyku! to biédny, zbłąkany chrześcijanin, jak go zanieść? poradź! gdzie go schować? poradź moja kochana mamko!.

— Juanito! to będzie nieszczęście twoje! pamiętasz ostatnie słowa xiędza Przeora. Zbliżają się nieprzyjaciele, ale śmierć dla nich! śmierć każdemu francuzowi!

Ułan tymczasem otworzył pomału zdziwione oczy, i w piérwszéj chwili mniemał się już być w niebie, widząc tak blisko nad sobą gwiazd dwoje promiennych, późniéj zdawało mu się, że jest w obję-

ciach anioła; a gdy powoli wrócił do przytomności, zrozumiał o co rzecz idzie, i zebrawszy całą umiejętność języka hiszpańskiego, osłabionym wyrzekł głosem: Ja nie francuz; ja polak!..

— A widzisz Donato!.

— Po coś tu przyszedł polaku z bronią w ręku do naszéj pięknéj i wolnéj Hiszpanii? surowo zagadła Donata.

Nie mógł się wdawać w polemikę biedny ułan, bo za każdém słowem, krew mu się dobywała ze zranionych piersi, a gdyby i mógł, cóżby zdołał odpowiedzieć młody i niedoświadczony szeregowiec: należał bowiem nasz ułan do liczby tych, którzy idąc za popędem owoczesnych marzeń, jak dawniejsze pokolenie do ziemi świętéj, szli stawiać się pod orły francuzkie, i płonne urojenia krwią płacąc własną, trupami swemi zasłali szeroką świata przestrzeń od piramid egipskich, do kolumn Herkulesa.

— W grobowcu xięcia Maurów będzie leżał! natchniona zawołała dziewica...

— Juanito! to przekleństwo jakieś na ciebie... Długo trwało nim wsparty na obydwóch niewiastach, dostał się po skalistéj i krętéj ścieżce, która wiodła po nad urwiska, pomiędzy zarośle do spustoszałego budynku, który okoliczna wieść nazywała grobowcem xięcia Maurów; byłto budynek obszerny, sklepiony, złożony z kilku oddziałów napół zawalonych. Popękanemi schodami zeszli nareście w dół, i tam był

obszerny pokój kilku okienkami z góry oświecony; większa jego część była zawalona gruzami kolumn, na których widoczne były jeszcze dawnych rzeźb ślady. Grobowiec ten był źle uważany i nawet za siedzibę złych duchów miany przez pospólstwo zabobonne, z tych właśnie powodów wydał się Juanicie najbezpieczniejszém schronieniem dla rannego, tém więcéj, że niedaleko ztamtąd było jéj własne pomieszkanie w starym, na górze zawieszonym zamczysku; a prócz tego ona to zwiedzając często złowrogie ruiny, wynalazła sama drzwiczki ukryte w ścianie, i schody prowadzące do dolnéj komnaty. Chętnieby była umieściła chorego w wygodniejszém pomieszkaniu własném; ale obawiała się nienawiści jaką pałali wszyscy Hiszpanie ku najezdcom swoim; a chociaż bez ojca i matki, sama jedna z starą mamką i kilku wiernemi sługami, mieszkała w zamczysku, bała się dla żołnierza częstych odwiedzin Stryja, zagorzałego nieprzyjaciela francuzów. Póty biegała z zamku do grobowca, póty błagała swéj mamki ze łzami w oczach, póki nie przynieśli młodemu żołnierzowi wszystkiego tego, czego mógł dla swéj potrzebować wygody. Przeskoczmy kilka tygodni słabości i wyzdrowienia naszego ułana, a ciągłéj staranności i opieki ze strony pięknéj Juanity!.. A piękną była piętnastoletnia Juanita, piękna tą pięknością czarnookiéj hiszpanki, piękna ogniem, który strzelał z oczów, który się rumieńcem na poły wstydliwym, na poły namiętnym

rozléwał po białéj jak alabaster twarzy, piękna osobliwie tém usposobieniem na poły nieśmiałém, płaczliwém prawie, usposobieniem lękliwej kobiéty, a na poły energiczném, wyczerpaném z krwi dawnych bohatérów: wychowanie pobożne i samotne w pięknéj okolicy, pod niebem uroczém, dodało do powabów tylu nowy, urok niewinności, który zdawał się ją obwiewać anielskiemi skrzydły... Lekką Sylfidy stopą ziemi dotykała, marzeniem i modlitwą w niebo wzlatywała!..

Lecz jakże zmieniły ją dnie, które od owego zdybania tak szybko, tak niepowrotnie uleciały; w obszernej zamku starego komnacie, siedzi smutna w szerokiém starego kształtu krześle; oczy jéj nieruchome, wciśnięte w kamienną posadzkę, pokrywa zasłona łez wstrzymywanych, i długich ciemnych rzęsów, których cień przedłużony, odbity od świec na stole postawionych, miga się po pobladłych licach. Na tym stole stoi wysoki krucyfix misternej roboty, smutny sprzęt w dziewiczym pomieszkaniu; a przed nią nieruchomy mężczyzna w mniszym stroju z oczami surowo wlepionemi w jéj smutną twarz. Rozmowa była długa i stanowcza; często i ciężko wznoszące się piersi dziewicze, kończyły łkaniem przytłumioném walkę, którą odbyła po raz pierwszy i ostatni z nieugiętą wolą opiekuna swego.

— Nie daj mi żałować, rzekł on głosem, w którym nie było ani cienia czucia, żem się na wieki w murach zamknął klasztornych, aby szczupły dziadów naszych

majątek zlać na głowę jedynéj dziedziczki wielkiego imienia ... Bartlomeo nosi to same nazwisko ... i musi być mężem twoim; a przez boga jest godnym twojej ręki; nazwisko jego stało się postrachem tych zapyrenejskich rabusiów ... i tyż Juanito! dzieliłaś dawniéj rodową naszą nienawiść do dumnych najezdców!..... miałażbyś się zmienić?... gdybym to wiedział, na ten krzyż, któren przodków naszych pobożne słuchał modlitwy, przysięgam... wolałbym byś leżała w grobie!. Juanito ty milczysz?...

— Nie! nie!... wyjękła Juanita...

— Nie!.. mamże to zaprzeczenie przyjąć za wyznanie dawnych twoich myśli?.. ty nienawidzisz francuzów?

— Nienawidzę! ledwie dosłyszanym odpowiedziała głosem.

— Nadto ci wolności zostawiałem! .. odkąd porzuciwszy pobożne ćwiczenia, zaczęłaś się błąkać po górach naszych, jak prosta pasterka zaczęłaś się drapać po skałach.... z tych przeklętych zwalisk buntowniczych Maurów, wyniosłaś ducha przeciwieństwa.

— O nie ztamtąd!.. żywszym krzyknęła głosem.

— Tak mówisz! szyderczo zagadł znowu, lecz po cóż nam dłuższych rozmów, czas nagli! ... Bartlomeo niema do stracenia godzin życia swego, zapełnionych zemstą nad wrogami, na próżne staranie się o miłość romantycznej dziewczyny; na godzin kilka uwolniony od służby, przyleci tu przededniem z wojska, a... tu spojrzał na zégarek staroświeckiego kształtu

u stóp krzyża złożony... o godzinie piątéj z rana będziesz jego żoną!..

— Już jedenasta! wykrzyknęła Juanita, i porwała zégarek; ostatni więc upominek matki mojej, ma mi zwiastować godzinę mojego...

— Niekończ płocha dziewczyno!.. ostatni upominek matki powinienby ci inne myśli przywieść na pamięć... Znam i ja ten zégarek!.. O Juanito! dodał, i głos jego stał się czulszy, matka twoja bardzo kochała brata mego, kochała go przed wszystkiemi... i został jej mężem, a ja zkamieniałem w kamiennych klasztoru murach... Pamiętaj, o piątéj z rana!..

— O piątej czekać cię tu będę mój stryju!..

A gdy odszedł stryj, Juanita skoczyła z miejsca: „Już jedenasta!” wykrzyknęła drżącym głosem. Donato! Donato zawołała, a zégarek cisnęła o piersi swoje... I wnet pogasły świéce w zamku, a pomiędzy krzaki w noc ciemną przemknęły dwa cienie ku grobowcowi maurytańskiego xięcia.

Ułan ozdrowiony z ran spał głęboko; lampa skąpém światłem oświécała ciemne sklepienie; nad spokojnie uśpionym młodzieńcem, długo stała zadumana Juanita, chciała go budzić, a żałowała mieszać sny miłe, które igrały na jasnéj młodzieńca twarzy. Donata opodal od nich, na ułamku marmurowéj kolumny, ciche zmawiała pacierze. Po długiéj godzinie pełnéj bolesnych rozpamiętywań, spojrzała Juanita na zégarek.

„O! czas ubiega nielitościwie!.. czemuż, czemuż nakręciłam go wczoraj tak rano... Antoni! zaszeptała.”

Do obozowej czujności przyzwyczajony żołnierz, zerwał się. „Juanito droga! to ty?.. czy wiész już drogę do obozu mojego?. ja zdrów, mnie do braci tęskno, mnie do walki już spieszyć!..”

— I mnie porzucić na wieki!..

— Ciebie Juanito!.. zasępiły się oczy młodzieńca, bo miał lepsze serce niż głowę. Bóg widzi jak mnie żal za tobą, za tobą, któraś mnie wyratowała, nowém życiem obdarzyła... ja cię nigdy niezapomnę!..

— I nic więcej! rzekła głosem podzielonym między rozpaczą i pogardą dla oziębłości człowieka, którego czuje iż kocha nad życie.

— Cóż chcesz żebym powiedział Juanito! ja żołnierz, ja nie mogę szeregów moich odstępować, nadziei, dla której porzuciłem i rodzinne progi i spokój domowy, i kochaną nad grobem stojącą matkę!.. Bóg wié czy ją już zobaczę!..

— A ja odstąpiłam przecie!.. od dawnej wiary, dawnych myśli i nawyknień dla ciebie niewdzięczny!.. Antoni czy w waszym obozie są kobiéty?.

— Kobiéty? kobiéty!.. zadziwiony i przestraszony zawołał młodzieniec... niéma! nie wolno!.. Juanito, ja ciebie kocham, kocham o ile mogę i o ile umiem... Juanito pożegnać ciebie jak najprędzéj jest powinność moja!.. ty dziedziczka wielkiego rodu, zapomnisz biednego żołnierza... i będziesz szczęśliwa!..

— W grobie!.. ale dobrze mówisz! ty nie możesz być hiszpanem, ty nie dla mnie, o nie! i ja nie dla ciebie; ty jesteś z zimnéj północy, niezdołasz mnie zrozumieć, mnie dziecka południa...

I prawda, z oczów ułana wyczytać można, że energia żołnierza, która mu wystarcza w obliczu śmierci codziennéj, nie pojmuje energii kochającéj dziewczyny: bo poświęcenie ciała niesprosta poświęceniom duszy; milczy ułan, i szuka w głowie swojéj coby w téj chwili powiedzieć wypadało, a przecież serce go szczerze boli za piękną czarnooką hiszpanką.

— Przykro żegnać, po tylu dniach i nocach przemarzonych, żegnać to urocze dziecko dumań moich, to lube urojenie wypieszczone przezemnie!..

— I mnie Juanito boli serce; nieumiem ja układać pięknie brzmiących słów, ale kocham cię Juanito! kocham... i niezapomnę tu w twéj gorącéj Hiszpanii, i w mojéj zimnéj Polsce, niezapomnę!..

— Kochasz mnie Antoni!.. łzami jak brylantami zaiskrzyły się oczy dziewicy: dzięki tobie za tę ostatnią pociechę... O jak te dnie minęły! jak cień; nie wrócą już dla biednéj Juanity... czas leci! patrz, jak światło lampy blednieje! to zorza!.. Antoni! przeraźliwym dodała głosem, patrz na zégarek.... piąta już niedaleko!..

— Piąta! cóż to znaczy?..

— O! pocóż go wczoraj, odchodząc od ciebie, nakręciłam tak rano... dziecko ze mnie! cóż by to mnie

pomogło.... a przecie możebym godzinę... jedną choć godzinę zarobiła... przeszły już godziny szczęścia mego!..

— Co to znaczy Juanito?.

— Co znaczy? o piątej pożegnamy się... Donata ma strój pasterza dla ciebie, a tam na dole czeka siostrzeniec Donaty, który cię zaprowadzi aż przed czaty naszych wrogów... twoich braci!.. między niemi zapomnisz!..

— Niezapomnę ciebie!..

— Darmobyś przysięgał, ty uczuć pamiętać nie potrafisz!.. Weź ten zégarek! to upominek od matki mojéj... nienakręcaj go nigdy; oby ci ta skazówka nieruchoma wskazywała zawsze godzinę naszego rozstania!..

— Juanito! zawołał poruszony aż do głębi, ja cię tak porzucić nie mogę; ja czuję tu w sercu czego jeszcze nigdy nie czułem; ja nie drżałem przed morderczemi kulami twoich hiszpanów, a drżę przed tobą dziewczyno!.. kocham cię! Juanito! to inaczéj być musi!.

— Inaczej? zawołała hiszpanka; a oczy łyszczące rzuciła na niego.

— Ta wojna się skończy !.. orły nasze zwyciężyć muszą, a jak pokój nastanie!..

— Nie Antoni! są przeznaczenia, których ominąć niepodobna, weź ten zégarek, przebierz się i idź!..

— Nie !..

— Idź, ja tak chcę! ja cię o to błagam!.... Ty już

idziesz a ja biedna! i załamała ręce, porwała z namiętnym ruchem młodzieńca za szyję, i gorące na ustach jego złożyła pocałowanie .... Tém pocałowaniem żegnam ciebie!...

— Juanito my się będziemy jeszcze widzieć!..

— Tam!.. odpowiedziała, a oczy wzniósłszy ku niebu, złożyła ręce pobożnie do szczeréj modlitwy.

Ułan przebrany za pasterza kóz stanął raz jeszcze przed nią. „Bądź zdrów! Antoni! bądź szczęśliwy!.. zégarek zatrzymaj na piątéj godzinie!..

— Zachowam go do grobu, a ciebie Juanito w sercu!.

— Boskie błogosławieństwo z tobą!.. Znikł ułan między krzakami; Juanita jak posąg została oparta o grobowiec maurytańskiego xiążęcia, a Donata mruczała: „Przeklęty poganin zaczarował moją biedną Juanitę!..“

Wrócił do swoich chorągwi: długo wojował, z pod słońca hiszpańskiego pognał w lody północne; hiszpanki nie zapomniał wprawdzie, ale w życiu obozowém, epizod ten stracił pomału tęczowe swe barwy, a umysł naszego ułana pozostał spokojny. Gdy się ów sen piętnastoletni obudzeniem zakończył, powrócił Antoni równie z drugiemi do ojczystéj zagrody; piechotą, o głodzie i chłodzie powracał, złoty krzyżyk przedał, a zégarka jak świętości jakiéj bał się dotykać; w długiéj wędrówce, częściéj wspominał o Hiszpanii, częściéj spoglądał na nieruchomą skazówkę, bo choć piąta godzina została mu zagadką, wierny przyrzeczeniu nie nakręcał zégarka. Widok ziemi ojczystéj

na inne myśli zakierował umysł Antoniego; jak się cieszył zbliżając się do wsi w której zostawił matkę i brata: już zobaczył krzyż cerkiewny, dworek i sad ojczysty!.. Matki nie zastał; brat ledwie go poznał, a przyjął obdartego przybysza, ze skrzywieniem. Bo pan Wincenty jak go widzimy na obrazie był na ciele i na duszy, wysuszony szlachcic; krótkiemi słowy złajał brata że goło powraca, i oświadczył w końcu że mu wprawdzie pomieszkania i stołu u siebie nie broni, ale że po matce zostały długi, które gorżko zapracowanym groszem popłacić musiał... wszystko więc jest moje, dodał w końcu perory.

Antoni podziękował mu jeszcze za to, iż pamięć matki od wstydu długów oczyścił, i nudne zaczął życie w domu braterskim, przy skąpym barszczu, a nieszczędzonych naukach moralnych. Największém jego szczęściem było rozpowiadać o wojaczce swojej, o której miał jak największe wyobrażenie; uwolnienie od służby wraz z patentem na podporucznika oprawił w złociste ramy, za szkło wsadził, i powiesił w swoim pokoju; a pod tym wisiał zegarek którego zbogacił pstrym łańcuszkiem, albowiem w dnie świąteczne wdziewał go na siebie, zapewne by powiększyć liczbę owych wstęg, z któremi widzieliśmy go na obrazie. Niewiem czy to niezatarte wspomnienie wojskowych sznurów i orderów, czy może przypomnienie teatralnego stroju w jakim musiał widzieć nieraz Murata, co bądź to było, została mu się z życia poprzedniego ta

jedna słabość do tych różnobarwnych dekoracyj, w których lubił występować. Niewiele nawet umiał rozpowiadać o wyprawach, które przebył, bo jako żołnierz, i do tego nieszczególnem od natury obdarzony usposobieniem, nie wiele więcéj widział prócz miéjsc w których się bił lub zimowe odbywał kwatery; twierdził jednakże, że niéma jak stan żołnierza. O Hiszpanii najwięcej rozmawiał, to jest mawiał przy zdarzonej sposobności. To śliczny kraj!... tam było gorąco! więcéj jest tam pomarańcz niżeli u nas jabłek kwaśnych!. O Juanicie czy pamiętał nie wiém, bo nigdy o niej nie wspominał, ale zégarek miał w szczególniejszym poszanowaniu. I tak z dnia w dzień dożył zdrowo i czerstwo, aż do dnia w ktorym zdarzyła się scena na obrazie odrysowana.

Od trzeciej już z rana pan Wincenty biegał, szastał się po domie jak mucha w ukropie, z dworku na puste jeszcze gumno, bo to było w czerwcu; ztamtąd do stodoły; po pustych chléwach i kurnikach tłukł się jak Marek po piekle; tu pędził dziéwkę do dojenia krów, tam zrzędził na zaspanego gumiennego; łajał, krzyczał i szturkał: bo pan Wincenty zapobiegły jest szlachcic, jak go sąsiedzi nazywają,—sknera! powtarzają głodne domowniki, gdy mu tu raptem nawinęli się wójt i przysiężni.

— Czego chcecie draby? było zapytanie zwykłe; bo pan Wincenty twierdził, że chłop a bydle *unum idemque*; a gdy zastraszony wójt zaczął się w wygoloną dra-

pać czuprynę, już jedna z wiszących nahajek miała być w robocie: gdyż pan Wincenty utrzymywał, że chamska skóra do batogów stworzona; jakoż skąpy we wszystkiém, rozrzutny był co się tyczy batogów, bił poddanych swoich niemiłosiernie, pędził na robotę od niedzieli do niedzieli, a ssał ich jak prawdziwa pijawka; przyczem oczywiście rosła jego sakwa skórzanna, choć brzuch zchudł bez miary. Po długim rozhoworze dowiedział się nareszcie, że jakiś wędrowny czeladnik, chce z nim pomówić.

— O czém chce ten urwis ze mną gadać?.

— Ale jaśnie panie, wczoraj przy świętej niedzieli było pełno w karczmie, a ten garbaty grał na skrzypcach, i potem przy kieliszku...

— Przeklęte pijaki!.. już was gałgany oduczę tego pijaństwa!..

Jakoś przyszło do tego, że jeden powiedział garbatemu, że jasny pan znalazł na spacerze przy figurze na trakcie ....

— Co znalazł? co znalazł?.. ja was tu nauczę; i tak zaczął wywijać numerem drugim nahajki, trzeba wiedzieć były na stopnie podzielone, że wójt i przysiężni w nogi; milczenie nastało, tylko pan Antoni wpadł na krzyk, i zastał braciszka zapyrzonego pod bronią. Ochłonąwszy nieco z gniewu, kazał pan Wincenty przywołać garbatego Janka... Tu zaczyna się scena z obrazu...

— Kto jesteś? burknął pan Wincenty na wchodzącego.

— Janek na usługi pańskie; była pokorna odpowiedź.

— Jakto? Janek! Janek! i nic więcéj?.!

— No kiedy pan chce koniecznie wiedzieć, Jankiem garbatym mnie nazywają...

— To widzę!.. ale czegóż chcesz?..

— Ja mój jegomość chcę zégarka mego.

— Patrz garbusa! zostawiłżeś zegarek swój u mnie.

— Niezostawiłem, ale jegomość ma go u siebie.

— Powiedz nam tylko jak wyglądał twój zegarek? zagadał pan Antoni...

—Srebrny! mój dobry jegomość, trochę już z wierzchu pogięty, z czarnym bawełniannym łańcuszkiem... o ja go zaraz poznam!..

— Przestań gamuło!.. mój panie Antoni nie mieszaj się do rzeczy których nierozumiesz..... kodexuś ani czytał zapewne.

— Mój Wincenty! lepszy mój kodex w sercu wypisany, niż ten którym ty kręcisz jak szewc skórą... a potém i my mieliśmy nasze prawa wojskowe.

— No! no! tylko z prawami wojennemi daj mi pokój... a więc mój panie Janku z przydomkiem garbaty, bez nazwiska, śmiesz utrzymywać że u mnie jest twój zegarek?.

— A juźciż, jegomość znalazł go pod figurą na wielkim trakcie... jakoś idąc pozawczoraj z *pohulanki*, téj karczmy przy mogile na górze, zdrzymało mi się koło figury, i usnąłem pod drzewem sobie; a gdy na gospodzie pod miasteczkiem co to ją zowią poprawką, sta-

nąłem na popas, już mego zégarka w kieszonce nie było... dobrze mi mówiła gospodyni z pod złotego capka, u któréj pobielałem naczynia, że sznurek już niepewny.

— I dla tych ważnych powodów twierdzisz, że zégarek z pod figury u mnie się znajduje?

— Ależ mój jegomość, pastuszek z respektem powiedziawszy od świń, Samiłko jak go nazywają, powiadał, że sam pierwszy zobaczył i jegomości jadącemu w pole oddał...

— A to piękny dowód!..

— Wincenty! przecie niezechcesz?..

— Panie Antoni! niemieszaj się do tego... że mój pastuch, któremu dałem batogi za to że nie zajął xiężowskich świń, które mi w szkodę leść chciały, upiwszy się w karczmie z tobą, płótł duba smalonego, ośmielasz się twierdzić...

— To już nadto... spodziewam się, że niemyślisz cudzego...

— Cudzego?.. cudzego!.. zasyczał jak gadzina pan Wincenty; takim bowiem głosem przemawiał w gniewie, do czego mu brak zębów pomagał niepomału: milczałbyś kiedy ci dobrze w cudzym kącie...

— O matko moja!.. to twój syn powiedział!.

— Twoja matka umarła żebraczką przez twoją wojaczkę.. i ty żebrak! którego ja hodować muszę...

— Wincenty! Wincenty! niech ci tych słów Bóg niepamięta... krzyknął namiętnie pan Antoni, ale za-

milkł, bo w domowego życia ciasnych obrębach, potracił przy niejednej już walce z braciszkiem, resztki niebardzo rzęsistej energii swojéj...

— Czego panowie się kłócą przezemnie... przepraszam bardzo... proszę mi tylko oddać mój zégarek...

— Oddaj! proszę ciebie, wszak masz w kieszeni!.

Centkami czerwonemi, jak plamami krwi, pokryła się żółta twarz pana Wincentego; pełen wściekłej złości porwał za kieszonkę, i wyciągnął z niéj ściśniętą pięść, lecz trudnoby było odgadnąć, ażali w niej co trzyma, gdyby nie czarny sznureczek, który się zdradliwie z pod krogulczych wymknął palców...

— Oto! mój sznureczek! wykrzyknął Janek klasnąwszy w ręce z radości.

— Twój sznureczek wagabundo!.. panie bracie! ty coś rozbijał, mordował, obdzierał trupy! chcesz sprawiedliwości!.. dobrze!.. mój ty Janku garbaty!..zobaczemy!.. weźmiemy się najprzód do protokółu... bo taka rzecz niemoże się inaczej odbyć.... tu niéma świadków!..

— Jegomość! ja daruję protokół! ja chcę tylko zégarka mego....

— O nie ptaszku! musi być protokół!.. a masz ty czém zapłacić moją fatygę?..

— A żeby mnie matka boska chorobą pokarała, jeżeli mam grosz przy duszy! ostatnie dwa grajcary zostawiłem dziś rano w jegomościnej karczmie u Berka, który niegodziwie chrzci wódkę... ale może

jegomość ma brzytwy do wecowania? może komin wytrzeć potrzeba?..

— Nie wywiniesz się pijaku, ja darmo nie będę gryzmolił; zafantujemy mantelzaczek... zrobiemy protokół, a z niego się dopiéro pokaże czyli jest jaki dla ciebie zégarek srébrny z łańcuszkiem czarnym, którego to niby umiesz rozpoznawać...

Trzeba tu zrobić uwagę, że pan Wincenty, jakkolwiek zapaśny szlachcic, i posiadacz wioski, wyrobił sobie dekret na urzędnika, w celu, aby łatwiej przyszło prowadzić krnąbrnych chłopów w takt owych trzech wiszących kamertonów; było to zaś w jednostajném życiu wiejskiém jego jedyną rozrywką.

— Wincenty upamiętaj się!...

— Najprzód weźmiemy się *ad generalia*, a potém *ad specialia*.

— Wincenty oddaj proszę ciebie!..

— *Ad generalia*! kto jesteś? zkąd? czy masz paszport jaki włóczęgo!..

— Paszport?.. ja chodzę po świecie tyle lat!.

— Wincenty! zaklinam cię nie rób mi tego wstydu!

— Gadaj sobie co chcesz panie kapralu!.. więc nie masz paszportu bratku?.. a zégarka ci się zachciéwa?.. nieodchodzić ztąd!.. idę po papier, wójt i przysiężni niech czekają.. zaczniemy protokólik; a zamiast czarnego, zdybiesz się z żelaznym łańcuszkiem.

— Jegomość! jegomość żartuje sobie; czyżby pan na wiosce, chciał chudemu pachołkowi zatrzymywać lichy zégarek?..

— Jakiś włóczęga!.. to kryminałem pachnie!.. co! więc utrzymujesz koniecznie, że jakiś tam zégarek jest tu!..

— A jest w pańskim ręku!..ja go odstąpić nie mogę, choćby jegomość mnie posiekał!.

— Wincenty! po raz ostatni pytam cię, czy oddasz?

— Nie! nie! nie! mój Panie hiszpańczyku!

— Skoczył pan Antoni do swego pokoju, i lotem bomby wpadł nazad, trzymając w ręku swój złoty zegarek... tak jest zegarek, Juanity!.. „Dobry człowieku masz tu zégarek i idź swoją drogą!”

Ciekawe rzucił wejrzenie Janek na podany sobie zegarek, lecz wnet kiwnął głową i rzekł. „To nie mój! ja go niechcę!.. proszę o mój srebrny”... Obydwa bracia spojrzeli na niego z zadziwieniem.

— Ależ ten jest złoty, kosztowny; wierz mi mój kochany, bardzo kosztowny.

— Wierzę; ale dziękuję, i proszę o mój stary, srebrny połamany zégarek.

— Bierz! bierz dobry człowieku! daję ci go z serca...

— Poczciwe pan masz serce!.. ale nie ma takiego na całym swiecie zégarka, za który bym mojego odstąpił; oddaj mi go jegomość, a Bóg ci błogosławić będzie na każdym kroku!.

— To było za nadto na rozum pana Antoniego, za nadto na chciwą duszę pana Wincentego, który po-

myślał w téj chwili, ażali się w środku srébrnéj koperty nie znajduje banknot jaki; chciałby się zaraz o tém przekonać, aż mu palce zadrgały; ale wstyd nie pozwolił mu ścisniętej otworzyć pięści.

— Wszak za ten zégarek możesz mieć kilka srébrnych!...

— I za skarby całego świata nie dam; on pójdzie ze mną do grobu... oddaj mi go jegomość!.. i oczy Janka zwilżyły się łzami.

Pan Antoni z oczami od zadziwienia na wierzch wysadzonemi przypomniał sobie w téj chwili zdarzenie własne w Hiszpanii i zawołał: „może pamiątka?."

— Pamiątka panie dobry! tobie opowiem, i obtarł oczy brudnym rękawem. Byłem szlufierzem we Lwowie stałem długo z moim warsztatem na zielonem przedmieściu, tam w rogu jednego ogrodu.. bo ja byłem młodszy, a furtką tego ogrodu wybiegała codzień do miasta z kobiałką piękna Marysia..... wiele w życiu widziałem, ale piękniejszéj od Marysi ani w ojczyznie ani za granicą, chociaż długo furmaniłem po Warszawie i Moskwie... Marysia była dobra i grzeczna; jak się macie Janku, dzień dobry Janku, czy dobry dzień dzisiejszy dla was Janku; tak do mnie gadała idąc i wracając, a nie tylko nożyczki swoje, noże i brzytwy ojca, który był garbarzem przynosiła do mnie, ale i sąsiadów i sąsiądki prowadziła do Janka. Janek ostrzył, a ostrzył, a spoglądał za Marysią... Ale nigdy... widzi pan, ja jestem odważny, nieraz w gospodzie jak się zacznie bój-

ka, ja się i dziesięciu nie przestraszę; przed Marysią nigdy nieśmiałem powiedzieć, co u mnie tłukło się w sercu, może gdybym powiedział... ale nie!.. nie! ten garb mój!. ha cóż robić, takie już było boskie przeznaczenie!.. Wiosnę stałem całą; całe lato ostrzyłem i wecowałem; a w jesieni Marysia była coraz smutniejsza.. panie dobry! jakem zobaczył pierwszą łzę w jej błyszczących jak stal oczach, straciłem apetyt, sen i ochotę do pracy; nie długo to trwało, ale mnie się dłużej wydało niż reszta mojego życia... Napiłem się na kuraż wódki jeden, drugi i trzeci kieliszek, to było raz pierwszy żem miał dobrze w głowie, i zagadałem do Marysi, spytałem ją o przyczynę smutku... ach panie! stanąłem trzeźwiuteńki, jak mi po długich łzach powiedziała, że ojciec chce ją wydać za piwowara bogatego, a ona się kocha w studencie jednym z filozofii, który jej przysiągł raz na spacerze w lasku węglińskiego, że się z nią ożeni, i zaprowadzi do swojéj wioski gdzieś tam daleko na Pokuciu!.... Janku! Janku! ja sobie śmierć zrobię, jak nie pójdę za mego Stasia; Janku! ty jeden dobry mój przyjaciel, Janku ratuj mnie!.. Cóż miałem robić ja biedny garbaty szlufierz?. miałem nieco grosza zarobionego, zebrałem wszystko, przedałem warsztat, nająłem konie, bo oboje byli goli... i wyprawiłem ich w imię Boga na Pokucie. Niewiem co się z niemi stało, bom nigdy w tamte nie wędrował strony... Otóż na pożegnaniu, była to piąta z rana; dała mi Marysia na pamiątkę srebrny zegarek,

któryjej darowała chrzestna matka, żona rzeźnika z Krakowskiego przedmieścia; zatrzymałem go na tej godzinie... i codzień o piątej z rana muszę wypić parę kieliszków wódki, bo mi się na płacz zbiera za moją sliczną Marysią!..

— To szczególne zdarzenie! mruknął pan Antoni; jak on ją kocha! a jaż o mojej Juanicie czy myślę tak często! od długiego czasu Juanita po raz pierwszy stanęła z całym urokiem piękności łez i rozpaczy przed pamięcią zimnego pana Antoniego. „Juanito!" westchnął, a Janek sobie: „Gdzież ty moja Marysiu?"

— Wincenty! słyszałeś? czyż cię to nie rozczula? patrz on płacze!..

— Każdy pijak płacze!..

— Więc niechcesz mu oddać?..

— Najprzód protokół, paszport, metryka, potem koszta kancelaryjne, i zobaczymy.

— Powiedziałem ci raz podobno, jak mi jest drogi ten zégarek...

— Zapewne! bo ci codzień powinien przypominać, jaki dureń z ciebie; odrzucić bogatą Hiszpankę, z którąbyś mógł panować, i mnie biednemu przysyłać nie raz hiszpańskie złoto!...

— Ty tego nierozumiész! honor, sława, ojczyzna, cnota.... Ale nie o tym mowa, weź mój zégarek a oddaj srebrny Jankowi...

— A dasz cessyę na pismie?..

— Dam, jakem ułan z gwardyi Napoleońskiej...

— Niech i tak będzie! masz ty włóczęgo swoją srébrną klepsydrę, i idź precz!..

— Porwał Janek za zégarek, pocałował go, a potym złożywszy ręce jak do modlitwy, wyrzekł z płaczem: „Boże błogosław tego dobrego pana!."

Pan Wincenty przypatrywał się z uwagą zégarkowi zdobytemu gładkim sposobem; gdy tymczasem pan Antoni po odejściu Janka wyrzekł głosem uroczystym.

—Słuchaj bracie! lepszych od ciebie widziałem jak wieszali na wojnie! A potém odszedł do swojego pokoju; smutnym wzrokiem popatrzył na osieroconą czarną podstawkę od zégarka; żal nawet niezwyczajny ścisnął mu serce... aż gdy spojrzał wyżéj na ramki, z których patrzała na niego honorowa przeszłość jego, podporucznik Antoni przypomniał sobie, czym był i czym jest i pocieszył się!.

Józef Dzierzkowski.



Jan Kochanowski pod lipą.

[illegible] się z uwagą zegarko-
[illegible] gdy tymczasem pan
[illegible]
[illegible] jego, proporc-
[illegible] i czym jest
[illegible]



Smokowski rys.

w Lit. J. V Fleck & Cº

Jan Kochanowski pod Lipą.

JAN KOCHANOWSKI.

FRAGMENT.

(Z RYCINA).

Łaskawe życia naszego szafarki,
Ciągną nić złotą pracowite parki,
Na wrzecioneczka żywo namotają;
Dni nasze w złote kłębki nawijają.

A gdy już przędzy nie stanie srebrzystej,
To przetną pasmo i w drodze wieczystéj
Wnet się człek ujrzy; ten szczęśliwy za sie,
Kto żył dla ludzi dobrze w swoim czasie.

I jako na świat przyszedł—tak i schodzi
Czysty jako się sprawiedliwym godzi.
A świat był jemu płomieniem ognistym,
Z którego żywot jak żelazo czystym
Wypłynął w wieczność, tam gdzie ojce, dziady,
Przeszli po cichu—na spólne narady.

Zielona lipo moja w której cieniu
Siadam i słonecznemu kryję się promieniu;

Jakże to wiela z tobą rozmawiałem,
Jakież to różne myśli wyśpiewałem;
Za każdą, złotą struną potrącając;
Aże przegrałem życie, wdzięcznie grając.
Mogłem ci wprawdzie w zbroi, przypasany
Do miecza rycerz, i między dworzany
Stanąć królewskie. Lecz ty lipo moja
I ty gęśli, milsząś niźli zbroja.

Spiewak też równie myślą sprawy ima,
I świat mu cięży: jak chełm nad oczyma,
Za poczciwości chroniąc się pawężą,
Tnie prawdę mieczem—aż smoki polężą,
Albo zapasnik polegnie,—wszędy boje,
Walczy, kto ima lutnię jak i zbroję.
I świat jednako nagradza też one,
Liście na głowę wkładając zielone.
Tak nad mieczowym Greckim bohatérem,
Jako nad ślepym śpiewakiem Homerem;
Jedno, bobkowe liście skroń obwiodły,
Ziemia cóż ludziom da?—jeno chwast podły.
Pod cienie lipy mojéj, gościu pożądany
Spiesz się, tu cię pokrzepi mój dzban polewany,
Złota przywita lutnia i ubogie progi,
I kwiaty mego sadu, a domowe Bogi
Sen ci spuszczą przyjemny— aż cię zbudzą z rana,
Na gołębincu ptaki i klekot bociana,

Lub wierzbowa fujara.—Gościu mój kochany
Usiądź ze mną za stołem i wianek różany
Przyjmiej—fraszka ziemskie rzeczy,
Byle ojców obyczaj, szczerze mieć na pieczy.
I stare kochajmy się, rad zawsze wspominać,
I umieć sobie z Bogiem, i szablą poczynać.
Toć wszystko—więcej człowiek uczynić nie może,
Tępy ma wzrok by odgadł, dziwne sądy Boże.
Więc się cieszmy nadzieją, chwytajmy sny złote,
Że nam naszą poczciwość i ojcowską cnotę
Nagrodzą—choćby płoche te sny były,
Prawli komu się one na świecie przyśniły.

Pójdź gościu w moje progi, otwarte ci wrota,
Wita cię stara prawość i stara prostota,
Zrzuć zbroje i rumaka pachołkowi oddaj,
A zwyczajom się naszym staropolskim poddaj.
Chcemy sobie być radzi
Rozkaż Panie czeladzi,
Niechaj na stół dobrego wina przynaszają,
A przytém w złote gęsli albo w lutnię grają.

Teofil Lenartowicz.

POCIECHA.

Z POEZYJ WSCHODNICH RÜCKIERTA.

Oto pociechy pisanie,
Wiecznie smutek nie zostanie,
Żaden nie został jeszcze.
Oto słowa uczą wieszcze.
Żaden wiecznie nie zostanie.

Kiedy pójdziem do pościeli,
A naszych nieprzyjacieli
Na wierzch wzniesie szczęścia koło,
Niech podnoszą dumne czoło,
Koło szczęścia nie ustanie.

Kiedy bledną wargi róży,
Nie przetrwają ciernie dłużéj.
Radość z różami na czole,
Troska co cierniami kole,
Nie zostanie, nie zostanie.

Myślisz motylu że wszędzie
Swieca jasno tlić ci będzie? (*)
Zblednie ona z zorzą we dnie,
Przed jasnością słońca zblednie,
Twa swawola nie zostanie.

Na jasnym niebios błękicie
Tli iskrzące z gwiazd wyszycie:
Oprócz dobrych dzieł i czynów,
Żadno ziarno ziemi synów,
Wiecznie na niéj niezostanie.

Dziś trapią serca niesnaski,
A jutro znowu do łaski,
Powoła umysł miłośny
Powieki z uśmiéchem wiosny,
Która stałą nie zostanie.

Co zima w burzach pochłonie,
Wnet ukwiecą wiosny dłonie,
Bądźmyż weseli i radzi
Bo złe się z dobrém prowadzi,
Bez przemiany nie zostanie.

(*) Znane są w poezyach wschodnich, miłostki słowika z różą, a motyla ze swiecą.

Takie mówią było zdanie
W Hafisa towarzystw gwarze:
Lekkie serca, jasne twarze
Pijmy wino bo w puharze
Wiecznie wino nie zostanie.

Leszek Dunin—Borkowski.



ZAMEK
W MIEŚCIE
RAWIE.

WSPOMNIENIE HISTORYCZNE

PRZEZ

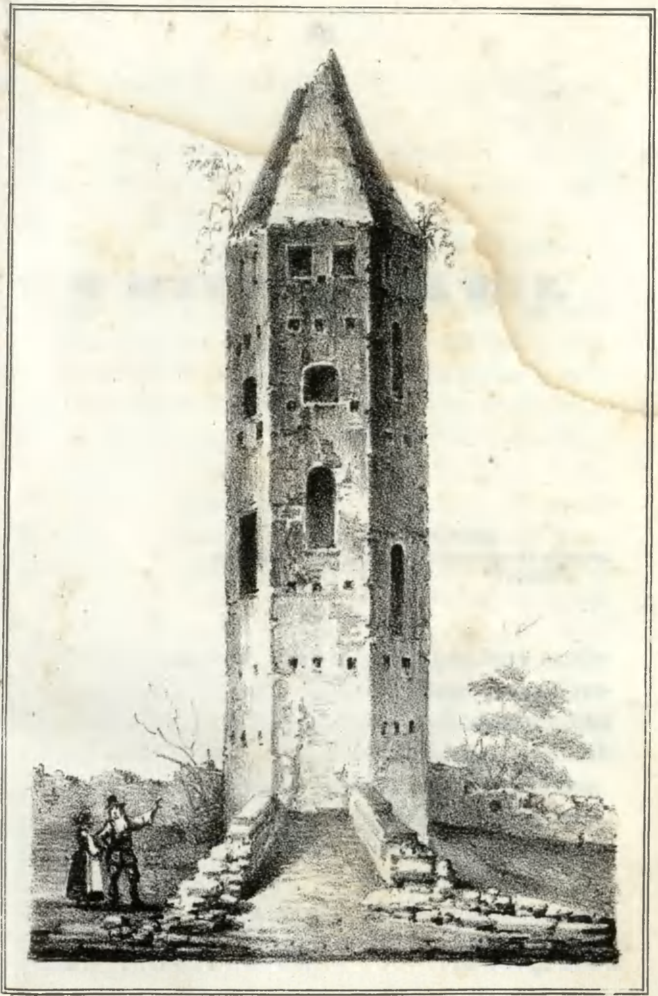
Wincentego Hipolita

Gawareckiego.

Z Ryciną.



Wieża Zamkowa w M. Rawie.



Smokowski rys. w Lit. J. V. Fleck & C°

Wieża Zamkowa w M. Rawie.

ZAMEK
W MIEŚCIE RAWIE.

— Disjectis muris —
reliquias veterumque vides monumenta virorum.
VIRGILIUS.

Nim przystąpimy do opisu zamku pamiętnego zaszłemi czyny historycznémi, w mieście Rawie, nie od rzeczy będzie wystawić poprzednio przechodzenie grodu tego pod panowania książąt Mazowieckich i królów Polskich, łącznie z województwem, którego był stolicą.

Już Mazowsze w r. 1286 zawierało w sobie województwa Płockie i Rawskie. Konrad II i Bolesław, synowie Ziemowita I, a wnukowie Konrada I, głowy szczepu książąt Mazowsza, w ten sposób dzierżyli ten kraj; starszy z nich Konrad II trzymał tę część Ma-

zowsza, która się z lewej strony Wisły rozciągała, miasta Rawę, Sochaczew i Gostyń w sobie zawierającą, i pisał się księciem Mazowieckim na Czersku, który był stolicą jego; zaś brat jego młodszy Bolesław, drugą część księstwa z Płockiem, to jest z prawej strony wisły, miał w udziale.

Konrad II w roku 1294 umarł bezpotomnie, pochowany w Czerwińskim kościele kanoników regularnych Lateraneńskich. Bolesław zaś był ojcem Ziemowita II i Trojdena, niemniej Wacława (Wankona, albo Wańka) z wtórej żony Czeskiej spłodzonego. Ci, po śmierci ojcowskiej w r. 1313 w Wyszogrodzie zaszłej, tak się podzielili Mazowszem: Ziemowit dostał Czersk, Rawę, Liw i Gostyń; — Trojden Warszawę, Sochaczew, Wiskitki, Ciechanów, Nowogród; — Wacław otrzymał Płock, i zawarł w roku 1326 zgubny dla siebie i Polski związek z zakonem krzyżowym; (1) a następnie w roku 1329 poddał się Czechom. Ziemowit II zostawił syna jedynaka Ziemowita III. Trojden znowu zostawił Bolesława i Kazimierza. Z temi król Polski Kazimierz III Wielki, uczynił umowę w Płocku w roku 1351, (2) mocą której zwierzchnictwo nad sobą i Mazowszem tegoż monarchy uznali, nadto, iż na przypadek zejścia ich bezpotomnego, udziały ich Ma-

(1) Długosz str. 989 i 993.
(2) Data: Actum in Plock feria sexta, infra octavam S. Matheae.

zowsza, miał posieść Kazimiérz III, zobowiązując się Płock i księstwo nazwiska tego od hołdownictwa Czechów uwolnić. Piérwszy z tych książąt Bolesław, księstwo Ruskie odziedziczywszy jako wnuk Leona pana Rusi, a syn córki jego Maryi, w Lwowie stolicy swojej, trucizną zgładzony został. Kazimiérz przeto pozostał sam z głowy Trojdena, bowiem Wacław albo Wańko miał syna jednego Bolesława księcia na Płocku, lecz i ten bezpotomnie umarł. Król Kazimiérz w skutek takowéj ugody, z synami Trojdena zawartéj, księstwo Płockie z stolicą jego objął w posiadanie, — wkrótce go jednak zostawił Kazimiérzowi Trojdenewiczowi, pożyczywszy od niego 2,000 grzywien piéniędzy; lecz gdy i ten książe zszedł z tego świata r. 1354, dnia 26 Listopada w Płocku bezpotomnie, znowu odzyskał to miasto król Kazimiérz III. Sam jeden z książąt Mazowszem rządzących, pozostał Ziemowit III, a odziedziczywszy udziały braci stryjecznych z woli Kazimiérza III stał się powszechnym księciem Mazowsza, i temuż Monarsze z nadanych lennem prawem ziem w Mazowszu, hołd w Kaliszu r. 1355 w dzień S. Jana Ewangielisty, (27 grudnia) złożył. Jednakże kazimiérz Wielki miał w posiadaniu swojém zamki: Płocki, Rawski, Wyszogrodzki, Sochaczewski, i Gostyński. Lecz w roku 1370, po nastąpionéj śmierci tegoż króla, Ziemowit pan Mazowsza, zamki te przez króla z umowy w r. 1351 zawartéj trzymane, dla siebie za-

brał, za poddaniem się dobrowolném miejscowych starostów o prawach księcia mających wiadomość; dzierżenie ich bowiem Kazimierzowi III do śmierci służyć miało. W roku 1379, gdy tenże Ziemowit książę czuł się powoli być słabym dla podeszłego wieku, podzielił księstwo swoje między dwóch synów Jana i Ziemowita; ten podział stanął w Płocku. Jan albo Janusz starszy, zwany często *senior*, zatrzymawszy dla siebie resztę księstwa, ustąpił bratu młodszemu Ziemowitowi Płocka, Gostynina, Sochaczewa, Rawy, i Płońska z ziemiami okolicznemi.

Ziemowit ten był pretendentem tronu Polskiego, śmiercią króla Ludwika osieroconego, i wielu z senatu i rycerstwa miał po sobie, nawet i Arcybiskup gnieznieński skłonił się na stronę jego. Lecz Zygmunt margrabia mąż Maryi córki starszej Ludwika króla Polskiego i Węgierskiego, również sięgający po koronę Polską, r. 1383, po zejściu teścia swego, wszedł do Polski na czele 12,000 Węgrów, a następnie na początku Września tegoż roku do Mazowsza, udziału Ziemowita, gdzie uległo wszystko przemocy; dobra książęce, duchowne i ziemiańskie około Rawy, Sochaczewa, Łowicza, Gąbina, i Gostynia, do szczętu zburzone zostały.

Z tego okazuje się, iż Rawskie należało do dzielnicy książąt Mazowieckich na Płocku, a w rozrodzeniu się tychże dalszém, było w posiadaniu Władysława księcia Płockiego i Bełzkiego, Brata Ziemowita księ-

cia Rawskiego, którego tę dzielnicę po zejściu jego bez potomka płci mężkiej, odziedziczył; ([3]) a gdy synowie tegoż w małoletności Ziemowit i Władysław pozostawieni, od niejakiego Gotarda z Rybna kasztelana Sochaczewskiego otruci zostali, na ten czas wielu powstało ubiegającyh się o posiadanie osieroconego z prawych dziedziców księstwa. Najpierwsza z nich Katarzyna księżna Litewska, wdowa, i Agata księżna Cieszyńska, ciotki zmarłych książąt, trzecia Małgorzata siostra stryjeczna tychże, a żona Konrada Czarnego księcia Oleśnickiego, domagały się spadku, i łącznie z królem Polskim Kazimierzem IV Jagiellończykiem o niego ubiegały się. Nadto byli do niego pretendentami: Konrad, Kazimiérz, Bolesław, i Jan; synowie Bolesława księcia Mazowieckiego, na Warszawie, Czersku, i. t. d. linii dalszéj, bo w czwartym stopniu ze zmarłymi zostający. Płoczanie wówczas władzę nad sobą oddali Konradowi księciu Mazowieckiemu na Warszawie, jako najstarszemu z książąt, acz z początku Katarzynę Litewską wpuścili do zamku Pło-

([3]) Książęta Mazowieccy zacząwszy od Ziemowita III, pisali się książętami Ruskiemi, z powodu, iż mieli w posiadaniu księstwo Bełzkie na Rusi Czerwonej, które Kazimiérz Wielki, Ziemowitowi III bratu Bolesława dziedzica Lwowa, w zamianę Rusi Czerwonej nadał. Księstwo to do r. 1462 przez książąt Mazowieckich dzierżone było, w którym czasie przez króla Kazimiérza IV Jagiellończyka, do korony wcielone zostało.

ckiego, ([4]) zaś Rawianie i Gostynianie tęż księżnę, przybywającą z licznym orszakiem wojskowym, odparli od zamków swoich.

Roku 1462 król Kazimiérz IV Jagiellończyk za porozumieniem się z miejscowymi starostami sobie przychylnymi, Rawski i Gostyński zamki, na siebie objął, nie czekając roztrzygnienia wszczętego sporu, do kogoby księstwa Płockie i Bełzkie należéć miały.

Odtąd Rawskie województwo ze stolicą swoją Rawą, zjednoczone z koroną Polską, do niéj ciągle należało, a uważane jako część Mazowsza, dzieliło się na ziemię Rawską, Sochaczewską, i Gostyńską, nosiło za herb orla czarnego z lit. *R* na piersiach, w polu czerwoném. W obecnym podziale królestwa Polskiego, ziemia Rawska stanowi powiat Rawski, do gubernii Mazowieckiej należący. ([5])

([4]) Taż księżna, opanowawszy Płock, przywiléj miastu temu w r. 1462 udzieliła, i ten w Zbiorze przywilejów miasta województwa Płockiego, wydanym przez W. H. Gawareckiego, w Warszawie u Gałęzowskiego w r. 1828 pod liczbą 172, jest zamieszczony,

([5]) Rawa, jedno z większych miast w Mazowszu, leży w okolicy żyznéj i przyjemnéj, o mil 12 od Warszawy odległe. Zdobią go kościoły z muru cztéry, jako to: parafialny, pod tytułem S. Piotra i Pawła apostołów, drugi kollegialny pod wezwaniem Niepokalanego poczęcia Najś. Panny, trzeci z klasztorem ks. Augustyanów, czwarty szpitalny pod tytułem S. Ducha.

Najgłówniejszą budowlą i ozdobą Rawy był obszerny zamek z muru, który obok grodu tego na wzgórzu ręką ludzką wysypaném, a rzeką Rawką oblaném, wznosił się okazale. Dziś gruzy jego zasypały wzgórze, a pozostała wieża w ośmiokąt zmurowana, smutnéj powłoki, podnosząc jeszcze swe czoło poorane ręką wieków, przypomina wędrowcowi dawnych swoich panów! Jakimże nawalnicom przyrodzenia i napadom samychże może ludzi, oparła się w przeciągu rozległego okresu istnienia swego. ! Iluż tu wydarzeń była świadkiem, ileż tu dzieł zakwitło i zwiędło, powstało i zniknęło bez pozostawienia śladu!

Ponuréj ciszy w miéjscach tych panującéj, nieprzerywa bynajmniéj szum płynącéj niegdy wedle grodu tego Rawki: koryto jéj skrępowane w jedno łożysko, omija starożytne zwaliska, i ledwie małe żyłki wody w miejscach przekopów, sączą się leniwo.

Tak to czas rączy w swoim biegu, niszczy dzieła ludzkie, i zaciera ich ślady, a mury starego gmachu tak łatwo runą pod jego ręką, jak łatwo wyciśnięte na piasku znaki, lada powiew wiatru zagładza i znosi. Nic nie masz pewnego, stałego i trwałego pod słońcem, prócz BOGA samego, i cnoty!

Z gruzów, o wspaniałości i obszerności tego warownego niegdy grodu, jak też z ułomków, o jego trwałości, sądzić wypada.

Był on mieszkaniem dawnych panów starożytnego rodu Piasta, długo tą ziemią władnących, im to nie-

wątpliwie winien jest swoje wzniesienie, i przywiedzenie do stanu obrony, z której przez kilka wieków słynął.

Budowany był w czworogran, którego każdy bok liczył długości łokci 100, murów od fundamentów dotąd istniejących, grubość wynosiła łokci 6, wysoki był na cztéry piętra, murem w około obwiedziony, wodą z rzeki i w przekopach oblany; sklepy pod całym gmachem rozciągały się, i tych baczne oko badacza, dotąd spostrzega sklepienia; zdobić go miały cztéry wzniosłe wieże, a przystęp do niego, ułatwiał zwodzony na łańcuchach most.

W takowym stanie postać jego była groźną, i za niedobyty łatwo mógł być poczytany. Zwaliska pozostałe odświeżają pamięci naszéj zdarzenia krajowe, których gród ten był świadkiem, i wierniej one niż pisma malują upłynione wieki!

Kazimiérz Wielki między innemi zamkami, tutejszy przebudował, i murem opasał, ze względu, iż go trzymał wraz z Rawskiém województwem w posiadaniu ([6]),na mocy zaszłej w Płocku umowy r. 1351, z synami Trojdena księcia Płockiego. Po śmierci króla tego, Ziemowit III, książę Mazowiecki objął go w r. 1370 w posiadanie, i ciągle należał do udziału potomków jego książąt Płockich.

([6]) Naruszewicz T. VI str. 235, i Bandtkie w Dziejach królestwa wyd. z r. 1820 str. 445.

Tu znalazła w czasie panowania księcia tego, okropny a niezasłużony zgon niewinna żona jego Eudoxia z książąt Szląskich na Ziembicy, czyli Minsterburgu pochodząca.(7)

Po zejściu książąt Płockich, synów Władysława w r. 1462, Grot, Cześnik z Nowego Miasta nad Pili-

(7) Ziemowit III po śmierci żony pierwszej Eufemii, pojął córkę Władysława księcia Zembickiego, Eudoxią, będącą na dworze Karola IV cesarza, pięknej urody pannę, a którą aż do zbytku i zazdrości kochał. Pomnażało się przywiązanie potomstwem, lecz księżna wpadła w podejrzenie pobocznej miłości, i skutków jej dom książęcy obcym płodem pomnażających. Nie śmiał nikt w Mazowszu o tém mówić, lękając się pana przywiązanego i podejrzliwego; aż kiedy Ziemowit gościł raz w Cieszynie, u siostry żony swoiej, poszeptał ktoś z dworzan księżnie Cieszyńskiej i jej synowi Przemysławowi, że księżna Mazowiecka wiarę małżeńską złamała.

Bądź to była niechęć jakaś między siostrami, bądź potwarz złośliwa, bądź prawda i chęć zapobieżenia dalszym występkom, dowiedział się od nich Ziemowit, i nic nie mówiąc pojechał do Mazowsza. Tam najprzód w zamku Rawskim żonę osadziwszy, kazał wziąść na katownie panny służebne, od których jednak nic mękami wymusić nie mógł. Trzymana księżna w więzieniu aż do połogu, urodziła syna Henryka, a po kilku tygodniach za poradą *ludzi wiernych* z rozkazu męża swego uduszoną została. Jednakże dzieje ówczasowych zdarzeń, zupełną niewinność Eudoxii przyznały, a śmierć jej popędliwośći i okrucieństwu Ziemowita przypisują. O tém zdarzeniu Naruszewicz mówi w T. VI str. 120, i 121. Z czynu tego ułożona powieść historyczna pod tytułem: Eudoxija, księżna Mazowiecka, wyszła z druku w Wilnie r. 1834 w II Tomikach.

cą, starosta Rawski, jako przychylny Kazimierzowi IV Jagiellończykowi, podał dobrowolnie zamek temuż panu. ([8]) Przybył przeto król Kazimierz IV tegoż roku na początku grudnia, i zamek dotąd trzymany przez Grota objął w posiadanie, przysięgę wierności od mieszczan odebrał, i przywiléj nadawczy z daty 8 grudnia tegoż roku udzielił.

Gdy król Zygmunt August w r. 1563 na sejmie odbytym wPiotrkowie, przeznaczył z dochodów z wielkorządztwa, starostw sądowych i niesądowych, z królewszczyzn i wójtostw pobieranych, kwartę czyli czwartą część tychże na utrzymanie stałego woyska w kraju, tym końcem wyznaczeni zostali rewizorowie, którzyby wielkość kwarty zmiarkowali, dochody wszystkie królewskie zliczywszy, i wytrąciwszy rocznie na starostów i dzierżawców przypadające, czwartą ich część w zamku Rawskim składali.

Tym sposobem oddzielał się dochód rzeczypospolitej od królewskiego.

W zamku tutejszym więźniowie stanu obcy, wysokiéj godności, mieli sobie naznaczane mieszkanie, jako to:

([8]) Grot został potem Wojewodą Rawskim, i otrzymał zapisy znacznych sum od króla, 1510 grzywien, i 270 złotych węgierskich wynoszące; niewiadomo czyli mu takowe król darował, czy od niego pożyczył. Trzymał przez zastaw miasto, zamek i dochody Rawskie. Archiv. Coron. Palat. Raven. anno 1489.

1. Niespokojny książe Meklemburski Krzystof, Koadjutor biskupstwa Ryskiego, za rozkazem Zygmunta Augusta pojmany, sześć lat tu przesiedział. (9) Straż osoby jego poruczona była Janowi Jarzynie herbu Białła, albo Trzaski, pilnemu i trzeźwemu szlachcicowi, który tylko wodę zimną pijał. Dopiero w r.1569 po wykonaniu przysięgi królowi na wierność i pokój, uwolniony został.

2. Karolusyn, syn naturalny Karola księcia Sudermanii, potem króla Szwedzkiego, przez hetmana Jana Zamojskiego, przy zdobyciu twierdzy Wolmaru r. 1601 dnia 8 grudnia w Inflantach wzięty w niewolę, tu osadzony, w więzieniu umarł. (10)

3. Podobnież i Jakób Ponte de la Gardie, wódz

(9) Około r. 1560 Krzystof książe Meklemburski, zawsze burzliwy, dopominając się Arcybiskupstwa Ryskiego, i przez to niespokojny, dobyty i pojmany od Polaków w zamku Dahlen, z rozkazu króla Zygmunta Augusta do Rawy na więzienie zaprowadzony został i tam lat sześć przesiedział. Opisu staroży: Polski p. Święckiego T II Str. 362. Zamek Dahlen na lewym brzegu Dzwiny przy końcu wieku XII. zbudowany od Niemców, dla zabezpieczenia się od napadów Żmudzi i Litwy.

(10) Karól Gildenhielm, (Güldenhelm,) syn naturalny Karola IX, u Szwedów Karrison, a Karolusynus, Karolosyn u Polaków zazwyczaj zwany. Dzieje Król. Pols. Bandtkiego T. II str. 240.

Szwedzki pojmany przy zdobyciu Wolmaru, tu był zatrzymany. ([11])

W nowo z druku wyszłym dziele pod tytułem: *Podole, Wołyń, i Ukraina*, czytam, iż wspomniony Ponte de la Gardie, czyli krócej Pontus, w zamian za przytrzymanego pod Amsterdamem w Holandyi Jana Karola księcia Koreckiego, później kasztelana Wołyńskiego, wydany został.

4. Jwan Podkowa, Hospodar Wołoski, brat przyrodni Iwonii wojewody Wołoskiego, ([12]) będąc przyczyną wielu zamieszań i rozruchów na Wołoszczyznie, gdy i Piotra wojewodę Wołowskiego, sprzyjającego Polsce z Jass wypędził, pojmany przez wojska królewskie, do Warszawy królowi Stefanowi przystawiony, z jego rozkazu w Rawie w więzieniu zamkowém osadzony został, ([13]) a późniéj we Lwowie na domaganie się Sułtana Tureckiego był ścięty.

5. Gostomski Jakób, herbu Nałęcz, z Gostomi, siódmy syn Anzelma wojewody Rawskiego, aryańskiej sekty, dla tego iż został katolikiem, przez trzy lata w zamku Rawskim cierpiał więzienie, wsa-

([11]) Wolmar miasto z zamkiem warownym, leży w Inflantach nad rzeką Aa. jeografija Platera str. 270.

([12]) Iż łamał *podkowy* zwano go z tego powodu *Podkową.*

([13]) Kroniki Bielskiego wyd. z roku 1833. w Warszawie str. 74. ks. VI czyli tom IX. Podkowa, ten przez kozaków, wprowadzony był na hospodarstwo.

dzony do niego przez ojca, a późnicj uwolniony; czasami w głowę zachodził. ([14])

Było razem w zamku tutejszym i więzienie dla występnych. — Przepisy Jana Ocieskiego kanclerza, ([14]) dla starosty Rawskiego, jak się ma obchodzić z więźniami, dowodzą oświecenia wyższego stopnia za czasów Jagiellońskich, w Polsce. — Rozporządza on w piśmie z daty 18 września 1550 roku *najprzód:* iż przestępcy (winowajcy) za występki w prędkości dopełnione, mogą razem siedzieć, bo dla wzajemnej zgryzoty uczucia, mogą siebie poprawiać, zwłaszcza jeżeli u nich jest skrucha; *powtóre:* występni zbrodni dowcipnie ułożonej, powinni bydź rozdzieleni, bo wyszedłszy z więzienia, wydoskonalą się w hultajstwie; *potrzecie:* nauki duchowne powinny bydź dawane więźniom; a nad ich obyczajami trzeba mieć baczność. ([15])

([14]) Anzelm Gostomski, kasztelan najprzod Płocki i starosta Rawski, potém wojewoda Rawski, mąż bystrego rozumu i w ekonomicznych rzeczach bardzo biegły, miał ośmiu synów i dwie córki z Zofiją Tarłowną spłodzonych, z tych dom Gostomskich rozrodził się i zakwitł. Anzelm Gostomski umarł około r. 1583. Niesiecki tom II. str. 289. — Zwykł mawiać: Zbytek w domu jest jak suchoty w ciele, powoli stęka, ale pewno w krótce umierać musi.

([15]) Jan Ocieski, herbu Jastrzębiec, urodził się w domu szlacheckim, nieznaczącym, z niezamożnych rodziców, tak mówi o nim Orzechowski: wychowany na dworze Krzysztofa Szydłowieckiego nabył tak wielkiej wymowy i bie-

Nadto zamek Rawski był składem ksiąg wieczystych ziemstwa i grodu Rawskiego; do ich rewizyi był przeznaczony z sejmu 1631 roku Mateusz Plichta, herbu Półkozic.

Roku 1645 pani Guébriant, marszałkowa wielka Francyi towarzysząca Maryi Gonzadze żonie króla Władysława IV do Polski, w powrocie swoim z Warszawy, nocleg w zamku Rawskim odbyła, który już wówczas słynął dawnością.

Dziś zwaliska odwiecznego gmachu tego milcząc, smętnie zalegają miejsce jego; można tu trafnie powtórzyć uczonego Surowieckiego wyrazy, których użył w dziele swojém, mówiąc o tutejszym grodzie.([16])

„Ogromne reszty murów i baszt zamku Rawskiego, słusznie nazwać można kolizeum polskiém. Szanowny ten zabytek, który śmiało równać się może pysznym

głości w rzeczach politycznych, iż nietylko najznakomitsze odbywał do Turek, Włoch i Niemiec poselstwa, lecz nadto kanclerzem królestwa mianowany, to ma Orzechowskiego świadectwa: „Jllius eloquentia cum summa gravitate et prudentia tanta fuit, ut nullus tum regum Christianorum parem illi habuit cancellarium.“ – Objął on pieczęć po Samuelu Maciejowskim za panowania Zygmunta Augusta, a świadczą współcześni, iż Polska nigdy wyborniej nieprzemawiała do zgromadzonych stanów, jak przez usta Ocieskiego; posiadał gruntowną wiadomość historyi. Umarł roku 1563.

([16]) O upadku miast w Polsce, w Warszawie 1810 roku, str. 194.

ruinom dzieł olbrzymich, zbudowany na kępie umyślnie sypanej, wśród trzęsawisk, stoi teraz poszarpany od psotnéj ręki, dowodząc zarazem wielkości swych twórców, a nikczemności ich potomków."

Echo po tych obszernych murach rozległe, odbijało całe komma głosu. (17)

Do zniszczenia pamiętnéj tej w dziejach naszych warowni, przyłożył się czas, a szczególniej ręka ludzka.

Przy odwrocie już Szwedów z Polski w czasie napadu Karola Gustawa, doznał losu podobnego wielu grodom, lecz w ciągu lat późniejszych przyprowadzony do stanu piérwotnego, ciągle był zamieszkały, i magistratury krajowe ówczasowe, odbywały w nim posiedzenia swoje.

Dopiéro za rządu Pruskiego w kraju tutejszym, doznał dla siebie zgubnego ciosu, gdy rozebrać go przedsięwzięto, dla wystawienia z materyjałów jego domów w mieście; wtenczas jedna tylko wieża dotąd ocalała. Jest ona szkieletem z upłynionych wieków; ptastwo unikające gwiazdy dziennéj obrało ją sobie za mieszkanie; a wiatry przebiegając jéj komnaty opustoszałe, obijają o ściany westchnienia i żale niewinnéj żony, przed pięciu wiekami, wyrokiem okrutnego męża życia tu pozbawionej.! (18).

(17) Świadczą o tém Ładowski i inni krajopisarze, oraz podania ustne osób pamiętających nietknięte te mury-

(18) Wieża ta była więzieniem Eudoxii, żony Ziemowita III, wedle podań miejscowych. Chętnie zwiedzamy was,

Gdy losy życzliwe sprzyjały w czasach upłynionych, grodowi temu, i dzielnych jego obrońców, wawrzynami wieńczyło szczęście, wówczas sława jego daleko była słyszana; obecnie ułomki pozostałe nie okazują śladu dawnéj świetności, śladu sztuki i porządku.! Wszystko znikło, prócz przyrody, nigdy nietracącej praw swoich.! — Wszystko jak mówi najmędrszy z królów ma swój czas, i wszystko na ziemi w oznaczonéj chwili przemija.!

szacowne szczątki przeszłości! Wy jesteście ozdobą miejsca tego, i wieczną zarazem prawdą, iż co ręka ludzka tworzy, wszystko to ginie i niknie.! Rysunek zabytku ocalonej tej starożytności, w miejscu zdięty jest z natury.



ZWIERCIADŁO MAGICZNE.

Powiem wam co widziałem i jako widziałem,
Przez latarkę magiczną, nie przez siatkę marzeń:
A było to com widział, czemsiś tak wspaniałem,
Jak nie snadno napotkać wśród powszednich zdarzeń.
Jest w moich stronach magik — mąż wiedzą bogaty,
Mechanicus, jakiemu równych nie znajdziecie,
Ten mi częstokroć dziwne swoje apparaty
Pokazywał, zamknąwszy w tajnym gabinecie.
A miał pomiędzy témi narzędziami swémi,
Sławne, jak mówił, lupy, soczewki i szkiełka,
W których, gdy izbę szczelnie storami zaciemi,
Przedstawiały się różnej postaci światełka.
Otóż to przez te szkiełka, ujrzałem raz w parze
Dwa obrazy, odrębne całkiem w swym rodzaju,
Choć w obudwu jaśniały, kształtne niewiast twarze,
Choć obiedwie z jednego zdały się być kraju.
Jak pomiędzy gwiazdami na nocnej oponie
Lśni się wydatny promień Wenery lub Liry,

Tak obrazy tych kobiét, w drobnych świateł gronie
Panowały, jaśniały przez pomroczne kiry.
Ale jakże odmiennie! — Jednéj blask spokojny
Jak księżyca, gdy w czystym przegląda się zdroju,
W oczach wyraz tak słodki, tak z całością strojny,
Że najburzliwsze dusze skłania do spokoju.
W tym wzroku można było czytać duszę całą:
Można było wyczytać jak w nabożnéj księdze,
Wszystkie trzy święte akty, brzmiące Panu chwałą,
I pokorę uległą wyroków potędze.
Czasem łzę było widać: ale łzę tak czystą,
Jak sieroty płaczącej, na matczynem grobie;
Lecz sieroty wierzącej w dobroć wiekuistą,
Co żal przemieni w radość po doczesnéj probie.
Wzrost mniéj jeszcze jak mierny, stopa jéj się zdała
Znać biegle ścieszki życia i światowe kroki,
I poprzestawać na nich, do biegu nieśmiała,
Pod względem pewnych granic i danéj epoki
Był to obraz skończony — arcymistrza dzieło:
Farb pełnych choć mniej żywych — mniéj świetny jak święty.—
Drugi w takiejż oprawie, lecz z jego lic tchnęło
Tysiąc szkarłatnych ogni, jak z tęczy rozpiętéj.
Skroń wzniosła — oko modre, w nim się płomień żarzy
Wydmuchany z ogniska namiętnego ducha,
I krateru myślenia — piękne rysy twarzy,
Ale ich nie uchwycisz w jeden ciąg łańcucha,

Nie rozeznasz — rzekomo wewnętrzne zapasy
Wyryły na nich zwodne niepewności piętno;
I patrząc na ten kontrast nieładu i krasy
Tak ci dziwnie na sercu i lubo i smętno,
Że sam wpadasz w niepewność. Fantastyczne szaty
Odwijały tę kibić, lekko, niewyraźnie,
W jakiś typ napowietrzny, w jakiś kształt skrzydlaty;
Widać było w tém wszystkiém świetną wyobraźnię,
Ale rozpierzchłą w iskry — snać pędzel artysty
Mistrzowskie rzuty swoje, znaczył od niechcenia,
Lub zaniechał je złączyć w kształt pełny, przejrzysty,
Lub umyślnie pomieszał pół-światła, pół-cienia.
Ideał nie skończony chaos dziwnej treści,
Szczytność niedoskonała, hieroglif stworzenia,
Takim mi się wydawał ten obraz niewieści. —
I znowu ku drugiemu zwróciłem spojrzenia;
I porównałem w duchu to *Bóstwo domowe,*
Z tym *geniuszem świata* — i rzekłem do siebie:
Fenomena! któż waszą zgruntuje osnowę?
Gwiazda stoi, meteor przelata po niebie;
Gwieździe Pan kres naznaczył pewny i niezmienny,
Lecz czyż ognista kula w migotnym przelocie
Niema swojego celu? ten krążek płomienny
Nie spełniaż także gwoli Najwyższej Istocie
Jakichś przeznaczeń danych? Spadające gwiazdy
Nie sąż tylko dla oka błędnemi ogniami,
Lecz w rzeczy może także mają stałe jazdy,
A ich spadanie tylko pozornie nas mami.

Wszak w przemianach trwa życie — i duch *co się staje*
W wiecznych walkach, zarówno wyszedł z Boskiéj ręki,
Jak ten co się stał rano — i zbawienia kraje
Zamieszkał instynktowo bez trudu i męki.
Chociaż drogi odmienne, cel może ten samy.

Tak z sobą rozmawiałem, i rzuciłem szkiełka,
Lecz dotąd jeszcze żywe wyobraźni ramy,
Przedstawiają mi one pamiętne światełka.
Wielbię obu obrazów i błyski i mrugi,
Lecz mimowolnie równy hołd im nieść się wzbraniam;
Na piérwszy ze czcią patrzę, z zdumieniem na drugi,
Piérwszy kocham, przed drugim tylko—czoło skłaniam.

Józef Paszkowski.

SEN ŻEBRAKA.

Smutno mu w izbie — bo gdzie rzuci wzrokiem,
Czy to na mury, zimne, okopcone,
Czy drzwi spękane, dziś podporę ściany,
Czyli też okna kurzem powleczone,
Wszędzie obszernym nędza na przemiany,
Po całéj izbie przechadza się krokiem.
Smutniéj mu stokroć wśród obszaru świata; —
Ale najsmutniéj na téj biednéj ziemi,
Gdzie widząc ludzi i gdzie żyjąc z nimi,
Nie może znaleźć bliźniego lub brata,
Coby dojrzawszy rozpacz w jego łonie,
W miejsce zbytniego, lichego dukata,
Na wyciągnięte, grosz mu rzucił dłonie!

Miałżeby nakształt siedmiu śpiących braci,
Przespać te czasy i te wieki złote,
Gdzie jak dziś, ludzie pokochawszy cnotę
Nieśli ostatek dla biédnych współbraci?
Miałżeby prześnić te chwile uroku,

Gdzie każdy spieszył, drugim podać dłonie,
I łzę otarłszy w zapłakaném oku,
Rosą nadziei zlewał zwiędłe skronie?

O bodaj nieśnić, jeźli całe wieki
Sen ma być prawdą, a prawda złudzeniem,
O bodaj nieśnić, gdy za przebudzeniem,
Wita cię rozpacz, co skleja powieki!......
To mówiąc, powstał i przed gmachu wrota,
Kędy bogaty w przepych i dostatek,
Orszak służalców świéci się od złota,
Wlecze krok błędny, by wyżebrać datek.

Próżno po trzykroć wyciąga ramiona,
Próżno po trzykroć przyzywa litości,
Bo tam z kamienia wykute są łona,
Jak tych ciosowych obrazków nicości.
O ludzie! ludzie! a gdzież owe słowa,
Które zwiastował Odkupiciel Świata,
Gdzie owa wiara i nauka owa,
Którą miłować nakazał wam brata?

Przetrzyjcież przecie zleniwiałe oko,
I raz spójrzyjcie w swojém życiu śmiało,
Patrzcie jak nędza wryła się głęboko,
W wybladłe usta, i skośniałe ciało;
Przeszłość i przyszłość — dziś — i jutro razem,
To pasmo nieszczęść —jego kolej taka,

Są jeszcze więcéj niż nędzy obrazem,
Bo samą nędzą pod maską żebraka.
Próżne przestrogi, modły i pacierze
Kazali wyszczuć takiego zbrodniarza,
Tylko że stokroć litościwsze zwiérze,
Jeszcze się u nóg łasiło nędzarza.

Wyszedł więc z gmachu, by iść w dalszą drogę
Szukać posiłku, litości, schronienia,
Ale nim za próg stawił słabą nogę,
Upadł zemdlony — w tém pierzchły marzenia!

Tak, to snem było — bo Chrystusa cnoty,
Które od wieków, przekazuje z wiekiem,
Czczone u wszystkich pomnych na wiek złoty,
Gdy sam Zbawiciel — był również człowiekiem!

Karol Kucz.

KOCHANY STRYJASZEK.

OPOWIADANIE STAREGO STRYJASZKA.

Nie jestem zwolennikiem prowincyonalizmu, bo nie sądzę, żeby jaka okolica miała wyłączne prawo do naszego zamiłowania, ani wierzę, aby niezaprzeczonym dowodem natchnienia, były apostrofy w guście:

....domowa rzeko moja!

Albo.... Luby sercu i oku witaj mi Prądniku!

Ale mam to mocne przekonanie, że każdy zakątek rodzinnego domku, siedliskiem jest lubych wspomnień, i że natchnienie nie w téj lub owéj czérpa się rzece, ale jak mówi Bogdan:

„Z niewcielonych gdzieś tam światów,
Garnę myśli — uczuć skarby....
Do obrazów zbieram farby.“

Z tém wszystkiém jednak niemożna zaprzeczyć, że niektóre okolice kraju są ciekawsze jak inne, i odmiennym cechują się charakterem, zwyczajów i życia. Ta krótka uwaga niech służy czytelnikowi za przygotowanie

i usposobienie do ocenienia wypadku o *kochanymStryjaszku* który mieszkał, żył i umarł w zakątku kraju mało nam znanym, a jednak ciekawym, na Ciechanówsce, jak się pospolicie mówi.

Był to istotnie kochany Stryjaszek, bo ten przydomek *kochany* jemu tylko nadają, i on wszystko znaczy, bo Stryjaszkiem tam jest każdy, tam wszyscy krewni.

— Któż więc był ten Stryjaszek?

— Ja nie wiém!

— A to pięknie, pisać czyjąś historyą, a nie wiedzieć kto on był!

— A czemuż Waszmoście nie pytacie dobrze, po szlachecku, kto go rodzi? co on zacz, skąd się pisze?...

— Aha, no więc!.

— Żałuję bardzo że niepotrafię opowiedzieć tego tak szeroce i dokumentnie, jak to słyszałem od jednego z sąsiadów kochanego Stryjaszka, którego znowu starym nazywano Stryjaszkiem, ani tak gładko i podobnie jak to potrafi nasz pan Kazimiérz — darujcie więc, że tę szlachecką gawędkę, ale istotną prawdę, opowiém jak umiém;

Otóż przedewszystkiém muszę was kochani czytelnicy, zapytać słowy pana Brunona z Ojrzenia, czy wiécie:

Czém jest to ogromne bóstwo,
Raczéj potwora straszliwa,
Co ma ocz i uszu mnóstwo,
Co tysiączne wznosi głosy,

Nogą na ziemi przebywa
A głowę wznosi w niebiosy?...

Jeśli nie wiécie, to ja wam powiém, że jest to wszechwładna pani na Ciechanowsce, co w każdéj choć dziedzicznéj niezależnéj zagrodzie, hołd i daninę odbiéra — jest to owa

...arka przymierza
Między dawnemi i nowemi laty,
W któréj lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty....

Jest to owa ciągła nigdy nieskończona historya okolicy, jest to tradycya, wieść... otóż, to to bóstwo, ta wszechwładna pani, zachowała i przez usta starego stryjaszka, tak rzecz o kochanym stryjaszku do powszechnéj podaje pamięci.

Jest na Ciechanowsce wioska nazywana złotém jabłkiem, bo chociaż mala w granicach, ma wszystko czego szlachcicowi trzeba — ma łąkę i mąkę — ryby i... tylko grzybów niéma, bo do lasu daleko. Ziemia na niéj choćby pod cebulę od zagona do zagona, a cóż dopiéro pod pszenicę! Jeżeli z góry rzucisz okiem w około na jéj pola, a wtedy na ziemi jesień, wszędzie czarno! czarno jak smoła; — jeżeli lato, wszędzie szumi morze kłosów; jest i dwór w cieniu starożytnych lip, i lamus pod cieniem starożytnego dębu; a jednakże nikt nie może odgadnąć, czém się to dzieje, że od przeszło półwieku jak tylko pamiętają starzy, żaden z jéj dziedziców i posessorów niczego się tam dorobić nie-

może. Widziano niedawno trzy tego przykłady, i kiedy ostatni właściciel niemogąc się doczekać pomyślnego skutku swej pracowitości, nakładu i zabiegów, zapytał w poufałéj pogadance starego stryjaszka, jaka może być tego przyczyna.

— Ha wola boża panie! odpowiedział stryjaszek, kara boska jegomościulku! Ja tu jak zapamiętam od 40 lat, każdy pracuje jak wół—ale żeby ręce po łokcie pourabiał, bieda i bieda,i szanowny pan sąsiad, ale niech to nieobraża, dobrze jeszcze ztąd wyjdzie, jeśli bryczką wyjedzie a nie o kijku! Śmiano się wtedy z proroctwa stryjaszka, poczytano je wtedy za ową przyganę konkurentów co ganią rzecz na którą mają ochotę, czas jednakże ziścił jego przepowiednią co do joty! W owej jednak chwili kryzys gospodarskiéj, ciekawość doradziła pociągnąć stryjaszka za język, jaki też być może powód zapowiedzianéj przez niego kary boskiéj. Stryjaszek więc, niepamiętam już, czy w mocnéj herbacie, czy ponczu naczerpnąwszy wymowy, tak prawie rzecz mi opowiedział, opuszczając tylko wszystkie z kilkakroć tysięcy powtórzone Moci Dobr.

— Widzi Pan Dobrodziej — ta bo fortuna dostała się sędzicom w sukcessyi po kochanym stryjaszku! a przysłowie dobrze mówi: „krzywe zbieranie — djabłu się dostanie; bo to pewna czego natura niedała, tego i kowal nieukuje. Male parta zawsze idą do czarta i z nich ani panu Bogu świéczka ani djabłu ożóg. Ale bo to mówią Stryjaszek, Stryjaszek! jak?

gdzie? co? kiedy? po pstrym wołku po łysej kobyłce; wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi!“

Taka była introdukcya starego stryjaszka naszpikowana Mocium dziejami, ożywiona tabaką i odwilżana haustami! mówił on o kochanym stryjaszku jakby tylko przypominał główniejsze rysy, jakby to już wszystkim było znane,jakby że on to już tyle razy opowiadał od a do z. To zaczął z końca, to ze środka, to tego, to owego powołał na świadki — żeby więc niezaciérać charakteru właściwego jego powieści, miejcie i wy szanowni czytelnicy taką cierpliwość na jaką ja się wtedy zdobyłem.

—Tak, tak! mówił stryjaszek, proszony żeby rzecz od początku opowiedział. Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi! a bo to oni szlachta — pan Dobr. myśli że to stara szlachta? jaki!— a toć tu jeszcze na tém jakże się zowie, hę! mieszkają ich krewniaki, każdy cham w chama — toć tu panie za Prus pamiętam jak dziś, była o to długo kwerenda, wszyscy ich od małego znali! ale cóż panie! Szpaki to ho! ho! Panie kiedy się chłop uda! to przeszedł mecenasa! Metryki panie były w tém... gotowy dokument. Nieboszczyk proboszcz miał już nakazane dostawić extrakty, ale cóż, jednemu szydła golą a drugiemu i brzytwy niechcą, w czépku się urodził zwyczajnie. Pamiętam jak dziś, już był dobry mróz, wróciło się z miasteczka pod dobrą datą, grosiwo było, bo było panie — talarów jak lodu u każdego, aż tu wpiérwospy krzyk; gwałtu, gore! zry-

wam się równemi nogami, biegnę do okna, patrzę — całe poświętne się pali, księżyna niebożątko ledwo z duszą uciekł; zgorzało wszystko z kretesem, gumna, plebania i akta, metryki! Masz tobie, myślę sobie! w to mi graj! — ludzie zaraz gadu, gadu — ale cóż?, spaliło się i basta, gdzie kogo szukać, jak kamień w wodę; i cała też analolia zaraz się skończyła, poszło wszystko na świadki, ale to zwyczajnie, spytali jak to mówią: masz cyganie świadki? mam panie żonę i dziatki. A w tamtych jeszcze czasach, gdzie to: ryba fisz, geld auf tisz; pieniądze są fortuny, —no i szlachcic panie.

— Ale cóż to należy do rzeczy, przerwałem, czy szlachcic czy nie szlachcic, mniejsza oto!

— Jak to mniejsza panie, szybko pochwycił stryjaszek.

Przyznam się drgnąłem na ten szybki zwrot jego, i czemuż niejestem Hogartem, żeby go szanownym czytelnikom w wiernym konterfekcie jak mówili starzy, przedstawić na oczy z jego chudą a rumianą twarzą, przedzieloną na dwie połowy dereszowatym wyszmalcowanym wąsem, nad którym sterczał nos orli zgnieciony w środku kulbaką okularów, z jego srébrzystą czupryną równo na około ogoloną, w jego piaskowej kapocie z potrzebami i sztylpowanych butach — jak on na moją nieostrożną uwagę, zerwał się jakby padalca nastąpił, lewą rękę wtył cofnął, a prawą złożył przed sobą do boku, jakby korda sięgał i z zadziwienia rozdziawiwszy gębę, sokoli we mnie utkwił wzrok. W tej

jego postawie widocznēm było, że słusznie, prawdziwie nieodrodnie na jego palcu, który potem ku mnie wyciągnął, czerwienił się w sygnetowym krwawniku rodzinny jego jastrzębiec! Zrazu w oczach jego widać było jakby krzyżujące się myśli, domysły, ażali trafił na równego sobie słuchacza, potém jakby miarkując zapęd, mówił każdy wyraz z wolna:

— Jakto panie mniejsza! — to to mniejsza panie, że ze sto szlachty musiało pójść precz, a on jedną, drugą i trzecią wieś sam jeden posiadł — a toć to panie jabłko niedaleko od jabłoni pada, żeby on był bene natus z antenatów to niebyłby tak panów braci sąsiadów męczył, grdęczył, wodził po sądach, od Annanasza do Kaifasza, aż wszystkich powypędzał.

— Jakto? więc im niesprawiedliwie powydziérał fortuny, oszukał?

— A! Broń Boże, nie! panie — popłacił! tylko się tak tak mówi, że nie taki straszny djabeł jak go malują, a oni tak dmą, a tu niéma w co. Już to co do tego panie, to nie można mu ująć i nieda mi ta szklanka mówić, ale to było subjektum. Mój nieboszczyk rodzic świeć panie nad duszą jego, będąc w infimie w Pułtusku, nazwał go retorem — łacinnik panie z niego zabity, i musiał być wart tego, kiedy nasz xiążę Biskup, wziął go na swoją porękę... Daléj, dalej dochrapał się coraz wyżéj, ale cóż, dać kurowi grzędę, to on chce wieży; tak i on kupił tu jednę fortunkę, spłacił drugą, przybyło ich potém kilka, aż tu małe

dworki znikły, tylko stanął duży dwór i wieś całą gębą, tym sposobem przyszła druga i trzecia. Pszenica się rodziła jak bór, talarów też było multum. Zachciało się potem i honorów, a tu panie trudno, niebyło żadnéj parenteli; ale jak mówiłem po spaleniu się plebanii, był chléb, to się i nóż znalazł. Znaleźli się zaraz imienniki, krewniaki i nasz bogaty chamczuk został kochanym Stryjaszkiem, jakichsiś, gdzieś tam, skądsiś starościców czy sędziców!....

— A więc wszystko szło uczciwie, pięknie, ładnie, skądże ta jakaś plaga boska, jaka teraz ciągle dotyka tutejszych dziedziców?

— Ale bo to panie Dzieju nie wszystko jeszcze powiedziałem, toby tego na wołowéj skórze nie spisał..... ho-ho dużo to dużo gadać!

— Siadaj stryjaszek, cóż tak spiesznego do domu.

Poczciwy stryjaszek niedał się długo prosić i tak znowu daléj mówił:

— Bo to widzi Asędzi Dobrodziéj, kto przed piekłem mieszka, musi djabła w komotry prosić. Przybrani też za synowców sędzice, mając się dobrze z łaski stryjaszka, prochby byli przed nim zdmuchnęli, zawsze swoim kochanym stryjaszkiem w każdym dyskursie szastali. A stryjaszek też kontent; na ci tobie Bartosiu konika — tobie Jędrusiu sajecik, i czątę częściéj przewietrzały się z kaletki, a Jędruś i Bartoś co targ do miasteczka! ale jak stryjaszek o co zawołał, to na złamanie karku, oba żeby w ogień, a zachorował

broń boże, co to było płaczu, lamentu! Stryjaszek więc tak dobrym synowcom, wszystko do wiernych oddał rąk, ale oni zawsze tak samo usłużnie, pokorne, ciche jak baranki. Aści tu panie jak to zawsze, gdzie djabeł niemoże to babę poszle. Gdzieś, kiedyś jedna ze sąsiadek zgadawszy się ze Stryjaszkiem, zapytała czy to prawda, że darował Bartosiowi wioskę a Jędrusiowi drugą. Niebyła to Panie próżna ciekawość, pani sąsiadka, miała duże dorodne córeczki, ale na małéj fortunce. Tknęło to stryjaszka i zapytał więc:

— A skądże to jejmość Dziejka wié o tém?

— Ludzie gadają, i Ichmość sędzice dali się z tém słyszéć i bardzo słusznie i pięknie, toć Jegomości ani żona, ani dzieci.

Ale stryjaszek ni tak ni owak nie odpowiedział i do czego innego nakręcił..... tylko za powrotem do domu, posyła po paniczów, którzy mieszkali po wioskach i gadu gadu, powiada im, że dowiedział się iż w Gdańsku ogromnie się targi na pszenicę podniosły, że mu radzono żeby mając znaczną partyą,pojechał sam, to jeszcze lepiéj przeda; układa więc podróż, urządza gospodarstwo, oddaje klucze od wszystkiego i wyjeżdża do Gdańska na Płock, gdzie pszenica już była na składzie. Minął tydzień, kochany Stryjaszek pisze, że już pszenica popłynęła i on ruszył za nią. Na drugi tydzień pisze, w przejeździe przez Toruń; na trzeci że stanął szczęśliwie w Gdańsku że przedał pszenicę, że im nakupił różnych ładnych rzeczy. Na czwartą nie-

dzielę, donosi że jeszcze niewyjechał bo słaby trochę, jak to czasem i w domu miewa, na migrenę. Po tym liście jakby uciął panie, ani słychu, ani listu, ani orędzia cały miesiąc boży. Sędzicowie się turbują co się stało, niespokojni; aż tu jednego razu gdy wybierają się z chartami, wchodzi żyd. — Skądeś żydzie?

— Z Płocka Jaśnie Panie. — Cóż chcesz? — umyślny, Jaśnie panie z listem przychodzę od kupca Szperlinga.

— Dawaj!

— Z przeproszeniem, niech się tylko Jaśnie Panie nie zlęknie.

— Alboż co?... czarna pieczęć z herbem kochanego stryjaszka wytłómaczyła im poczęści tajemnicę, resztę list oznajmił, że kochany stryjaszek rozstał się z tym światem w Gdańsku i tamże pochowany; że pieniądze za pszenicę złożone u kupca, oddane będą za zgłoszeniem się synowców, którym on cały swój majątek przekazał, jak to załączony własnoręczny testament dowodził.

Miarkuje Pan Dobr. jakiej miny sędzicowie nabrali na taką gratkę, jedynemi sukcessorami! I wystaw sobie Asendzi Dobr. oni co go tak kochali, ani łza im nie kapnęła na tę wiadomość o śmierci stryjaszka, zwyczajnie co z oczu to z serca. Gruchnęła wnet panie po okolicy wiadomość, że kochany stryjaszek umarł, zjechało się zaraz pocieszycielów pełno do sędziców, i w ogromną wbili ich renomę, bo to nie żarty dobrodzieju, trzy wsie bez dłużnika i szkatuła porzą-

dna i inwentarze zasobne. Dalejże więc Panowie Sędzice w rządy. Zapleśniałe najprzód grajbery z ich łaski wnet zapoznały się z żydkami; daléj — cugi huczne — jaka parada! — a jakie polowanie w imieniny starszego pana Sędzica na św. Bartłomij, pierwsze pole! Panie to jak na sejmik zjechało się szlachty. Iédz, pij po uszy! butelki jak grad leciały przez okno. Pod wieczór znalazła się i kapela i dalejże w tany! — istna Łysa góra, jakby się diabli żenili....

— Wtém naraz: aj waj! krzyknęli kapeliści i w nogi oknami, a za niemi szlachta i wszystkie izby próżne, tylko kochany stryjaszek z kijem w ręku, powolnym krokiem zbliżył się na środek stancyi.

— Ale gdzież tam żartujesz sobie stryjaszku, przerwałem, jakże, po śmierci przyszedł?

— Ha ha, to téż właśnie — rzuć kota z góry, to on na pazury; alboż to Jegomość Dobr. myślisz że on umarł? Nie panie, trafił frant na franta i wyciął kuranta. Stryjaszek ani postał w Gdańsku, siedział sobie spokojnie w Warszawie gdzieś w klastorze, a całą tę historyę o śmierci naumyślnie puścił żeby się przekonać jak się téż kochani synowcowie zachowają, — i diable ich zdybał. Opowiadał on sam potém memu Rodzicowi, jak podjechał cichaczem, mając wiadomości przez żydków, jak się nasłuchał co goście i swoi o nim gadali, jaki to on kutwa, jaki to cham, jaki to on Bóg wie nieco...

— Cóż się potém stało.

— A cóż się miało stać; jak ochłonęli ze strachu zbliżył się jaki taki, on też zaczął chodzić, wołać chodźcie, niebójcie się, ja przecież żywy; powoli, powoli ostrachali się i poschodzili. Onże dopiéro jak zacznie ciąć kapitułę panom synowcom: „zmówiłeś który pacierz za moją duszę? sprawiłeś pogrzeb? a hulać, pić i jeszcze drwić to umiecie za moje dobre i z mojéj pracy; poszli precz hołysze, jużeście się nacieszyli, ani mi się na oczy pokazywać — i nie było rady. Cała kompanija zawstydzona wnet się rozpierzchła!

—E! mój stryjaszku! jużci przyznasz że to dziwactwo! cóż mieli robić? umarł, znali jego rękę, darował, więc wolno im było robić co chcieć.

— A za pozwoleniem, sam honor nakazywał sprawić dobroczyńcy przedewszystkiem pogrzeb!

— Prawda, ale przecież to nie taka zbrodnia żeby ściągała niebłogosławieństwo!...

— To nie; przyznaję ale bo też Pan Dobr. uważ co się stało dalej: Stryjaszek po téj awanturze żył sobie czerstwo, a w sąsiedztwie wszyscy się śmiali ze synowców, że ich kochany stryjaszek jak kotów od mléka odsadził. Dał się wreszcie przebłagać stryjaszek różnym sąsiedzkim instancyom i synowcowie wrócili do niego, ale już nie tak serdecznie z nim byli, jakoś na bakier. On niedowierzał, a oni czuli urazę. Aż też panie, po kilku latach stryjaszek na prawdę Bogu ducha oddał po krótkiéj chorobie. Panicze niedowierzając czy znowu nie figiel, zwolna i smutno

krzątali się koło niego; kiedy to ich wreszcie zaczęło nudzić, i kiedy wszyscy wyszli z pokoju, Bartosiowi szalona przyszła myśl, czy zemsty, czy bezpieczeństwa, porywa pistolet, nabija i pal w samo serce!

— Komu, stryjaszku? bratu,

— Nie! kochanemu stryjaszkowi, żeby drugi raz nie odżył.

— Okropność, strzelać do trupa.

— Nie panie, powiadają ludzie że słyszeli jak ktoś jęknął przeraźliwie: *przekleństwo!*

— E! facecye prawisz stryjaszku.

— Ale przysięgam Jegomości, wszyscy o tém wiedzą, przecież nieboszczyk mój rodzic, był na tém polowaniu kiedy stryjaszek powrócił po śmierci, i także uciekał oknem, śmieli się przecież oba nieraz z tego jak sobie to przypomnieli.

— A strzelanie kto widział?

— Była o to sprawa, dużo świadków powoływali, i niepamiętam jak się tam wykręcili — ale najlepszym świadkiem jest to, że się i na synowcach i na ich sukcessorach, spełnia przekleństwo tu wyrzeczone—każdy zmarniał!

M.

NA POWRÓT ZWŁOK

NAPOLEONA.

Na okrętowym stérze
Siadł orzeł złoty,
Wypuścił ze szpon groty,
I nasępił swe piérze,
A skrzydła poczernione Waterloo piorunem,
Szérokim rozwiódł całunem.

Bo Pan jego król myśli i mocy,
Co mknął gromem śród rozwalin tronów,
Co rozpalił gwiazdy legionów
I tarł wszystko ramieniem przemocy,
Bo Pan jego — jak marmuru bryły,
Nie ma dzisiaj myśli, nie ma siły,
Stwórca światła leży w cieniach nocy.

Kipią fale i morze się pieni,
Flaga Francyi dumne wznosi czoło,

Mknie fregata śród modrych przestrzeni,
Jak jaskułka chyżo i wesoło.
A przy zwłokach Wielkiego Cesarza
Brzmi pieśń chwały, tryumfu, wesela,
Pieśń tę morze całuje, powtarza
Pieśń tę słońce wyzłaca, odstrzela.

Płyną z ciałem bojów towarzysze,
Towarzysze chwały i cierpienia,
Myśl ich w nurtach wspomnień się kołysze,
I wdzięcznością wielki grób ocienia,
Majtek-Francuz porząc morskie łona
O kapralu twardym głosem śpiéwa,
A na trumnie rozwiesza ramiona
Młoda gałęź Burbońskiego drzewa. (*)

Cała Francya jak oblubienica
W wieńce, w kwiaty, przyozdabia skronie,
A Paryż jéj wspaniała zrenica,
Pochodniami żałobnemi płonie.
Francyo! męża odrzuciłaś dumnie
Gdy orężne nucił tobie psalmy.
Dziś proroka ty uwielbiasz w trumnie,
I męczeńskie zaszczepiasz mu palmy!

(*) X. Nemur.

Tłumny lud popioły jego wita,
Król w imieniu Francyi je odbiera,
Brzmi w przestrzeniach imie bohatera,
Żołnierz stary za broń starą chwyta,
Łza mu rzewna spływa na wąs siwy,
Drżą mu ręce, chwieją się kolana,
To Inwalid-gwardzista sędziwy
Wita swego wodza, swego Pana!

Czemuż orle, ty jeden ponury
Zwijasz skrzydła, i nie lecisz w chmury
Zapisywać jasną gromów wstęgą
Zwycięztw Wagram, Austerlic, Marengo!
Ale cicho — on wzniósł złotą szyję,
I wytężył swoje bystre oczy,
I skrzydłami jak żaglami bije,
I z wichrami po niebiosach toczy.

Bo na gruzach Europy
W mgłach widać postać Olbrzyma,
Lew rewolucyi u jego stopy
Krwawą swą grzywę nadyma,
On ją kędzierzy, pieści i głaszcze,
Aż lwu kaganiec włożył na paszcze
Strzaskane dawnych godeł kawały,
W świetne przetopił korony,
I towarzyszom swéj chwały,
Nowe pobudował trony.

Z Konsulowskiego berło utworzył toporu,
I na piersiach rozwiesił pyszny znak honoru;
Teraz głowę pochyla, i ręce zakłada
Płaszcz swój Cesarski strojny w złotych pszczół szeregi
Rozwiesił od Baltyku po Środziemne brzegi,
A nad czołem mu błyszczy jasnych gwiazd miryada.

Orle! to duch tryumfu! nie w grobach chowany,
Ale dyszący w wichrach, jaśniejący w słońcu.
Orle! to duch tryumfu w puhar czasu wlany,
Wieczność go nie wypije — a ty lotny gońcu,
Ty Orle! coś wprzód z góry na zdobycze spadał,
Nim cię oko dojrzało, szum wiatru wygadał,
Ty ptaku złocisz pierze w słonecznym promieniu,
Bystra twa po obłokach i piorunna jazda,
Bo ty Orle powracasz do twojego gniazda,
Siadasz na jego ramieniu.
I stąd patrzysz spokojnie, od burzy daleki,
Na toczące się falą u nóg twoich wieki!

Antoni Czaykowski.

PONTSKI - PIŁAT

NA

WYGNANIU,

LEGENDA

PRZEZ

Karola Korwella.

PONTSKI-PIŁAT
NA
WYGNANIU.

Pewnego dnia, za panowania Kaliguli, kiedy K. Marcius był pretorem w Wiennie, przez tryumfalną bramę, owéj dawnéj stolicy Allobrogów, przeniesiono lektykę, którą otaczało kilku jeźdzców. Lud tłoczył się za nią ze wszech stron, ciekawi badali kto to jest ten nowo przybyły? wszakże zrazu trudno było dowiedzieć się o tém. Po chwili lektyka zatrzymała się przed skromném domem, zbudowanym obok świątyni Marsa. Nadedrzwiami domu było napisane wielkiemi czerwonemi literami, nazwisko jego właściciela: J. Albinus. Tu właśnie wysiadł z lektyki starzec wzrostu wysokiego, wychudły i pochylony, ale pomimo wieku rzeźwo dosyć wszedł na progi budynku, skąd go dwaj hebrajscy niewolnicy zaprowadzili do pokoju gościnnego, gdyż Pan domu jak się pokazało, przyjaciel gościa, był uprzedzony o jego przybyciu.

Po krótkiej chwili niewolnik łaziebny, zaprowadził przybyłego starca do *nimphei*, by go tam obmyć i na-

maścić wonnemi olejkami. Tymczasem zaś przed jego powrotem zapalono światła i zastawiono wieczerzę.

Albinus z gościem swoim byli sami tylko w *triclinium*; gdy zjedli piérwsze danie, to jest jajka świéżo gotowane, rozmowa między niémi dotąd przerywana i mniej znacząca, powoli ożywiać się zaczęła.

— Nie mało lat upłynęło, mówił Albinus, od czasu rozstania się naszego. Spełnijmy więc puhar wina Rodańskiego na cześć twojego powrotu.

— Tak jest, odpowiedział starzec, wiele lat upłynęło od czasu, kiedym się wybierał do Judei! i przeklinam ów dzień, w którym Waleryus Grotus zdał mi tam swoje rządy. Bo też samo nazwisko moje jest nieszczęśliwem, jakaś fatalność ściga każdego kto je nosi. I tak jeden z moich naddziadów zhańbił chorągwie Rzymskie, pamiętną przegraną w wojnie z Samnitami. Inny Pontius zginął u Partów w walce przeciw Arminiusowi; a ja — ja nieszczęśliwy!....

Puhar drgnął przed ustami starca, i po jego licach kilka łez spłynęło do wina.

— No i cóż? rzekł Albinus. Cóż tak złego stało się z tobą? Niesprawiedliwy wyrok Kaliguli, skazał cię na wygnanie do Wienny, ale jakaż jest zbrodnia? Czytałem stan twojej sprawy w Tabularium. Prefekt Syryi a twój nieprzyjaciel Witellius, zaskarzył cię żeś gnębił hebrajczyków, którzy zbuntowawszy się wyrznęli naszych Samarytanów, a potém uszli na górę Garizim.

Obwiniają cię także, żeś tchnął nienawiścią przeciwko Żydom.

— Nie, nie Albinusie, świadczę się imieniem Bogów naszych, że nie tu jest powód nieszczęścia mego.

— Czyliś się więc dopuszczał zdzierstwa w Judei?

— Nigdy!

— Czyliżeś piękne Żydówki porywał ich mężom?

— Nigdy!

— Możeś jak Werres w Sycylii prowadził na szubienicę obywateli Bzymskich?

Piłat nic na to nie odpowiedział.

— Jam cię znał, mówił dalej Albinus, jako człowieka rozsądnego, z sercem szlachetném, i dla tego wykrzykiwałem na zebraniach, że usuwając cię od urzędu, niesprawiedliwie postąpiono. Wszakże sprawa twoja przed Senat wniesioną nie była. Jesteś ofiarą kaprysu Witelliusa.

— Albinie! zwróćmy rozmowę na inny przedmiot, przybywam z Rzymu, jestem znużony. Według porady mędrców, odłóżmy do rana rzeczy ważniejsze, teraz zaś starajmy się weselić. To wino jest przewyborne.

— Jednakże bądź z nim ostrożny Piłacie, ono nadto idzie do głowy.

— Tém lepiej, tém lepiej, to mnie niezastrasza, jam przywykł do wina z winnic Engaddi, a przecież to jest silny Bachus.

— Rób jak ci się podoba, ale ponieważ przybywasz z Rzymu, powiedz co tam nowego z rzeczy publicznych?

— Złe przepowiednie, i bardzo złe; niepoznałem Rzymu, już się on nie wznosi ale do upadku nachyla.

— Co mówisz?

— Zaiste, tak jest. Azali niesłyszysz gwaru który się szérzy pod ziemią. Jest jakaś niewidzialna wyższa potęga, pędząca państwo Rzymskie do jego zguby. Nasi bogowie już zwyciężeni i już nas rzucają. Powtarzam ci Albinie, nie mówmy o tém co nas zasmuca, pozwól mi choć tego jeszcze wieczora uśmiéchnąć się do twoich penatów. Noc jest często matką posępnych dumań, ale *triclinium* do wesela nęci. Niech więc twój mały doleje wina kreteńskiego do mojéj czary, a témczasem rozkaż niewolnikowi pokojowemu podać mi sandały i zasłać łoże. Nie lubię ciemnych nocy, i chciałbym usnąć czémprędzéj, żeby się łatwiej dziennego światła doczekać.

Albinus skinął i wszystko się spełniło wedle woli Piłata.

Kiedy następnie niewolnik zbliżył się do niego ze srébrną miednicą, podając wodę, dla zwyczajnego umycia rąk, okropna bladość pokryła twarz starca, a wzrok jego zaiskrzył się przerażającym blaskiem.

Nazajutrz, była to wigilija Kalendów Augusta. Piłat i Albinus przechadzali się po placach Rzymskiej Wienny. Piłat słuchał z roztargnieniem opowiadań przyjaciela, który z największém upodobaniem oprowadzał go po wszystkich częściach miasta i pokazywał przepyszne ze wszech stron wznoszące się pomniki.

— Już tu niéma, mówił Albinus, żadnego śladu panowania Allobrogów. Od czasu śmierci Juliusza Cezara, przestali oni niepokoić to miasto. Życie w Wiennie jest spokojne i przyjemne; bezpiecznie przeto możesz dokonać tutaj resztę dni, które z woli Bogów, przeżyć masz jeszcze.

Spojrzyj, oto jest pałac Cesarzów. Wprawdzie nie tak obszerny i wspaniały jak Palatyński, ale zawsze dostateczny dla panów,którzy w nich nie mieszkają. Teraz patrz na lewo: jestto świątynia Augusta i Liwii: jeżeli słońce Judei wzroku twego nieosłabiło, możesz ztąd przeczytać napis: *Divo Augusto et Liviae.* Dalej masz Świątynie poświęcone stu bogom. Pójdźmy teraz na miejsce rzymskiéj przechadzki, po nad staw, ów pałac igrzysk morskich, dalćj zejdziemy na brzeg rzéki, i u mostu odetchniemy świeżém powietrzem. Możesz sam przyznać, że Wienna jest miejscem przyjemnego pobytu, klimat jest tak łagodny, a góry pobliskie zasłaniają miasto przed gwałtownością wiatrów. Do Lugdunu mamy ztąd mil piętnaście. Rodan skraca nam drogę do Massylii i Arles. Te trzy znakomite grody, według dekretu Tyberyusza należą do Wienny. Dziękuj więc przeznaczeniu, które ci Wiennę za miejsce wygnania wskazało. Kiedy to kończył mówić, Albinus postrzegł zmieszanie się na twarzy starca.

Oczy Piłata zwrócone były na kłęby kurzawy wznoszącej się po nad brzegiem Rodanu, pośród której mo-

żna było dostrzedz połysk zbroi, i skąd dawał się słyszeć tentent koni zbliżającej się jazdy.

— To Pretor, mówił Albinus, przyjeżdzający obejrzéć prace wznoszącego się Amfiteatru. Jest to jego przejażdzka codzienna.

— Uciekajmy od Pretora, rzekł Piłat, niech jemu twarz moja, będzie na zawsze nie znaną.

Dążąc ku domowi doszli na ulicę Kwirynalną, ale tłum próżniaków zwabionych odgłosem wojennych trąb i rogów, cisnął się na brzeg rzeki, chcąc widziéć Pretora i jego orszak. Pospólstwo ze wszech stron otoczyło Piłata, zwrócono też uwagę na niego, zwyczajnie jak to bywa kiedy kto z pośpiechem ciśnie się w stronę przeciwną tej, dokąd mnóstwo ciekawych dąży.

Zresztą sam ubiór jego mógł nań ściągnąć niemało oczu. Piłat długi czas mieszkając w Judei, przejął nie tylko ubiór, lecz postawę i ruchy hebrajczyków. Sam widok jego smagławej cery, czarnych i kręcących się włosów, był to bowiem Hiszpan ze swego pochodzenia, wykazywał raczej Hebrajczyka, niż Rzymianina.

Mówiono stronami obok niego: — „Ustąpcie przed Żydem spieszącym na szabas“.

Gdzie indziej wołano: „Matulki, strzeżcie dzieci swoje, wilk wyszedł z Kwirynatu.“

— „A toż go lepiej zawiesić na krzyżu,“ ozwał się jakiś rzeźbiarz.

Wszakże te przemówki złych skutków nie miały i Piłat z głową pochyloną, z postacią błagającego, nie-

tknięty doszedł do końca ulicy kwirynalnéj, gdzie go nowa oczekiwała scena.

Drzwi domu przed którym zatrzymał się były otworzone, zdało mu się że to dom Albina, mający podobieństwo do wszystkich domów sąsiednich. Piłat wszedł spiesznie i zamknął drzwi za sobą. W tém nagły okrzyk przeraził go niespodzianie, albowiem będący przed nim człowiek nieznajomy, z przerażeniem wykrzyknął jego nazwisko, a Piłat usłyszawszy je obóma rękoma uszy sobie zatknął.

Gospodarz domu i jego rodzina, zajmujący się wyrabianiem koszyków z łozy, pracowali w sieniach domu zwanych *impluvium*, gospodarz poznał wchodzącego Piłata, wywiedział się bowiem o nadto sławném nazwisku cudzoziemca, który będąc wskazanym na wygnanie, dnia poprzedniego przybył do Wienny.

— Piłat! Piłat! wołał gospodarz, a jego żona i dzieci ze zgrozą powtarzali to okropne nazwanie, skalane zbrodnią przelewu krwi Boga. Była to familija Chrześcijańska.

Piłat prosił u nich schronienia, lecz go zrozumieć nie mogli, gdyż mówił do Gallów Allobrogów, językiem łacińskim pomieszanym z mową hebrajską. Ponieważ jednak w ciągu mowy swojej, kilkakrotnie wspomniał imię Albinusa, ojciec familii dał znak żonie i dzieciom iżby usiedli, a sam jakby przypomniawszy sobie boską naukę, którą w tajemnem schronieniu słyszał kazaną,

być może jeszcze dnia wczorajszego, przybliżył się do Piłata ze spokojną postawą, do połowy otworzył drzwi swoje i palcem wskazał mieszkanie sąsiada Albina. Piłat przeszedł przez ulicę i był już w domu przyjaciela.

Tłum ludu odłączył Albina od towarzysza przechadzki; może też on był rad z oddalenia się człowieka, którego towarzystwo mogłoby go narazić w oczach publiczności. I dla tego Albinus pozostał tam, dokąd pospólstwo biegło, to jest pozostał dla przypatrzenia się orszakowi Pretora, a jako wprawny dworak, krzyczał *Wiwat!* przejeżdzającemu, chwalił wspaniałą postawę Pretoryańskiego orszaku, tudzież i piękne jego konie. Potém zaś wrócił do domu, gdzie znalazł swego przyjaciela, rzeczywiście przepełnionego rozpaczą.

— Poznano mnie, rzekł Piłat ujrzawszy Albinusa. Już nawet małe dzieci będą mnie wytykać palcami po drodze. Albinusie! przypomnij że kiedyś nasze młodzieńcze usta, wzajemną przyjaźń sobie obiecywały, żeśmy razem igrali na piaskach Tybru, że później na wspólnych ucztach wznosiliśmy puhary, łącząc jednakowe życzenia. Wspomnij na to wszystko, i osłoń mię nieskażonem cieniem twoich laurów domowych, uciekam się bowiem pod skrzydła świętej dla ciebie gościnności.

Albinus przejęty politowaniem, wymówił kilka słów pocieszenia, wziął rękę Piłata i uścisnął ją.

— Więc i w Wiennie są chrześcijanie! wołał Piłat załamując ręce.

— Oni są wszędzie mówił Albinus, tylko w naszych świątyniach ich niéma. Miałżebyś ich obawiać się?

— Tak jest, lękam się ich, lękam się całego świata; i Żydzi i Rzymianie i pogaństwo całe, wszyscy są dla mnie straszni i nienawiśni. Rzymianie widzą we mnie człowieka, któren utracił całe swoje dawniejsze znaczenie. Żydzi widzą srogiego prokonsula, który ich prześladował, a chrześcijanie mianują mnie katem ich Boga.

— Ich Boga! ich Boga! o bezbożniki!

— Albinie, mówił Piłat, powściągnij twój język.

— Oni czczą jako Boga Jezusa Nazareńczyka, urodzonego w lichej stajence, a skazanego umrzéć na krzyżu.

— Oni by go tak nie czcili, gdyby spoczywał na węzgłowiach purpurowych i oddychał pod złoconemi sklepieniami. Albinie! opiszę całe życie moje przed trybunałem twojéj przyjaźni. Wejrzyj i osądź czyli wart jestem gościnności któréj mi nieodmawiasz.

Piłat usiadł na podniesieniu i rzekł: rozkaż Albinie zamknąć drzwi i niech jeden niewolnik czuwa u progu, jak gdyby nowozaślubiona dziewica, miała przyjmować owoc pigwy z rąk swojego małżonka. Chcę bowiem tobie jednemu moją powierzyć tajemnicę. Słuchaj mnie: „Wszystkie moje nieszczęścia wynikły ze śmierci owego Nazareńczyka, Tyberyusz przeklął mię za niego; za niego też i Kaligula zesłał mnie na wygnanie, albowiem zuchwalstwo Chrześcijan tak groźne

dla Rzymskiego Państwa, właśnie u stóp Kalwaryi rozwinęło się. Gdyby Jezus nie był skazany na śmierć, sekta jego uczniów nie przeszłaby za morze Cezarejskie — ba! niedostałaby się nawet ani za wody Jordanu. Témczasem zgon tego człowieka wywołał niezliczone tłumy męczenników. Ale co do mnie, czyliż mogłem śmierć jego odwrócić? Kiedym wyjeżdzał zająć miejsce Gratusa, Sejan wezwał mnie do Palatynu i skreślił mi moje powinności. Polityka rzymska, mówił on, znaną jest tobie, przeto kilka słów będą dla ciebie dostateczne. Judea jestto piękny kraj, zdobywszy ją orężem trzeba dokonać zwycięztwa ojcowskiemi rządami. Zwróć ku temu twoje starania iżby błogosławiono imię Rzymian. — Zostawiliśmy Żydom króla z ich pokolenia, zostawiliśmy im ich kościoły, ich prawa, ich religią. Jestto naród dumny i dzielny, jego kroniki są bohaterskie, on o tém pamięta, rządźże nim mądrze i przezornie. Niech cię uważają raczej za cudzoziemca przybyłego poznać ich kraj i rządy, nie zaś za Pana, który ich w jarzmie trzyma.“

Puściłem się w drogę z żoną i służącemi do miasta *Tres-Tabernae*, spotkałem Tyberyusza wracającego z Pannonii. Poznawszy lektykę Cesarską, wyszedłem z mojej, by złożyć hołd Cezarowi. W Brindes dowiedział się on o mojém wyniesieniu i utwierdził je. Teraz podał mi rękę łaskawie i rzekł: Pontyuszu, będziesz władał pięknym krajem, miej rękę silną a słowo miek-

kie. Działaj w sprawach politycznych wedle twojego rozsądku. — Jedź i bądź szczęśliwym!“

Widzisz więc Albinusie, że początki wróżyły mi pomyślność. Przybywszy do Jerozolimy objąłem najuroczyściej urząd Pretora, rozkazałem przygotować świetną ucztę, i zaprosiłem na nią Tetrarchę Judei, Wielkiego kapłana i wyższe duchowieństwo. Tym czasem na naznaczoną godzinę ani jeden z zaproszonych nie przybył. Była to dla mnie okropna zniewaga. Przecież w kilka dni później Tetrarcha raczył zaszczycić mnie swojemi odwiedzinami, podczas których był poważnym i chytro-ostrożnym. Wtenczas to niby usprawiedliwiając się, oświadczył mnie że religia zabrania im zasiadać u naszych stołów i robić libacye z ludźmi nie wyznawającemi ich Boga. Trzeba było przyjąć tę wymówkę za dobrą, wszakże czułem to aż nadto, że już w tym samym dniu, zwyciężeni okazali całą swoję nieżyczliwość dla zwycięzców.

Jerozolima wówczas była jedném z tych miast podbitych, które są najtrudniejszemi do rządzenia. Lud w niém był ciągle niespokojny i skłonny do zamieszek; wyglądałem lada dzień jakiegokolwiek zaburzenia. A jednak na poskromienie zuchwałych, miałem ledwie jednego centuryona i małą garstkę żołnierzy. Pisałem do Prefekta Syryi, żeby mi przysłał na pomoc jaki oddział wojska, ale ten mi wręcz odpowiedział, że liczba żołnierzy przy nim będących, ledwo dla niego dostateczna.

Z pomiędzy innych wieści, które mię dochodziły, szczególniej następująca zwracała moją uwagę. Głoszono powszechnie, i tajni agenci ciągle mi donosili, że w Galilei zjawił się młody człowiek odznaczający się ostrością obyczajów i pociągającą siłą, oraz mocą wymowy; który chodząc po mieście i po brzégach jeziora, opowiada ludowi nowe prawa imieniem Boga co go miał zesłać na ziemię. Zrazu, myślałem, że ten człowiek, ma zamiar podburzyć lud przeciwko nam, że jego mowy gotują zamieszanie; ale w krótkim czasie obawa moja rozproszyła się, gdyż Jezus Nazareński, odzywał się więcéj jako przyjaciel Rzymu, niźli jako przyjaciel Żydów. Pewnego dnia kiedy w lektyce niesiono mnie na plac publiczny Siloe, postrzegłem liczne zebranie ludu; w pośród tłumu stał młody człowiek, oparty o drzewo i przemawiał do otaczających z dziwną rozwagą i spokojnością umysłu. Powiedziano mi, że to jest Jezus, czego i sam łatwo bym się domyślił, tyle bowiem różnił się on od tych wszystkich, którzy go otaczali. Zdawało się iż ma lat trzydzieści, złocisty kolor włosów i brody, nadawał jego twarzy barwę jaśniejącą. Nigdy w życiu niewidziałem spójrzenia równie słodkiego, równie wypogodzonej fizyognomii. Ileż się różnił od słuchaczy czarnobrodych z ogorzałemi policzkami. Chcąc pozostawić mu swobodę słów jego, niezbliżałem się ku niemu, owszem oddaliłem się w inną stronę, ale poleciłem mojemu sekretarzowi wcisnąć się pomiędzy popólstwo i słu-

chać co mówi Jezus. Sekretarza mego zwano Manliusem; był to wnuk owego naczelnika sprzysiężonych, który stał obozem w Hetrury oczekując na Katylinę. Manlius od dawnego czasu mieszkał w Judei, znał doskonale język hebrajski i był mnie zupełnie oddany; mogłem więc wierzyć jemu. Za powrotem moim do Pretorskiego pałacu, Manlius powtórzył mi słowa Jezusa opowiadane w Siloe, i przyznam ci się Albinusie, żem nigdy niesłyszał w Portyku, nie czytał w księgach mędrców naszych, nic, coby mogło się porównać z zasadami z ust Jezusa wychodzącemi. Między innemi kiedy jakiś żyd, jeden z wichrzycieli których nie mało w Jerozolimie, zapytał u niego czy potrzeba opłacać Cesarzowi podatki, Jezus mu odpowiedział: oddaj Cesarzowi, co jest Cesarskiego, a Bogu co jest Boskiego.

Dla tegoć to, nadałem nieograniczoną swobodę Nazareńczykowi. Zapewne odemnie zależało rozkazać uwięzić go przy pierwszej mowie do ludu, osadzić na galerę i wysłać do Pontu, ale zdało mi się iżbym wtedy postąpił w brew sprawiedliwości i rozsądkowi Rzymskiemu. Wszakże człowiek ten nie był burzycielem: być więc może, iż mimo jego wiedzy osłoniłem go moją opieką, tak iż mógł swobodnie działać, mówić, zbierać lud i publiczne place nim przepełniać, lub iść z niemi nad jezioro, na puszczę i góry; a przecież nigdy ani jeden rozkaz Pretora, nie zamącił spokojności czy to słuchaczów, czyli też mówcy. Jeżeli kiedyś, lecz

niech Bogowie odwrócą tę przepowiednią, jeżeli mówię kiedyś religia ojców naszych upadnie przed religią Jezusa, Rzym będzie mógł swojéj szlachetnéj tolerancy, przypisać wszystkie późniejsze wypadki; ja zaś nieszczęśliwy będę tylko narzędziem tego co chrześcianie mianują opatrznością, a my nazywamy przeznaczeniem.

Témczasem jednak swoboda, którą miał Jezus pod moją opieką, oburzyła żydów, wprawdzie nie lud biédniejszy, ale raczéj bogaczów i możnych. Takich bowiem w saméj rzeczy Jezus nieoszczędzał, i to był właśnie powód polityczny, dla którego tem bardziéj pozwoliłem Nazareńczykowi mówić co mu się podoba. „Faryzeusze! wołał na nich, wy pochodzicie z rodu gadzin, jesteście chodzące mogiły.“ Innym razem szydził z dumnéj jałmużny publikanina, i powiadał że jeden obol przez biédną kobietę tajemnie złożony, więcéj ma zasługi przed Bogiem, niż ich dumne dary. Codziennie nowe skargi zachodziły do mnie na zuchwałość Jezusa, wysyłano nawet deputacye dla złożenia zażaleń przed moim trybunałem; przestrzegano mnie że Jezusa nieszczęście spotkać może, że to nie będzie piérwszy przykład w Jerozolimie gdy ukamienują mieniącego się prorokiem, i że jeżeli władza pretorska nie okaże sprawiedliwości, wówczas do Cesarza przeniosą swoje skargi.

W tym względzie ja ich wyprzedziłem. Przygotowałem doniesienie Cezarowi i galera Ptolomais zawio-

zła je do Rzymu. Senat pochwalił moje postępowanie, ale odmówił zbrojnej pomocy o którą upraszałem, kazał mi tylko cieszyć się nadzieją, iż przyszłe załogę do Jeruzalem, gdy się ukończy wojna z Partami, a témczasem wiadomo że u nas ta wojna nigdy końca niéma.

Niemając dostatecznej siły do zapobieżenia rozruchowi, chwyciłem się innego środka, który miał przywrócić spokojność w mieście, nie zniżając dostojeństwa Pretorskiego do uległości życzeniom burzycieli. Wezwałem przed się Jezusa Nazareńczyka.

Oddał pokłon niosącemu moje wezwanie i niezwłocznie stanął u trybuny pretorskiéj. — O Albinusie! dziś kiedy wiek rozwolnił ścięgna w całém ciele, kiedy muszkuły napróżno wywołują siłę męzką ze krwi już ochłodzonéj, nie dziw mi wcale, że Piłat zadrzéć umié, ale wtedy byłem młody, w sercu kipiała krew hiszpańska z krwią Rzymską zmieszana i bezpieczna od wszelkich wzruszeń dziecinnych. A przecież gdym ujrzał Nazareńczyka wchodzącego do bazyliki, kędy przechadzałem się, rzekłbym, że ręka żelazna przykuła mię do posadzki marmurowéj, zdało mi się nawet żem usłyszał jęk kolumn i tarcz złocistych poświęconych Cezarowi. Nazareńczyk zaś był spokojny jak sama niewinność, wstrzymał się przedemną i prostém poruszeniem zdawał się wyrzec do mnie: „*Otóż jestem.*“ Przez chwilę w zdumieniu pomieszaném z trwogą, przypatrywałem się téj nadzwyczajnéj postaci człowieka, nieznanéj naszym niezliczonym rzeźbiarzom, którzy jedną formę i jedną

twarz, nadali wszystkim bogom i wszystkim bohatérom.

— Jezusie! rzekłem nakoniec, a usta mi drgać poczęły. Jezusie z Nazaretu! od lat trzech prawie pozwalam ci swobodnie mówić do ludu na placach publicznych, i bynajmniéj tego nieżałuję. Słowa twoje były zawsze pełne mądrości. Niewiem czyliś czytał Sokratesa i Platona, ale z ust twoich, płyną wyrazy szlachetnéj prostoty, która cię wywyższa nawet nad owych wielkich filozofów. Cesarz wié o tém, a ja jego najpokorniejszy Namiestnik w Jeruzalimie, mogę sobie powinszować żem wyjednał dla ciebie tolerancyą, któréj rzeczywiście godnym jesteś. Wszakże niemogę ukrywać przed tobą, że twe mowy obudziły do koła silną i zajadłą nienawiść. Nie dziw się że masz nieprzyjaciół, Sokrates miał ich także i oni go życia pozbawili. Tutaj nieprzyjaciele są podwójnie rozjątrzeni, raz na ciebie drugi raz na mnie, za swobody które ci nadałem, gdyż oskarżają mnie pokątnie, żem w zmowie z tobą, celem odebrania hebrajczykom ostatka władzy cywilnéj którą im Rzym zostawił. Nie daję ci przeto żadnego rozkazu, ale wzywam jedynie, miej więcej na względzie dumę twoich nieprzyjaciół, żeby niepodżegali przeciw tobie ciemnego motłochu i żebym ja nie był zmuszony, wyjąć z pomiędzy tych trofeów siekiérę i rózgi, które raczéj dla ozdoby, niż dla postrachu być tu powinny.

Nazareńczyk odpowiedział mi: że niemiałbym wła-

dzy nad nim gdyby ona nie była mu daną od Ojca Jego który jest w Niebiesiech, a którego jest wolą, ażeby stał się ofiarą błagalną za wszystkich ludzi.

—Ja niechcę twojego krwi przelewu! zawołałem żywo. Jesteś droższym w oczach moich dla twojej mądrości, niżeli ci wszyscy burzliwi i dumni faryzeusze, nadużywający powolności Rzymu, robiący spiski przeciwko Cezarowi, i naszę dobroć uważający za obawę. Nieszczęśliwi nie wiedzą iż wilczyca Tybru niekiedy przyodziewa się runem łagodnej owcy. Ja będę cię bronił od nich. Mieszkanie Pretora otwarte jest dla twego schronienia i oni go zgwałcić nie ośmielą się.

Jezus od niechcenia skinął głową z uśmiechem pełnym niebieskiej słodyczy i rzekł do mnie: kiedy pora nadejdzie, nie będzie schronienia dla syna człowieczego, ani na ziemi ani w jej głębiach. Co jest zapowiedzianém w księgach proroków, to się spełnić musi.

A więc młody człowiecze, wprzódy z prośbą obróciłem się do ciebie, teraz rozkaz ci daję. Bezpieczeństwo prowincyi moim rządom powierzonej tego wymaga i ja tego chcę, iżbyś był więcej umiarkowany w twoich mowach. Strzeż się naruszyć moją wolę. Życzenia moje są tobie znane, idź i bądź szczęśliwym. Poczynałem mówić to groźnie, lecz zaraz głos mój zmiękł i złagodniał. Przykre słowo niemogło się wydobyć przed tym nadzwyczajnym człowiekiem, który jak to ucznio-

wie jego poświadczają, jednem skinieniem głowy hamował wzburzone fale jeziora.

Cóż więc miałem przedsięwziąć. Trzeba było spełnić przeznaczenie. Tetrarcha rządzący wówczas Judeą, który potém umarł stoczony przez robactwo, był człowiekiem głupim i złośliwym. Starszyzna prawodawcza wybrała tego człowieka Herodem zwanego, za narzędzie swoich nienawiści, do niego więc zwróciła się cała rzesza nieprzyjaciół, szukających pomsty nad Nazareńczykiem. Gdyby Herod słuchał jedynie swojej namiętności, zapewne w jednéj chwili wskazałby Jezusa na śmierć, ale chociaż w drobnostkach, chętnie chwytał się okoliczności korzystania z błahych ostatków swojej królewskiej władzy; w tym razie jednak cofnął się przed czynem, któryby mógł ściągnąć na niego niechęć Cesarską.

W kilka dni potém przyszedł on do Pretorskiego pałacu, i ukrywając cel rzeczywisty swoich odwiedzin, rozmawiał ze mną o rzeczach mniéjszéj wagi, a potém gotując się do wyjścia zrobił mi od niechcenia pytanie: jakie jest moje zdanie o Nazareńczyku?

Odpowiedziałem że Jezus w oczach moich jest jednym z tych znakomitych filozofów, jacy się czasem zdarzają w wielkich narodach; że nauki jego za niebezpieczne bynajmniej nieuważam, i że Rzym ma zamiar pozostawić temu mędrcowi zupełną swobodę w uczynkach i mowie.

Herod uśmiéchnął się złośliwie, i pożegnawszy mnie z szyderskiém uszanowaniem, odszedł.

Zbliżało się wielkie święto żydowskie. Postarano się więc korzystać z uniesień ludu, objawiających się zwykle przy uroczystościach pamiątki wyzwolenia z niewoli Egipskiéj. Miasto przepełniło się tłumami pospólstwa, ze wściekłością domagającego się śmierci Nazareńczyka. Ajenci moi donieśli mi że część skarbów kościelnych użytą została na podniecanie wściekłości ludu. Co chwila niebezpieczeństwo wzrastało i dochodziło do najwyższego stopnia. Już nawet zuchwali znieważyli mi centuryona, złamali mu bowiem rószczkę winną i twarz oplwali.

Pisałem do Ptolomaidy, gdzie rezydował Prefekt Syryjski, i potrzebowałem przynajmniéj sta ludzi piechoty i tyleż jazdy. Prefekt jak i dawniéj odmówił pomocy. Tak więc sam z kilku weteranami pozostałem w zaburzoném mieście, nadto słaby żeby powstrzymać nieporządki i przez to samo zmuszony patrzéć na nie przez szpary.

Tym czasem Jezus został uwięzionym. Pospólstwo tryumfowało, i wiedząc że władzy pretorskiéj nie ma się czego lękać, a nawet sądząc że wedle słów intrygantów, ja sam skrycie potakuję temu buntowi, tłoczyło się za Nazareńczykiem i wołało: „Na krzyż jego, na krzyż“. Kilka możnych kast sprzymierzyło się przeciw Jezusowi, to jest Herodyanie i Saducejczycy, powodowani do sprawienia zamieszek podwójną przyczy-

ną, to jest nienawiścią ku Nazareńczykowi i niechęcią dla Rzymu. Nigdy mi bowiem tego darować nie mogli, że do ich świętego miasta wszedłem z chorągwiami, na których były wizerunki Cezara, tudzież że domagałem się części skarbów kościelnych, na budowle dla użytku publicznego potrzebne, co było mi z grubijaństwem odmówione. Faryzeuszowie byli osobiści nieprzyjaciele Jezusa, nie dbający o rządcę, lecz pamiętający tylko na urazy i ostre wymówki, których przez trzy lata, ciągle byli celem. Do tych kast przyłączyła się kupa jeszcze ludzi, działających bez celu, a jednak przylegających do buntu byleby korzystać z zamieszania i do woli krwią się napoić.

Jezus powołany został przed sąd kapłanów i tam na śmierć skazany. Arcykapłan Kaifasz przez szyderstwo uznał że jest moim podwładnym, i przysłał do mnie osądzonego, ażebym wyrok potwierdził, i spełnienie onego rozkazał. Poleciłem dać odpowiedź, że Jezus jest Galilejczykiem, że przeto sprawa jego do mnie nienależy, i dla tego odsyłam Jezusa do Heroda. Przewrotny Tetrarcha udał pokornego, oświadczając iż jego władza jest niższą od władzy Namiestnika Cezara, a zatém iż mnie samemu pozostawia rozstrzygnienie losu tego człowieka. Od téj chwili pałac mój przemienił się jakby w warownią wojskiem nieprzyjacielskiém oblężoną, a liczba buntujących się co moment wzrastała; przychodziły bowiem coraz nowe zasiłki, to z gór Nazarethu, to z miast Galilejskich, to

z dolin Esdrelonu. Słowem cała Judea zaległa Jeruzalem.

Moja żona pochodząc z Gallii, od dziewic swojego narodu nabyła nadprzyrodzonego daru zgadywania przyszłości. Ona to ze łzami upadła do nóg moich i błagała mówiąc: „Strzeż się podnosić rękę na tego człowieka, on jest święty!" Téj nocy widziałam we śnie jak chodził po powierzchni wód, jak latał na skrzydłach wiatrów, przemawiał do chmur, do drzew palmowych na pustyni, do ryb w jeziorze, a wszystko mu odpowiadało. Późniéj widziałam twoje chorągwie błotem obrzucone, widziałam jak się walą kolumny pałacu pretorskiego, jak słońce przykrywa się czarną zasłoną niby westalka zstępująca do mogiły. Tak jest, nieszczęście wisi nad światem, a ty Piłacie! uwierz słowom kobiéty z narodu Gallów i pomnij na to że w przyszłości Senat i Cezar miotać będą przekleństwa na nikczemnego prokunsula. Sam niewiedziałem czego się uchwycić, aż tu w tym samym momencie, marmurowe schody moje zadrżały pod ciężarem tłoczącego się ludu. Prowadzono bowiem Nazareńczyka. Wszedłem do izby sądowéj z moją strażą i groźnie zapytałem u ludu: czego chcecie?—Chcemy śmierci Nazareńczyka, wołał lud.—Jakaż jest jego zbrodnia?—Bluźnił, przepowiadał upadek świątyni naszéj, mianuje się synem Bożym Messyaszem i królem żydowskim.— Sprawiedliwość Rzymska odrzekłem, takich przestępstw śmiercią nie karze Ale lud głosu mojego niesłuchał i wołał zapa-

miętale, chwytajcie go: prowadźcie go na krzyż; i ryk ich przeraźliwy wzruszał fundamenta pałacowe. Jeden tylko człowiek podczas całéj téj sceny był spokojnym, to jest Nazareńczyk. Rzekłbyś że to posąg niewinności w świątyni Eumenid.

Po wielu próżnych usiłowaniach by go oswobodzić z rąk pospólstwa, będącego wówczas panem swéj woli, byłem tyle słaby, iż przedsięwziąłem postępek mogący jak się wtedy zdawało ocalić Jezusa; to jest rozkazałem za karę chłostać go rózgami, a sam zażądawszy miednicy, umyłem ręce w obec pospólstwa, które nie słysząc tego com mówił, mogło pojąć allegoryczne znaczenie mojej czynności. Z tém wszystkiém nieszczęśni, jedynie tylko na jego życie czyhali.

Albinusie! podczas licznych zamieszek niejednokrotnie widziałem co to jest rozjuszenie ludu, przecież wszystkie te wspomnienia gasną przed tem, czego wówczas byłem świadkiem. Mógłbym powiedzieć że potęga piekielna zaludniła Jeruzalem, wszystkiemi widmami Tenaru, twarze mimo mnie przesuwające się były oblane potem krwawym i rozżarzone jakimś siarczystym płomieniem. Nie chodzili jak ludzie, lecz rzekłbyś że to wicher roznosi zgubne iskry które zmassowawszy się w ożywione fale, przelewały się między pałacem pretorskim i górą Syonu. Ich wycia, krzyki, konwulsyjne wołania, były tak przerażające, iż niczém jest wszystko cośmy słyszeli w czasie buntów Panonii lub zaburzenia w Forum.

Odeszli więc z porwanym Nazareńczykiem, a zarazem i światło dzienne zaczęło stopniami oblekać się pomroką, jak gdyby w wieczór zimowy, jak w dzień skonu Juliusza Cezara, bo to były także Idy marcowe. Ja zaś spodlony rządca ohydnie zbuntowanej prowincyi, wsparłem się o kolumnę bazyliki i przy tym jeszcze słabym blasku dziennym, ścigałem wzrokiem tłuszczę piekielną, prowadzącą na śmierć niewinnego Nazareńczyka. Dokoła mego pałacu miasto wyludniło się zupełnie. Wszystko bowiem co żyło w Jeruzalemie, wyszło za bramy prowadzące na miejsce kaźni. Wyraz smutku, barwa żałoby, objawiły się w całém przyrodzeniu. Straż moja przyboczna wraz z jazdą udała się za centuryonem, który dla utrzymania cienia władzy, chciał niby ustanawiać porządek, a tém czasem psuł go coraz więcéj.

Pozostawszy jeden i samotny, z boleści serca mego dorozumiałem się, że to co się dzieje w obecnej chwili nie do historyj rodu ludzkiego, lecz do historyi Bogów należy. Słyszałem okrzyki z Golgothy dochodzące, które wiatr roznosił zapowiadając konanie, jakiego dotąd żadne ludzkie ucho niesłyszało. Ołowiane chmury zawisły nad szczytami kościoła, a ich porozdzierane szerokie skrzydła, opuściły się po nad miasto, jakby okrywając je czarną zasłoną. Wszystkie oznaki przestrachu, tak zgodnie jednoczyły się z sobą i na ziemi i na niebie, iż przyznaję, że sprawiedliwie ozwał się

Dyonizyusz Areopagista: iż *albo Stwórca przyrodzenia boleć musi, albo też machina świata rozprzęga się.*

O piérwszéj godzinie w nocy, osłoniony płaszczem wyszedłem do miasta ku bramie Golgothy. Już ofiara była dokonana, lecz i postać ludu inna zupełnie. Tłumy pospólstwa wprzód tyle zburzonego, wracały do Jeruzalemu smutne, ponure, zawstydzone i rozpaczające. To czego były świadkiem wzbudzało w nich przestrach i zgryzotę. I kohorta Rzymska mimo mnie przeszła i ona jak lud cały była milcząca. Jeden z siepaczy przykrył swojego orła, na znak żałoby, a w ostatnim rzędzie moich żołnierzy, usłyszałem słowa które mi dziwnemi się wydały i których znaczenia nie pojmuję. Niektórzy z przechodzących opowiadali takie cuda jakie nieraz z woli Bogów, cały Rzym przerażały. Nie raz też idące garstki zapłakanych mężczyzn i kobiet, zatrzymywały się na owéj bolesnéj drodze i zwracały wzrok ku Golgocie, jakby oczekując nowego zapowiedzianego cudu.

Wracałem do pałacu przepełniony taką boleścią, jaką na całym ludzie widać było.

Wchodząc na wschody, przy połysku błyskawicy, postrzegłem na ich marmurowych stopniach krew Nazareńczyka, podczas chłosty wytoczoną. Tam też z postacią proszącego, czekał na mnie starzec, a za nim stało kilka kobiét, których tylko szlochanie słyszałem, bom w cieniu twarzy ich niewidział. Starzec rzucił się do nóg moich i płakał rzewnie. Och! okropnie jest wi-

dziéć płaczącego starca! — Czego żądasz, ojcze, pytałem go łagodnie. — Jestem Józef rodem z Arymatii, odpowiedział mi, przyszedłem błagać na klęczkach o łaskawe dozwolenie pogrześć Jezusa Nazareńskiego. Kazałem podnieść starca i rzekłem mu: — Stanie się zadosyć twemu życzeniu, i natychmiast wezwawszy Manliusza, poleciłem jemu wziąść kilku żołnierzy z sobą, dla dozoru przy złożeniu ciała Jezusa do grobu, a następnie postawić straż przy grobie, iżby go nieznieważano. Wszakże we trzy dni później, grób został pustym, a uczniowie Jezusa głosili powszechnie że ich Pan zmartwychwstał, wedle zapowiedzenia swojego.

Jeszcze jeden obowiązek pozostał mi do spełnienia. Trzeba było donieść Cezarowi o całym tym nadzwyczajnym wypadku. Dopełniłem tego w najmniejszych szczegółach i nic przed nim nie ukryłem. List mój pisany był w noc następującą, po owym dniu fatalnym, a świt poranny znalazł mnie jeszcze ze stylem w ręku.

Skończywszy pisanie, usłyszałem trąbki odzywające się poranną pieśnią Dyanny, a kiedy w tymże momencie rzuciłem wzrok na bramę Cezarejską, postrzegłem ruch wielki między żołniérzami, i usłyszałem dzwięki odzywających się innych trąbek, które grały marsz Cezara. Był to wojenny zasiłek, któregom potrzebował, było to dwa tysięce wyborowych żołniérzy, którzy dla pośpiéchu całą noc marsz odbywali. Trzebaż więc było żeby straszna niesprawiedliwość, już dokonaną

została! wołałem załamując ręce nad głową. O srogie urąganie losu! oni przybyli nazajutrz ratować człowieka, który dniem pierwej padł niewinną ofiarą. Niestety! wszystko, jak wyrzekł Nazareńczyk na krzyżu, —już wszystko się stało!

Od tej chwili, obleczony ogromną władzą, niekładłem granic nienawiści mojej ku temu ludowi, który mnie zrobił nikczemnikiem i zbrodniarzem. Czynności moje rzuciły postrach na całą Jerozolimę, bo jakby dla zaostrzenia mojej zemsty, Cezar przysłał mi listy w których surowo zganił mój postępek. Spisany przezemnie protokuł śmierci Jezusa, był czytanym w obec pełnego zebrania senatu i zrządził w nim głębokie wzruszenie. Wizerunek Nazareńczyka czczonego jako Boga, umieszczonym został pomiędzy świętościami pałacu Cesarskiego. Odtąd też dworzanie ku mnie nieżyczliwi, poczęli wysyłać szeregiem rozmaite skarki, które nakoniec lubo w wiele lat po śmierci Tyberyusza, pociągnęły za sobą wygnanie do tutejszego miasta, gdzie mam zakończyć życie w boleściach i zgryzotach sumienia.

Albinusie! jam ci wszystko powiedział, jam ci odkrył wszystkie tajniki mej duszy i ty mi oddasz sprawiedliwość mówiąc: że Piłat był mniej zły, a więcej nieszczęśliwy.

Starzec zamilkł, łzy popłynęły potokiem po jego zmarszczonych policzkach, a jego zrenice w jeden punkt stale zwrócone, zdawały się patrzeć z przestra-

chem na obraz dla niego tylko widomy, na żałobną fantazmagoryą przeszłości, zawsze dla niego obecnej.

Albinus miotany ponurą niespokojnością szukał słów dość zręcznych, któremiby mógł choć cokolwiek pocieszyć swego strapionego przyjaciela.

— Pontyuszu, mówił, twoje nieszczęścia są nadzwyczajne, jednakże trzeba szukać balsamu na twe zranione serce, trzeba wezwać owe kulawe kobiéty, które prośbami swojemi rozbrajają gniéw bogów.

Piłat zaczął się śmiać a razem i płakać, a uśmiéch jego przeraził przezornego Albina.

— Miasto, mówił daléj Albinus, niewygodném jest dla ciebie, nienawiść ma swoje siedlisko na placach publicznych. Jeżeli Janus czuwa nad progiem domu, to przecież zabezpieczyć niemoże zakątków domowych, przeciwko burzom zewnątrz tworzącym się. Czemu raczéj w górach naszych niemiałbyś szukać spokojności, któraby tu mogła być zamieszaną. Powietrze wiejskie nęci do spoczynku i sprowadza niepamięć na dokuczające troski.

— Boję się zrozumiéć ciebie, ozwał się Piłat, a usta mu drżały i lica jego jeszcze większa bladość pokryła: tak jest, boję się cię zrozumiéć, bo też jak wąż robisz daleki zamach, żeby pewniéj trafić do celu — ty chcesz zamknąć drzwi swojego domu przed starcem.

— Bogowie którzy mnie słyszą i których wzywam na świadectwo, rzekł Albinus, wiedzą to dobrze, czylim kiedy zgwałcił święte prawo gościnności, ale....

— Tak jest, przerwał starzec, nie zgwałciłeś ich dla nikogo innego, tylko względem mnie niewahasz się ich naruszyć, rozumiem cię jeszcze, nie kończ, winienem uwolnić przyjaciela od przykrości wymówienia słów, którym przez jego usta przecisnąć się trudno. Albinusie! dusza starego stoika ożyła we mnie, wszakże i dogorywająca pochodnia wprzód błyśnie przerażającém światłem, nim zagaśnie na wieki. Słuchaj więc Albinusie, chcę pożegnać twoich Bogów domowych i wnet wyjeżdżam.

Albinus spuścił oczy i milczał.

— Takjest, tak — twoje milczenie, jak to Markus Tulius powiedział kiedyś, głośno krzyczy w uszach moich. Idę zwołać moich służących.

— Twoich służących! rzekł Albinus do powstającego z krzesła Piłata, — twoich służących, ty ich niemasz więcej, oni porzucili swojego Pana.

— To dobrze, rzekł Piłat.

— Tylko jeden pozostał ci wiernym, jest to stary żołniérz.

— Zgaduję, to Longinus zapewne. Rozkaż przywołać Longinusa, a ja témczasem zgaszę twoję lampkę; już w niej niema oliwy, a potém już i dzień świta.

— Ach nie obwiniaj mnie Pontyuszu, i przy pożegnaniu nie szydź z moich Penatów.

— Ja, miałbym ciebie obwiniać! Nie, ja tylko żałuję ciebie, krew Rzymska niknie we wszystkich żyłach, już niema Rzymian. Niech teraz wszędzie wzno-

szą ołtarze bojaźni, dom Albinusa zbudowany w przysionku świątyni Marsa.

Piłat śmiał się ogromnym śmiéchem, który trwał do przybycia Longinusa.

— Pozdrawiam cię, mówił do niego i błogosławię wierność twoją. Tyś nie poszedł za przykładem tamtych zbiegów! Albinusie, niewiesz o postępku tego żołniérza. On służył w szeregu zbrojnych włócznią i w dniu śmierci Nazareńczyka, był na Golgocie u stóp krzyża. On to użalił się nad cierpieniami konającego człowieka i włócznią przeszył mu serce. Longinus umrze Chrześcianinem. No, przypasz twój oręż stary żołniérzu, i mój ostatni przyjacielu!

Żołniérz skinął, że już jest na zawołanie.

— A więc wszystko gotowe do podróży, mówił starzec. Piłat żegna Albinusa.

W godzinę później, ci dwaj ludzie doszli do połowy góry wznoszącej się nad miastem Wienną. Słońce wschodziło łagodnym blaskiem pięknej letniej jutrzenki; jego promienie odbijały się na złocistej kopule świątyni zwycięztwa, i na Attyckich marmurach świątyni sto Bogów. Jeszcze noc panowała w lesie Bogom poświęconym. Miasto w którym spokojność nocy przerwaną nie była, pochylone ku Rodanowi, zdawało się słuchać szmeru płynącej rzéki. Dalsze okolice tonęły w przezroczu czystej atmosfery, a świéżość przyjemna, echo wodospadów, pienia ptasząt i niezliczone dźwięki budzącego się przyrodzenia, unosząc się

z dolin na górę, zniewalały błogosławić życie, każdemu dla kogo ono nie jest ciężarem.

Piłat stojąc na górze, nic nie zważał na piękność okolicy, lecz wlepionemi oczyma wpatrywał się w czarną przepaść, otwartą pod jego nogami. Mętny strumień płynął z jękiem w głębinie, ale go widać niebyło, bo mnóstwo dzikich kolczastych krzewów osłaniało go przed okiem ludzkiém. Ułamek skały w przepaść stoczony, długo walczyć musiał z temi zawadami, nim ciężarem swoim przedarł się przez nie, a potém z ogromnym hukiem uderzał o powierzchnią wody i w niéj tonął.

Piłat uśmiéchał się do téj przepaści, później zwrócił uwagę na ogrom i wspaniałość krajobrazu, tchnącego żywą wesołością, który otaczał ostatnią chwilę jego rozpaczy; wspomniał na śmierć Nazareńczyka umierającego spokojnie, pośród zburzonéj natury — i po raz ostatni gorżko zapłakał.

— Longinie, ozwał się nakoniec, schowaj twój miecz do pochwy, już mi go więcéj nietrzeba, — ja i bez ciebie umrzéć potrafię. Nie chcę kalać rąk twoich krwią moją, bo na nich są ślady innéj krwi, i te na wieki ci zostaną. Tak jest Longinie, ów mędrzec Golgoty pochodzi z duchów Wyższych. Zachowaj tę wiarę i pamiętaj że ci wszyscy którzy się krwią jego zbroczyli, zginęli śmiercią nikczemną. Wspomnij na Heroda, na Kaifasza — jam ich przeżył nieco — ale widzisz że i mój koniec nie jest lepszy.

To mówiąc Piłat rzucił się w przepaść. Longinus usłyszał trzask łamiących się gałęzi, mignęły mu w oczach szmaty togi Piłata cierniami poszarpanéj, a nakoniec rozległ się jęk okropny połączony z hukiem ciała, pod którém głęboko rozstąpiły się wody i potém széroko okryły je swoją pianą.

Tak skończył życie ten, pod którym Chrystus był umęczon.

Po ośmnastu wiekach upłynionych, ta śmierć, ten człowiek, jego wspomnienia, zdają się unosić jeszcze nad starą stolicą Rzymską; a sam widok Wienny, pogrąża wędrowca w dumanie, gdyż wszystko zdaje się mówić jemu, że w tych okolicach coś tajemniczego, coś niepospolitego stać się musiało!



OBJAŚNIENIE.

Wienna. — (Wienna Allobrogum) miasto nader starożytne i znakomite, położone na lewym brzegu Rodanu. Była to niegdyś stolica Allobrogów, potém długo zostawała we władaniu Rzymu, który ją upiększył wielu pomnikami. Teraz jest miastem Francuzkim Departamentu Izery, zawiéra do 15,000 mieszkańców, ma mnóstwo pięknych pomników budowy starożytnej, jako to: Amfiteatr przez Rzymian zbudowany, wodociągi i inne ciekawości.

Nadto; oprócz opisanych w niniejszej legendzie wspomnień o Piłacie, pamiętne jest jeszcze innemi znakomitemi wypadkami z wieku IV.

GWIAZDA.

(FANTAZYA).

Gwiazdo! co na niebieskim zawieszona sklepie!
Na téj głębi bezdennéj, bezgranicznym stepie,
Mrugasz iskrzącém okiem wśród północnych cieni,
Jak brylant uwikłany w splot kruczych pierścieni
Narzeczonéj, co z innym duszą zaręczona,
A z innym do ołtarza przemocą wiedziona —
Martwa, jak świat w téj chwili, jak ta noc posępna,
Blada, jako ten księżyc — jak ty niedostępna
Błogiéj nadziei szczęścia — bo w jéj duszy ciemno
I ponuro i zimno, jak w krąg mnie, nademną.
Jak łezka w jéj źrenicy, drżące twe promienie,
Bezsilne żeby zegnać z nieba nocne cienie,
Rozdzierają daremnie ich mroki zgęstniałe,
Tak jéj rozpacz rodziców serca zatwardziałe,

Co przez zimne choć jasne, jak twój blask pojęcia,
W oddali szczęście widzą, w nieszczęściu dziécięcia!...
I gdy czucia ich, już noc wieku zagasiła,
Niepomnę jaka skwarów namiętności siła!...
Że to słońce młodości, gdy raz w duszy wznijdzie,
Niezgasisz go, aż pora zachodu nieprzyjdzie.

✲

Gwiazdo! czyjej cię ręki niepojęta siła!
Tak głęboko w niebieskim błękicie utkwiła?
Że nie tylko spojrzenie, nawet myśli władza
Nieprześcignie obszaru, co ciebie odgradza!
Czemuż mnie ciężkie ciała utrzymują pęta?
Czemuż dusza ma w stoku jasności poczęta?
Jak ślimak do skorupy do zmysłów przyrosła,
Spi jak statek na mieli bez żagli bez wiosła!...
I kiedy ją ciekawość odważna i chciwa,
Pomiędzy wasze roje jaśniejące wzywa,
By ztamtąd okiem wszystkowidzącego słońca,
Patrzéć, widziéć, rozglądać, pojmować bez końca
Harmonię tłumu światów— co spokojnie płyną
Bezgraniczną, bezbrzeżną, bezdenną głębiną!..
Ciężki łańcuch ziemskości, przyciąga mnie na dół,
Na ten lawą niedoli zatopiony padół,
Gdzie czując własną, widząc miłych sercu mękę,
Ni sam wybrnąć, ani im zdołam podać rękę.

I muszę razem znosić moje, ich katusze,
I te jakiemi stan mój zakrwawia ich dusze!...

*

Gwiazdo! jabym cię pragnął objęciem owinąć,
Lub w twém świetle jak kropla w morzu się rozpłynąć,
I natenczas jasności promieniste dziécie,
Wraz z twemi spojrzeniami rozleciéć po świecie!..
Cóż mi z tąd że rachunku czarodziejska siła
W nieskończoności drogi dla was zakréśliła,
Chyżość biegu ocenia, was rozmierza, waży,
Te mrozi, te zapala, te powietrzem darzy
Żyjącemi istoty — innych wziąść w ujęcia
Nieśmieją nawet szklanne Herszela zaklęcia!
Cóż mi z tego hardego z linii rusztowania?..
Po nim myśl pnąc się w górę z zawrotu się słania,
Ruchomego szkieletu, ogromem zlękniona,
Żadném czuciem niewsparta — z wysilenia kona
Rwąc z wątłych włókień mozgu, snutą pajęczynę!...
O! nietakbym chciał poznać przyszłą mą dziedzinę.
Sercem chciałbym ją zbadać w całym życia wdzięku,
Duszę moją nastroić z nią do jednodźwięku;
I wtedy hymn zanócić — godny Boskiéj chwały,
A razem współmieszkańcom ziemi zrozumiały...
To słowem jak piorunem, siekąc błędów chmury,
Spaść na karki zbrodniarzy stérczące do góry.

To hurraganu dłonią tworczynią zagłady,
Całe miasta krainy wywrócić z posady.
I zmywszy po nich ślady, hojnym łez potokiem,
Błysnąć słońca niećmionym żadną chmurką okiem.
Niosąc złemu zagładę — błędom przebaczenie,
A pognębionej cnocie, radość i zbawienie.

Marcin Ossorya.

Do K. W.

W DZIEŃ ŚLUBU.

Majowe słońce pogodnym rankiem,
Zagląda w lipę błękitną;
Wstawaj o luba! niech skroń twa wiankiem,
Lica rumieńcem zakwitną.

Co tylko dotąd chęcią przelotną,
Goniłaś w chwilę półsenną,
Oto dziś postać bierze istotną,
I w jawę wstępuje dzienną.

Kwiat co go sadzą miłe ci dłonie,
W *Remizowieckim* ogrodzie;
Długi czas wdzięki ukrywa w łonie,
I ostrym kolcem ubodzie.

Aż go pogodne niebo obejmie,
I promień rozgrzeje letni,
Woń swoją wiatrom poda uprzejmie,
I liść barwami rozświetni.

Smutno dni twoich wiosna spływała,
Tak rzadka była pogoda,
I przebolała i opłakała,
Nie jedną stratę pierś młoda.

Ale już promień błękit weseli,
I ziemia wdzięczną lśni rosą,
Niechże po słotach bujniéj i śmieléj
Nadzieje w niebo się wzniosą.

Na wzgórzu, pośród śmiejącej roli,
Gdzie wieczna skowronków śpiéwka,
Stoi w zielonym wieńcu topoli,
Biała, samotna cerkiewka.

I oto odgłos przyjemny dzwonka,
Ku bożej chwale lud sprasza;
Pójdźmy! niech z ranną pieśnią skowronka,
Modlitwa łączy się nasza.

Nie trwożny umysł nieśmy w téj chwili
I serca skruchą przejęte,

Cośmy poczuli, cośmy przeżyli,
Było niewinne i święte.

Ale swobodną myśl ku niebiosom,
I czyste serce wznieść trzeba:
Przyszłym uczuciom, czynom i losom,
Niech błogosławi Pan z nieba.

Augustyn B.......

Aż gdy pogodne niebo [illegible],
I promień zogrzeje letni,
Woń swoją wiatrom noszą uprzejmie,
I liść [illegible] rozwinie [illegible].

Smutno dni twoich [illegible] spływała,
Tak rzadka była pogoda,
I przebolała i opłakała,
Nie jedną [illegible] pierś młoda.

Ale już promień błękit [illegible],
I ziemia wdzięczna lśni rosą,
Niechże po słotach bujniéj i śmieléj
Nadzieje w niebo się wznoszą.

Na wzgórzu, pośród [illegible],
Gdzie [illegible],
Stoi w zielonym wieńcu topoli,
Biała, samotna cerkiewka.

I [illegible] odgłos przyjemny dźwonka,
Na bożą chwałę lud sprasza;
Pójdźmy! niech z ranną pieśnią skowronka,
Modlitwa łączy się nasza.

Nie [illegible] myśl [illegible] w tej chwili
I serce [illegible] przejęte,

HRABINA

de Königsmark,

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

Ludwika Paprockiego.

HRABINA
DE
KÖNIGSMARK.

I.

Jak burzący meteor pogromczy duch zemsty Karola XII natarł na Polską Rzeczpospolitę, gdy król August II skojarzył się z otwartemi jego nieprzyjaciółmi, i wśród nieprzerwanego ciągu zwycięztw wojownika północy, sięgnął niebacznie po klejnot jego korony, popierając orężem prawa Polski do Inflant, któremi Szwecya władała oddawna.

Zamach ten wśród nieukojonych wewnętrznych niesnasek i burzących się przeciw wątpliwéj elekcyi Augusta stronnictw, a nadto bez pozwolenia Stanów ze źle tajoną myślą dążeń do absolutyzmu powzięty i wykonany, słabo był wspierany przez naród, daleki jeszcze od owego ducha jedności z królem, któregoby

zespolenie sił wszelakich w wojnie zaborczéj i trudnéj być mogło następstwem.

Postrzegł wnet Karol tę słabą stronę sprawy swojego przeciwnika, a przybiérając charakter obrońcy sprawiedliwości i prawa, ogłoszeniem nowéj elekcyi i powołaniem do tronu Stanisława Leszczyńskiego, zagarnął pod swe sztandary partye niechętnych, i wszczął wojnę domową, dążąc z nieugiętym uporem do zrzucenia z tronu Augusta, jedynego w narodzie przeciw któremu walczyć chciał tylko nieprzyjaciela.

Ale wojna fakcyi, wojna ducha stronnictw, rzadko wiedzie do tych stanowczych rezultatów, któreby w każdém inném położeniu, łacniéj osięgnąć mogła przewaga wojowniczego geniuszu króla szwedzkiego. Jakkolwiek znaczne siły narodu zwiększały wojsk szwedzkich szeregi, nie zbywało na stronnikach i Augustowi, za którym walczyły wojska saskie i zastępy sąsiednich sprzymierzeńców, a z temi jednoczyły się wszelkie uczucia prawości i wstrętu do uznania Monarchy narzuconego najezdniczą ręką Karola. Przedłużała się więc wojna zbyt dolegliwie dla wygórowanéj i nienawykłéj do jakichbądź ustąpień dumy bohatéra szwedzkiego, chociaż mógł łacno z honorem i korzyścią dla sprawy którą bronił, zakończyć uporczywą walkę, zwalniając nieco ze swéj kardynalnéj zasady dążenia, owéj *deleanda Cartago,* — abdykacyi Augusta, który do wszelkich innych prócz tego jedynie skłaniał się warunków.

Wśród walk i potyczek staczanych codziennie z różném szczęściem, ale nigdy z stanowczym dla jednéj lub drugiéj strony wypadkiem, słał August to otwarte posły, to tajemniczych agentów do króla szwedzkiego, zmieniając bezustannie warunki proponowanéj zgody, dla któréj był gotów wszystko poświęcić, prócz *sine qua non* nieugiętego Karola — ustąpienia tronu Stanisławowi Leszczyńskiemu.

Ten warunek dotykał kwestyi honoru osobistego, a im wyżéj wynosił Augusta wielbiony powszechnie duch jego rycerski, urok mamiących przymiotów świetnéj indiwidualności, zbierane obficie laury na kwiecistych niwach miłości, tém dotkliwiéj szwankowałby w moralnym upadku, tém żywiéj czuł ważność nieskazitelności honoru.

Jakkolwiek jednak nieszczędził poświęceń i trudów dla wyzwolenia się od téj ostateczności, nie mógł zrównać w uporze i wytrwałości z hartem nieugiętéj w żadném położeniu stałości przedsięwzięcia Karola; a lubo walka ta dwóch przeciwników zwracała na siebie spojrzenia całéj Europy, strwożonéj bezprzykładną dzielnością ducha wojowniczego i zaborczym dążeniom szwedzkiego Monarchy, słabo jednak taił August gotowość poddania się wszelkim wymaganiom, choćby nawet tak go poniżającemu ustąpieniu korony, gdyby się ujrzał zagrożonym, czego w każdéj obawiał się chwili, w swéj piérwotnéj dziedzinie, lubéj Saxonii, którą władał w spokoju, do któréj powabnych

wspomnień wśród burz nieustannych zawodu przedsięwziętego w rachubach wywyższenia się, zasyłał westchnienia tęsknoty, a w której ostatni na dni niedoli, upatrywał przytułek.

Ta myśl wsteczna króla Polskiego nietajną była posiadającym ufność jego stronnikom i dworzanom; ale nie wychodziła za obręb powiernictwa; król zaś szwedzki, widząc stale przed sobą gotowego do walki nieprzyjaciela, szedł tylko zgodną ze swym wojowniczym zapałem drogą otwartego boju, nietroszcząc się o środki częstokroć skuteczniejsze ubocznego dążenia do celu. Zniecierpliwiony jednak rozwlekłością domowej wojny w którą się niebacznie uwikłał, wojny szarmyclów i gonitw, w której ani korzystał z zwycięztw, ani szwankował w przegranych, zaczął nakoniec gruntownie rozmyślać nad środkami zjednania dla swej sprawy stanowczéj i ostatecznéj przewagi, choćby o nię nie samym tylko ubiegać się trzeba było orężem.

W tém zabłysła świetnie ściemniała od dawna gwiazda Augusta. Obozując pod Stawem, o dwie mile od Kalisza odległém miasteczkiem, przeprawił on swe wojska przez Prosnę w zamiarze wydania bitwy królowi szwedzkiemu; lecz uprzedzony przez niego w piérwszém rozwinięciu sił swoich, pod wodzą walecznego i stale sprawie swéj służącego Wojewody Poznańskiego Smigielskiego, przeważne nad nim odniósł zwycięztwo.

Zabrzmiały wnet wrzawą uniesień radości szeregi stronnictwa Augusta, a dwór jego kwitnący zawsze, nawet wśród znoju i niewygód wojennej wyprawy przepychem, wytwornością, zbiorem świetnej młodzieży, i wdziękami towarzyszących mu kobiet, rozwinął mamiącą swą okazałość w zamku miasta Kalisza, gdzie młody Monarcha, przodkujący młodzieży nie blaskiem majestatu, lecz urodą, wdziękiem, nadludzką siłą, niezrównaną do konia, korda i turnieju zręcznością, a nadewszystko porywającą serca kobiece zalotnością, wśród mnogich balów, uczt, karuzelów, gonitw i innych widowisk, w których sam czynny brał udział, podbijał serca swych powabnych dworzanek, lubego na świeżo zdobytych laurach rzeczywistej chwały używając wytchnienia.

Od tej epoki zaczynając akcyą naszego niezmyślonego opowiadania, ukażemy czytelnikowi orszak towarzyszący królowi na konną gonitwę, w urządzonym dla tej rycerskiej zabawy świetnym hippodromie.

Rzućmy spojrzeniem na wznoszącą się w głównym rogu obwiedzionego sznurami placu estradę, której tło światło zielonego koloru powlekających ją bogatych kobierców, odbija z mamiącym blaskiem stokrotne barwy ubiorów zalegającego całą jej przestrzeń licznego orszaku widzów. Ubawiwszy wzrok tym jakby rozkwitłym pod niebem wschodu kioskiem sułtańskich ogrodów, ściśnijmy zrzenicę skupiając promień

oka do szczegółów, aby z tego mamidła rozwikłać rzeczywistość i prawdę.

Szukajmy przedewszystkiém pana i władcy tego porywającego orszaku męztwa i wdzięku; widzimy bowiem że nikt nie zajmuje wystawionego naprzód i górującego nad poziomem rozłożystego krzesła ze szkarłatu i złota. Ale pamiętajmy że panem tym jest August II, i jakby po nici Aryadny w obłędach labiryntu kierując poszukiwania nasze, zobaczmy która z tych nimf młodości i wdzięku, zajmujących skupione rzędy krzeseł po obu stronach królewskiego siedzenia, celuje blaskiem piękności, godnym hołdu wytwornego i doświadczonego smaku Monarchy; ta bowiem będzie panią jego myśli, i przy jéj boku ujrzymy go niewątpliwie. Niedługo wahamy się w wyborze, bo go ustala nie zimny sąd oka, ale mimowolne wrażenie serca zachwyconego urokiem anielskich powabów, i na jéj widok zapominamy o tym, który był pierwszym ciekawości naszéj przedmiotem.

W jakże zachwycającej postaci stawia nam przed oczy zbiór wdzięków téj upatrzonej przez nas piękności szczodra i niezawistna wolność ubioru, którą przychylna żądzy bez wędzidła samowładna moda Wersalu, uczyniła prawem powszechnem tam, gdzie również hołd piękności kierował prawami smaku, i gdzie zwłaszcza jak na dworze Augusta, skłonność pana przesadziła jeszcze dyktatoryalne zasady. To lekkie i przezroczyste tło pajęczej tkaniny, miękko ukła-

dającéj się na utoczonych członkach kształtnej i gibkiej jak wybujała trzcina kibici, nie przykrycie tajemniczych powabów, lecz uwydatnienie ich pod zasłoną ułudy, zdaje się mieć tylko na celu; i jakby dla wzniecenia w rozdrażnionych zmysłach niepokoju pragnień pożerających, lub ukazania nagiéj prawdy chciwemu wzorów czystej piękności oku estetycznemu, kończy swe panowanie tam, gdzie zaokrąglenie łona stałością swą przypomina nam marmur karrary, ogładzony dłotem Praxytelesa, a świeżością i barwą dwie białe róże wiosenne, lekką owiane krasą. Czémże byłyby jednak te powaby kształtów, gdyby jéj twarz w swych rozkosznych zarysach wstydliwą lecz namiętną objawiająca duszę, nieodznaczała się pięknością tak czystych rozmiarów, jakie tylko płodna wyobraźnia starożytnych artystów urzeczywistnić umiała? Przenikający ogień jéj dużych oczu niebieskich, wlewający w serce jakąś lubość nieznaną, przysłaniały długie czarne rzęsy zawsze przymkniętéj powieki, jakby dla przytłumienia blasku pałającej zrzenicy. Pełna czystego wdzięku wydatność każdego zarysu na zaokrąglonym miękko owalu, dopełniała tego arcydzieła, a wyraz duszy jakby przebudzonej z melancholicznego uśpienia, stanowił całość uroku zdolnego natchnąć życiem miłości posąg z zimnego głazu.

Wcałej jednak postawie téj porywającej istoty, postrzegamy jakąś walkę usilnie tłumionego uczucia

z przymusem niezwykłej drażliwości położenia. Starajmy się zbadać tego przyczynę.

Tuż przy niej wpada nam w oko dorodnéj postawy i oblicza mężczyzna. Jedno nań spojrzenie przywraca nam pamięć roztargnioną wdziękami nadobnéj nimfy, i poznajemy w nim cel pierwszy naszego poszukiwania. Wdzięk męzkiej postawy i niewymuszona swoboda w całym jej układzie, dałyby nam poznać Monarchę, choćbyśmy i niewidzieli lsknącej się na jego piersi gwiazdy orderu słonia, i bogatych klejnotów spinających frak granatowy, po którego rękawach, długie o złotej frendzli z ramion spływają galony. Zdawał się on obcym dla wszystkiego co go otacza, i z twarzą płonącą całym ogniem serca zachwyconego wdziękami swéj sąsiadki, namiętne w wytwornej mowie składał jej oświadczenia, które im więcéj wzrastały w znaczenie, tém wyraźniej jakieś pełne nerwowéj dolegliwości na jej twarzy obudzały wrażenia.

Omińmy skupione rzędy jaśniejących barwami stroju, łabędzią białością, nimf mniéj więcéj powabnych i młodych, i zatrzymajmy uwagę na innych osobach orszaku, rozmaicie wikłających się w osnowę naszego opowiadania.

Widzimy najprzód dwóch najbliższych boku królewskiego oficerów, a razem usłużnych powierników, skrytych pana miłostek, — Adjutanta barona de Ranzau i Majora Figton, któremu olbrzymia siła utorowała drogę do łaski króla, lubiącego zbliżać do siebie

tych, co jak on zdołali kruszyć w dłoni żelazne podkowy, giąć w palcach obrączkowe talary i dzikie dosiadać rumaki.

Zasępia nas dalej ponure wejrzenie surowego pod spuszczonym wąsem oblicza. To wojewoda Smigielski, którego dłoń na karabeli i zasępiona źrenica, wymownie oznacza niechęć, iż August trwoni czas na miłostkach i płochych zabawach, dozwalając wzmagać się w nowe siły Szwedowi po porażce pod Stawem.

Nietajna mu skądinąd skłonna pochopność Augusta do układów z Karolem, a znając nieugięte króla szwedzkiego dążenie, jak stuoczny Argus czuwa nad sprawą której jest głównym filarem, śledząc za każdém poruszeniem króla w obawie, aby jéj nie zgubił opuszczeniem haniebném.

Lecz najwięcéj zwraca uwagi uderzający sprzecznością z powagą ubioru Wojewody, strój kusy francuzki, siedzącego przy nim Podkomorzego koronnego Lubomirskiego, w którego rysach ostro odbijających z pod nastrzępionych kędziorów zamaszystéj peruki, maluje się głębokie zafrasowanie niechętnie tłumionéj wewnętrznéj niespokojności, przechodząc na przemian to w wyraz zapalczywego gniewu, to znowu w jakieś złowieszcze roztargnienie namysłu krwawéj zemsty, w sercu oblaném żółcią zazdrości i nienawiści.

Nie będzie nas dziwił ów tak niestosowny do miejsca i czasu charakter oblicza, gdy się dowiemy że to

jego młoda małżonka była owém bóstwém piękności, którą w obszérnych skreśliliśmy zarysach, a do któréj z porywającą mocą zwodniczéj swéj zalotności, zwracały się niebezpieczne hołdy Augusta. Jakoż widzieliśmy, że całą swą istnością, przeczuwała burzę zakłócającą spokój zawistnego serca męża, którego wzrok zdawał się ją otaczać z daleka jakąś atmosferą frasunku, niepokoju, ucisku, trując goryczą wkradającą się do duszy, słodycz namiętnych oświadczeń młodego króla.

To usposobienie duszy Podkomorzego, tém silniejszy objawiało stan rozjątrzenia, iż Wojewoda, którego myśl tonąca w sprawach kraju, nie była zdolną do zastanowienia nad obecném położeniem osób, obrał tę niestosowną chwilę do przełożeń Podkomorzemu, iż sprzyjając Augustowi, nie jego osobisty interes, lecz czysto pojęte dobro prawego w kraju stronnictwa, powinien mieć tylko na względzie, i że źle czyni, stając się narzędziem pojednawczych z królem szwedzkim działań Augusta, któremu służąc, znać należy granice własnych widoków jego i dobra sprawy któréj on stoi na czele.

Całe to niewczesne natężenie wymowy, otrzymało kilka zaledwie słów wyrzeczonych w zniecierpliwieniu, wśród których konwulsyjnie ściśnięta dłoń Podkomorzego, ujmowała co chwila za rękojeść misternéj szpadki francuzkiéj, i opuszczała ją nagle, ile razy wzrok niespokojny zatrzymał na wiszącéj przy boku Figtona olbrzymiéj szabli, którą niegdyś król August, w obec

dworu i ludu stolicy Hiszpanii, jednym zamachem ręki ściął łeb ogromnego byka, rozjuszonego zwycięzką walką z najbieglejszym w swej sztuce torreadorem, a którą darował swemu oficerowi, w dowód szacunku dla zdolnéj do równych dzieł siły jego ramienia.

Niemożemy nakoniec ominąć w tym naszym obrazie sprzecznie odbijającego na tle świetnych barw jego zarysu. W gronie najżywiéj kwitnących powabów, raziła swą szpetnością przesuwająca się tu i owdzie w leniwych i ociężałych ruchach pełzającego gada, postać potwornego karła, którego ubiór pełen przesady w przepychu barw świetnych i złota, zdawał się jakby ponętą dla oka, zamykającego się ze wstrętem przed tak odrażającym widokiem. Krótkie członki jego były wygięte i pokurczone, garb z przodu i z tyłu, a w jego wklęsłości tonąca ogromna głowa, któréj czoło spłaszczone jak u węża wśród jeżących się włosów rudawych, lskniło się błyskiem szatańskiej złości dwóch oczu zapadłych, które z ruchawością jaszczurczego spojrzenia, upatrywały zewsząd przedmiotu dla przekąsów równie złośliwych jak śmiałych, szerząc w około przestrach i żywy na twarzach kobiét rumieniec zawstydzenia.

Tą swobodną zuchwałością darzyła go rzadka potworność, czyniąca zeń osobliwość w wieku, którego smak wykwintny i przemyślny w sztuce zmysłowych upojeń, lubił jednoczyć powaby wytworności i wdzięku, z przedmiotami swą odrazą wzmagającemi słodycz wrażeń piękności. Złośliwy język jego nieprzepuszczał

ani królowi, i dla samego tylko Lubomirskiego, którego był własnością od urodzenia, a który niedawno uczynił zeń podarunek królowi, czuł to niewolniczéj uległości wędzidło, jakiego na dzikich zwiérzętach ułaskawionych widzimy przykłady. Rozumiał każde jego poruszenie, każde skinienie powieki, i mechanicznie uprzedzał najskrytsze chęci jego.

W takiém to usposobieniu moralném, znaczniejszą rolę grające w zdarzeniach opowiadania naszego osoby, przypatrywały się widowisku zapasów zręczności i siły, w których młodzież rycerstwa i dworu, pod sądem znawczym króla i powabném okiem piękności, prześcigała się o ich poklask i palmę piérwszeństwa. Już niejednokrotnie w biegu rozpędzonych rumaków, drzewcami lekkich kopij, wyczérpano z dziobu złocistego ptaka cały zapas pierścieni; już wiele włóczni zostało skruszonych i odniesionych zwycięztw w gonitwach i walce: my jednak zwracamy wyłącznie spojrzenia do osób, które wraz z nami, bądź to pod wpływem silnego uczucia, bądź z drażliwości położenia, zdawały się na nic przed sobą nie mieć uwagi i oka.

Napróżno wysilał się król w zapale władnącéj nim namiętności, na długie uczuć swych oświadczenia, śledząc sercem spragnioném ich wrażeń na twarzy pięknej swéj towarzyszki, któréj stan niezwykły przymusu, zmięszania, którém owładnąć napróżno usiłowała, tak dalece rozdrażnił nawykłą do łatwych zdobyczy

żądzę Monarchy, iż niepomny na żaden wzgląd miejsca i osób, zawołał w uniesieniu.

— Nie przepuszczę ci Pani tych udręczeń duszy mojéj, nad którą tak nieludzko pastwi się srogość skalistego serca twojego. Tu zaraz, pod okiem tych spojrzeń zimnéj obojętności, znajdę sposobność widokiem śmierci mojéj, nasycić lub ukarać twe okrucieństwo.

Słowa te w rozdrażnieniu namiętności mniéj przyzwoitym wyrzeczone głosem, rozległy się w dość znacznéj przestrzeni, chociaż baron de Ranzau, widząc stan króla, usiłował stłumić je głośną z Figtonem rozmową. Pomimo uszanowania zgromadzonych dla osoby Monarchy, chciwość plotek za błogą wypadek ten poczytała swą zdobycz i dał się słyszéć szmer przytłumiony zadowolonéj zawiści i żądzy obmowy.

Wszystkie oczy zwróciły się razem ku Lubomirskiemu, w którego zburzonych rysach, każdy upatrzył pożądaną wróżbę głośnéj i gorszącéj intrygi. Ale napróżno chcielibyśmy dać wyobrażenie śmiertelnéj niespokojności, z jaką w tym samym kierunku zwróciły się przerażone spojrzenia Lubomirskiéj. Król który w swém roztargnieniu na nic więcéj niezwracał uwagi, jak na twarz pięknej swéj towarzyszki, śledząc oznaki, którąby mógł przychylnie wytłómaczyć dla swéj miłości, został nakoniec uderzony wyrazem niezwykłego stanu jéj duszy, a obracając głowę w kierunku jéj spojrzenia, po raz pierwszy postrzegł Lubomirskiego, którego dotąd mniemał nieobecnym na swoim dworze.

Na ten widok, zdawał się przychodzić do siebie, nietając przekory na własną swą nierozwagę, zdolną zniweczyć lub odwlec jego uszczęśliwienie. Widocznie jednak ta myśl jedynie, a nie wzgląd na wymagania przyzwoitości i następstwa nierozważnego postępku, przebudzała go z roztargnienia, bo po krótkiej przerwie zastanowienia, obrócił znowu głowę ku Lubomirskiemu i rzekł sucho:

— Witamy cię, Mości Podkomorzy: jakimże to zrządzeniom winniśmy obecność twą na dworze naszym, od którego tak cię o tej dobie mniemaliśmy oddalonemi? Zaiste, nie chcemy zachmurzać nieukontentowania tej miłej nam niespodzianki; niemożemy jednak powściągnąć się od odwołania się do was, Wojewodo, z prośbą, abyście w strofowaniu nas o oziębłość dla sprawy mojej i waszej, nadal mieć pamięć raczyli, iż nie tylko bezużytecznem, ale nawet niestosownem byłoby to całe dla niej poświęcenie jakiego po nas wymagacie, gdy z podobną opieszałością wypełnione są przez was samych, zmierzające ku jej powodzeniu zlecenia największej wagi.

Na ten docinek Wojewoda obrócił się skwapliwie ku Lubomirskiemu i natarł nań z całym ogniem znanéj swej gorliwości dla sprawy, której bronił z niezachwianą zawsze stałością, tak w polu, jak w izbach stanów i w burzliwem kole zwaśnionych stronnictw krajowych. Niewczesna ta natarczywość, wzmagając stan rozdrażnienia Lubomirskiego coraz silniéj zwra-

cała na siebie chciwą podniety do oszczerstwa ciekawość zgromadzonych. Po chwili jednak przerwał uwagę powszechną chrapliwy głos karła, który rzekł z zuchwałością jemu tylko samemu ujść mogącą bezkarnie:

— Nie frasujcie się, Miłościwy królu, tém wam jak widzę nie na rękę zjawieniem się dawnego pana mojego. Wszakże już na mnie samym żywy macie przykład, że was gwiazdy przeznaczenia uczyniły dziedzicem wszystkich jego skarbów piękności, i że na próżno kusiłby się o zachowanie praw swoich nad tym, do którego zdobyczy tyle już Wasza Miłość drogi ubiegła.

Słowa te wyrzeczone z namysłem złośliwości, wzmagając drażliwość położenia osób, zdawały się ciosem złowieszczego uroku na wzruszonych rysach Lubomirskiéj. Zgasł ostatni odbłysk kwitnących na jéj twarzy kolorów, i jakby w boleści przenikającéj w najskrytsze jéj istności tajniki, traciła przytomność myśli i władzy nad sobą moralnéj, oparłszy rękę na sercu rzekła do do króla te tylko słowa głosem stłumionym: — Ach Panie!.....

Twarz króla przybrała wyraz gniewu, którego niepodobna opisać i zawołał do karła z wybuchnieniem:

— Pójdź tu, obmierzła poczwaro... jeżeli sądzisz że pobłażanie nasze dla twéj wyrodnéj szpetoty, niezdoła przestąpić swych granic, gdy jéj wyrównywa bezprzy-

kładna zuchwałość twej stokroć wyrodniejszej duszy, pomnij, że mi łacniej kazać cię roztargać końmi dzikiemi, jak zadeptać nogą jadowitą ropuchę.

Pomimo groźbę tych wyrazów i bardziej jeszcze zastraszający ton głosu z jakim wyrzeczone zostały, całe ich znaczenie spełzło bez wrażenia na twarzy karła, której barwy pargaminowe i wyraz złośliwego sarkazmu, zachowały swój niezachwiany charakter. Ułomność i słabość, najpewniejszą są tarczą przeciw pociskom dusz szlachetnych i wielkich: jakoż, zabłysły szyderstwem spojrzenia wklęsłych jego oczu, i zdawał się usposobionym natrząsać się z groźnej do siebie przemowy; ale w tej chwili rozległo się niewyraźnie ciche i przytłumione gwiźnienie, do którego całą swą skierował uwagę, a postrzegłszy oddalającego się Lubomirskiego, przetłoczył się pełzając przez skupione rzędy osób, które odsuwały się z odrazą ułatwiając mu przejście, i pośpieszył za nim skwapliwie.

Po oddaleniu się tych dwóch osób, znikał stopniami wszelki przymus położenia i wszystko wolniej zaczynało oddychać, jakby w odświeżonej powietrzem i światłem atmosferze ciemnego lochu. Król całą odzyskał swobodę, a z nią i ostudzony na chwilę zapał swych uczuć, który zaczął się znowu objawiać przez wylew niepowstrzymany namiętnych i zwodniczych oświadczeń. Ale sama tylko ze wszystkich nadobna jego sąsiadka, była zawsze jakby sparaliżowaną posępnym urokięm wrażeń poprzednich. Żadna usilność

nie zdołała rozwidnić jej zachmurzonego i odrętwiałego wyrazu, a zatopiona w ponurych swych myślach, pod ich wrażeniem, zdawała się tracić wzgląd wszelki na przyzwoitość, i wśród bezpośrednio nawet czynionych do siebie zapytań, chowała zimne i uporczywe milczenie.

Te uchybiające oznaki, zdawały się nakoniec oziębiać zapały króla, a przechodząc koleją z rozjątrzenia w stan urazą wywołanego lekceważenia, pogrążył się na chwilę w swych myślach; poczém przechodząc z lekkością w przedmiot zgromadzenia, na który zdawał się dotąd niepomnym, rzekł do Figtona niedbale:

— W roztargnieniu naszém mniej bacznie uważaliśmy na dzieła odbywających się pod okiem naszém rycerskich zapasów. Sądzimy jednak, że dotąd niemoglibyśmy roztrzygnąć kwestyi pierwszeństwa, i że dla zniesienia równowagi, nam z tobą, Figtonie, zmierzyć się w szrankach wypada. Wyrzucamy ci więc rękawicę o skruszenie kopii na dwóch dzikich turczynach, któremi w dniu wczorajszym wzbogacono me stajnie, a które dotąd znają tylko władzę burzliwych wichrów z któremi ścigały się w swych bezludnych pustyniach. — Zobaczmy czy ci niezbędzie na sercu, i czyli ją chętnie podejmiesz?

Słowa te zdawały się tylko dla igraszki wyrzeczonemi tym, którzy mniej znali Augusta; inaczéj przecież zrozumiał je Figton, i odpowiedział królowi:

— Wiém iż napróżno kusiłbym się odwieść Waszą Królewską Mość od tak niebezpiecznego zamiaru, i ochoczo przyjmuję wyzwanie, pod tym atoli warunkiem, iż pozwolicie zamienić włocznie na drzewce dzirytów z zakładem zdobycia w dwóch zawodach po jednym pierścieniu. Walka tego rodzaju stokroć godniejsza rycerskiéj Waszéj, Miłościwy królu dzielności, gdy zważycie jakiéj to biegłości i siły będzie zadaniem, dosiadując rumaki nienawykłe do władzy wędzidła i bodźca.

— Zgoda! odpowie król z lekkością swobodnej i nieważącej niebezpieczeństwo otuchy. Daj rozkaz uprzątnienia placu, i stawienia dwóch naszych czworonożnych bisurmanów, a zobaczymy jak się sprawi pogańska dzikość, pod wodzą ręki chrześciańskich rycerzy.

W krótkiéj przerwie oczekiwania, rozmaite w kole zgromadzonych objawiły się wrażenia; wszyscy ci jednak którzy trafem lub od niedawnego czasu znajdowali się u dworu, a tém samém nieznali pochopnéj do niebezpiecznych przygód skłonności Augusta, z niedowierzaniem oczekiwali rozwiązania tej dziwnéj sceny; król tymczasem poglądał z ukosa na swą powabną sąsiadkę, śledząc z jakiém uczuciem przyjęła myśl jego niebezpiecznéj rozrywki, którą właśnie zamierzył wstrząsnąć i przebudzić z letargu jéj serce, o które się rozbiła cała moc zwodniczych jego zabiegów. Ale twarz jéj zawsze objawiała pozory obojętności, a przy-

najmniéj zatopienia się w dotkliwém roztargnieniu duszy nękanéj niespokojnością i niedostępnéj wpływowi wrażeń zewnętrznych.

Coraz żywiéj czuć zdawał się król dotkliwą dla swéj miłości własnéj obrazę, i postanowił skrycie żadnych nieszczędzić usiłowań, w dążeniu do zmiękczenia tak nieużytego serca i ukojenia swéj zranionéj próżności. Ukazał się tymczasem na placu liczny orszak królewskich masztalérzy, wiodących dwa rosłe i okazałe, lecz strwożone i pasujące się w dzikich podskokach rumaki.

Na ich widok dał się słyszeć okrzyk przerażenia. Ich pałające oczy i nozdrza, niesforna krnąbrność pod wodzą wędzidła i ręki, obudziły powszechne wrażenie obawy i niespokojności. Król powstał z uśmiéchém i skinąwszy na Figtona, przetłoczył się przez ciżbę dworzan, którzy go otoczyli błagając, aby się nienarażał na tak widoczne niebezpieczeństwo.

Niepodobna było przypuścić, aby się mógł ktokolwiek pokusić o otwarte opanowanie dzikiego tych zwiérząt uporu, i rycerz nasz obrał drogę podejścia; w upatrzonéj chwili spoczynku jednego z nich wśród nieustannych skoków i usiłowań wyłamania się z pod hamującéj władzy wędzidła, ukrył się między masztalérzami, i skokiem równie śmiałym i zręcznym dosiadł grzbietu jego, ujmując wnet za cugle utwierdzone u siodła.

Zarżało strwożone zwiérze, przez chwilę stało nieruchome drząc konwulsyjnie wszystkiemi członkami, potém w fantastycznych i dzikich podskokach, uwolnić się usiłowało od niezwykłego ciężaru. Ale zdawało się że się zrosły z sobą dwa ciała: Król niestracił ani na chwilę równowagi, i z całą przytomnością, wyglądał sposobności opanowania tych niesfornych poruszeń.

Wspiął się nakoniec koń, stając pionowo do ziemi i bijąc powietrze przedniemi nogami; jeździec zwolnił cugli i utopił w bokach jego obie ostrogi. Z głuchym jękiem boleści i zadziwienia puścił się rączo strwożony rumak, i biegł w zawód jak wiatr lotny pustyni, kryjąc się w tumanie gęstego kurzu.

Całe zgromadzenie oniemiało z przestrachu; lecz na twarzy Lubomirskiej odznaczył się wyraz śmiertelnéj trwogi i niespokojności. Jéj rysy malowały naprzemian to niepokój czynionych sobie wyrzutów, to rozpacz zwątpienia o losie, o życiu tego, dla którego serce jéj po uporczywej walce z głosem sumienia, z radami rozsądku, z świętością obowiązków, poddało się nakoniec przemocy wszechwładnego uczucia. Jéj oczy łzą zabiegłe, wznosiły się ku niebu z błagalnym wyrazem, a cała postać, nieruchoma, bez barwy życia, jak wizerunek boleści z białego ukuty marmury, zdawała się posągiem istoty w głaz przemienionej nadludzką władzą jakiegoś bóstwa rozjątrzonego, wśród walki z tkliwością serca i burzą namiętnej duszy.

Cóżby niedała za odwołanie swéj nieugiętéj acz nieszczérej obojętności! z jakąż rozkoszą rzuciłaby się teraz w objęcia tego, który w męczarniach serca pozbawionego nadziei, gonił za śmiercią okrutną! Jak lubo spoczęłaby na jego piersi, nawet pod okiem tych spojrzeń oszczerczych, nawet pod zbrojną sztyletem zawiści zapalczywą dłonią mściwego męża!

Ale niewczesną już była ta rozpacz, ten tryumf miłości, bo król coraz widoczniéj bliskim był krwawego rozwiązania swéj nierozważnéj porywczości, niemogąc nawet ucieszyć się widokiem znaczącéj przemiany w rysach téj, o któréj przychylne spojrzenie tak długo ubiegał się bezskutecznie.

Zaledwie z największą trudnością zawrócić zdołał śmiały jeździec rozhukanego rumaka, i biegł jak uragan przez całą długość zawodu, pasując się z uporem zwiérza, dla skierowania biegu jego ku słupowi na którym zawieszony był ptak trzymający w dziobie pierścień przeznaczony do zdobycia na drzewcu dziryta. Już był w połowie przestrzeni, a jeszcze koń nie ulegał zgoła cuglowi; Król postrzegł tymczasem że już Figton unosił z tryumfem pierścień zawieszony na kopii: na ten widok, w nieprzytomnym zapale współzawodnictwa, całą mocą olbrzymiéj swéj siły osadził konia na miejscu, który brocząc piasek krwią z ust rozszarpanych wędzidłem, wspiął się na tylnych nogach, stracił ró-

wnowagę i z jękiem potoczył się na wznak. Tylko najprzytomniejsza zręczność ocalić mogła króla w tej niebezpiecznej chwili; jakoż, szybkiém jak błyskawica poruszeniem, rzucił się na bok, i legł daleko od konia na placu: od silnego jednak w gwałtownym pędzie uderzenia, pozostał nieruchomy bez przytomności i czucia. W tejże chwili, rozległ się w oddaleniu krzyk przerażającéj rozpaczy, i Lubomirska upadła na ziemię bez zmysłów.

II.

Przenosimy się do małéj lecz zwytwornym delikatnego smaku rozlicznemi fraszkami w zalotnym nieładzie przybranéj komnaty. Jéj ściany jaśnieją amarantowém tłem pozawieszanych bogatych makat, posadzka przykryta kobiercem o długiém jedwabistém włóknie, w którém miękko zatapia się noga, przechodząc tajemniczo, bez szelestu, jakby szanując ciszę uroku panującego w tém rozkosznėm ustroniu. Nad łożem do chwilowego spoczynku, wytchnienia, w miękkie z zielonego aksamitu usłaném węzgłowia, wisi portret Prymasa Radziejowskiego, otoczony szerokiemi w rzeźbach znamion familijnego herbu i insygniów duchownego dostojeństwa złotemi ramami. W każdém poruszeniu, oko spotyka wykwintne kształty rozlicznych sprzętów i tych drobnych gracików, które kaprys i dziwaczna żądza wypieszczonego smaku, uczyniły potrzebą życia w fantastycznych prawidłach mody. W rogu tego małego edenu, stoi klęcznik hebanowy o szkarłatném węzgłowiu, a nad nim nadobna natchnieniem świętobliwości statuetka Madonny z białego marmuru. Mno-

gość bez szyku i porządku rozstawionych tu i owdzie kwiatów rozmaitej barwy i woni, dopełnia uroku panującego w tém rozkosznem zaciszu, wlewając w serce jakąś lubość tajemniczą, i pobudzając do marzeń rozkoszy, bo wszystko w tém miejscu obudza przeczucie piękności, która tu żyje sercem, marzeniem, swobodą, tu chroni swe czucia od trosk przymusu, od jarzma wymagań i obowiązków.

Jakoż,panią tego ustronia jest pięknaLubomirska, którą tu znajdujemy przebudzoną z omdlenia, i w niepokoju oczekującą roztrzygnięcia jéj losu, jéj całéj przyszłości. Już się walka jéj serca skończyła; poddała się namiętności, w nią przelała całą swą istność, nią tylko żyć i oddychać już będzie. Lecz będzież to istnienie boleści i tęsknoty, czy rozkoszy i szczęścia? Czyliżby dla łez tylko i żałoby ponieść miała ofiarę pokoju duszy, pogody sumienia? czyżby ją przeznaczenie skazywało na życie bez nadziei, na torturę namiętności bez celu, bez zadowolenia, bez ukojenia ran serca wylaniem się czucia podzielanego?... Ta chwila jest stanowczą... Oczekuje wiadomości o stanie króla, którego po raz ostatni widziała rozciągniętym na placu bez życia. Jakiż ogień pała w jéj niespokojnych spojrzeniach, jak się pierś jéj wznosi konwulsyjném tchnieniem nadziei i trwogi!... Co chwila pada na klęcznik i gorące modły zasyła do nieba; potém znowu siada z wymuszoną ciszą poddania się, rezygnacyi... Nagle cała jéj dusza zdaje się wylewać przez oczy; silnie rękę przyciska do serca jakby

wydzierającego się z piersi w gwałtownych uderzeniach; twarz przyobleka się purpurą, i znowu potém przechodzi w martwą bladość marmuru... Coraz wyraźniéj zbliża się szelest kroków... drzwi się otworzyły, i ukazał się król August.

Z krzykiem radości zrywa się Lubomirska, postępuje ku niemu i zawoła z uniesieniem:

— Ach! Panie, żyjesz więc jeszcze!...

Wyraz uczucia, szczęście w całéj rozlane osobie, więcej jeszcze jak znaczenie tych wyrazów uderzyły uwagę króla. Jak błyskawica przemknęła się radość po jego obliczu; lecz przytłumiając ją rychło, rzekł, z przybraną miną tęsknoty i smutku:

— Tak jest, żyję jeszcze, lecz tylko dla tego, aby tobie Pani poświęcić to życie; a jeśli tę ofiarę odepchniesz, jeżeli wzgardą miłości mojéj zakrwawisz to serce tak już boleśnie zranione twém okrucieństwem pomnij co może rozpacz i wstręt do życia w męczarniach spragnionej duszy, w istności bez nadziei, bez kwiatu, bez żadnéj barwy wesela w długiéj i ponuréj przyszłości. Przychodzę więc ostatecznie doli mojej doświadczyć, i składając życie w twe ręce, z ust twoich oczekuję wyroku przeznaczenia mojego.

Ale już Lubomirska ochłonęła z pierwszego zapału radości. Teraz, przeszłość ze swą ciszą pogody, przyszłość w burzach namiętności, któréj uniesienia znikome opłacać mają długie pasmo poświęceń i ofiar życia w odosobnieniu od świata, od szacunku ludzi, od po-

koju wewnętrznego zadowolenia, stanęła jéj przed oczy w całym swoim obrazie. To obejrzenie się przed rzuceniem się w przepaść z któréj już podnieść się niepodobna, zachmurzyło znowu wyraz jéj twarzy; w zimnem roztargnieniu zdawała się ważyć ciężar wymaganéj od siebie ofiary. Długie panowało milczenie. Król, który w swém uniesieniu i zapale namiętności rozpłomienionéj tém piérwszém sam na sam w tak przyjaznych okolicznościach, postanowił użyć wszelkich sposobów swéj sztuki podbijania dla zdobycia ostatecznego wyznania, przybrał znowu minę rozpaczy, i rzekł idąc ku drzwiom powolnie:

— Dosyć mi na tém, nienarażam cię Pani na przykrość objawienia słowami twojéj ku mnie odrazy: w tych zimnych spojrzeniach, dość wymownie objawiasz mi wyrok potępienia mojego.

— Ach! wstrzymaj się, Najjaśniejszy Panie; przebacz sercu, którego cierpienia obłąkały mój rozum... miéj litość nad nieszczęśliwą istotą, która w odmęcie wzruszeń nieznanych, w natłoku uczuć niepojętych, zebrać rozbiegłych myśli niezdoła. Powiedz, czego odemnie wymagasz?

— Miłości całém życiem, całém jestestwem, uczucia bez granic, bez podziału; a przynajmniéj miłosierdzia, pobłażania, nadziei.

To mówiąc król ujął jéj rękę, i w błagalnéj postawie zdawał się oczekiwać wyroku swego uszczęśliwienia lub ostatecznéj zagłady. Lubomirska, w żywo-

ści wrażeń, w cichéj walce uczucia z ostatniém echem głosu odbiegającéj niewinności duszy jeszcze dziewiczej, zdawała się pozbawioną przytomności i czucia. Oczy zamknięte, wpółotwarte usta jaśniejące karminem silnego w sercu wzruszenia, lice w płomieniach konającego wstydu, czas niejaki pozostała w téj zachwycającéj postawie; potém, padła w objęcia króla kryjąc twarz swą na jego piersi. W namiętném uściśnieniu spotkały się ich usta, i dusze zlały się w gorącym i przeciągłym pocałunku.

W tém drzwi otworzyły się gwałtownie; silnie zabrzękła szabla; król nagle obrócił głowę i stanął w osłupieniu. — Z ręką na rękojeści pałasza, z pochmurném wejrzeniem, z okazałym na głowie kauzerem, stał oficer szwedzki, w którego barwie i uzbrojeniu poznał August tę groźną od boku Karola XII konną chorągiew, którą tylekroć razy widział jak w bitwie, za swoim wodzem niezwyciężonym, wśród gradu kul, rzucała się tam, gdzie wrzał bój najzaciętszy, łamiąc szeregi i gromiąc pierzchające przed sobą najbitniejsze zastępy.

Przez czas niejaki król niemógł połączyć swych myśli dla zrozumienia tego dziwnego zjawiska. Wnosząc na koniec z zuchwałéj postawy przybylca, że miasto podejściem zostało opanowane przez nieprzyjaciół, sięgnął ręką do boku, a nieznajdując przy nim oręża, schylił się nagłém poruszeniem ku stojącéj w rogu komnaty łożnicy, pochwycił ją silném ramieniem, i

wznosząc ze swobodną łatwością do góry, jak drugi Samson postąpił groźnie ku oficerowi szwedzkiemu.

Ten, jak gdyby niewidział tego niebezpiecznego zamachu, stał nieruchomy jak posąg; zdawało się że wyglądał, że oczekiwał na cios śmiertelny z radością, bo gdy ujrzał wzniesione nad sobą zbrojne olbrzymim ciężarem ramie Augusta, ustąpił wnet z jego oblicza ów wyraz dumy, nienawiści, pogardy, który go zrazu odznaczał; rozjaśniła się twarz jego przybierając wdzięk nadobny młodości, natchniony pokorą, rezygnacyą, czułością: krople łez zawisły na spuszczonych powiekach, a całą swą postawą, jak anioł w śmiertelnej powłoce przyoblekający się nagle w niebieskie swe kształty, mimowolnie uderzał wrażeniem współczucia i podziwienia.

Król stanął jakby rażony piorunem; niepojęty jakiś niepokój serca odbił się na jego rysach wzburzonych. Rzucił na ziemię z łoskotem ciężar z swej ręki, i rzekł niespokojnie:

— Hrabina de Königsmark!!

Lubomirska wydała okrzyk zadziwienia; przez chwilę jeszcze pasował się August z sobą: potém odzyskując przytomność, rzekł z lekkością i przymileniem:

— Witamy cię, droga hrabino; niemiej nam za złe, prawdziwie, żeśmy cię pod tą barwą i groźném uzbrojeniem naszego królewskiego nieprzyjaciela, a nadewszystko pod tém pochmurném skandynawskich dzieci spojrzeniem, niepoznali i nieugościli od razu jakby nam serce kazało. W istocie, twoje dla nas poświę-

cenie, tylko sercem pojęte i opłacone być może; bo niewątpimy że i ta maskarada, która ci skądinąd tak przypada do twarzy, hrabino, nie inny ma cel jak zwiększenie naszego długu wdzięczności nowém dobrodziejstwem dla naszéj sprawy, która i za ostatni swój tryumf tobie jedynie jest dłużną.

To rzekłszy, obrócił się do Lubomirskiej i dodał: — Pozwól Pani, przedstawić sobie najlepszą i najwierniejszą z mych przyjaciołek. Zaiste, szczęście moje nic już niemiałoby do życzenia na ziemi, gdybym was obie ujrzał węzłem czułej połączonemi przyjaźni.

Słowa te zdawały się okrutnym sarkazmem hrabinie, któréj duszę szarpała boleść śmiertelnéj rozpaczy. Jéj oczy zbroczyły łzy goryczy; lecz po chwili twarz jéj przybrała znowu ów wyraz zapalczywości, który ją zrazu odznaczał. Z oschłą źrenicą, ujęła konwulsyjném poruszeniem za osadę jednego z zatkniętych za swój pas skórzany małych pistoletów. Wstrzymując się potém nagle, dumném i grożącém rzuciła na króla spojrzeniem, ścisnęła wargi z wyrazem najgłębszéj pogardy, i nierzekłszy ani słowa, nagle wyszła z komnaty.

III.

Niewcześnie postrzegamy się w nieprawidłowym pochodzie akcyi naszej powieści. Uprzedziwszy wprowadzeniem osób, rzeczy, wypadków, rozwinięcie tła na którém wysnuć się były powinny, krokiem rączym wstecz postępować jesteśmy zmuszeni, aż nim dolazłszy znowu kresu ostatniego wypadku w rozdziale poprzedzającym, już nieco odważniej drogę naszą ku rozwiązaniu odbywać będziemy. Przenosimy więc czytelnika w epokę znacznie poprzedzającą bitwę sprzymierzonych za sprawą Augusta pod Stawem, która tym sposobem będzie latarnią płonącą wprawdzie więcej czarnym dymem jak światłem, zawsze jednak oświecać mającą niebespieczny nasz przepływ między dwoma rzędami skalistych ustępów, grożących pogrążeniem nas w wirze nieloicznego zamętu.

Powiedzieliśmy już jaką drogę obrał Karol XII w dążeniu do celu swej nienasyconej ambicyi i zemsty za niebaczną obrazę nieugiętej swej dumy, którą dotąd podsycał szereg świetnych na polu sławy powodzeń, a która

nieuległa ani pod brzemieniem srogiéj niedoli jaka go później dotknęła, zostawując dla dziejów rzadki przykład upadku ze szczytu wielkości, a dla bohatéra tego politycznego dramatu, dziwny Żelaznéj-Głowy przydomek.

Zapalony i podsycany w nader zapalnych żywiołach narodu duchem podobnéj energii pożar wojny domowéj, wrzał w bezprzykładnéj sile, przenikając zniszczeniem lub klęską w najustronniejsze kraju zakątki. Nic się ukryć niemogło pod zasłoną neutralności: cokolwiek żyło, służyć musiało jednéj lub drugiéj sprawie z całém poświęceniem, a hasłem powszechném były słowa: „Kto nie jest z nami ten przeciw nam."

Ale król August, przeciw któremu wywierała się jedynie żelazna stałość przedsięwzięcia szwedzkiego Monarchy, dalekim był od zrównania mu w stałości, wytrwałości, energii. Pełen rycérskich przymiotów, zdumiéwał walecznością swą w boju i wzgardą niebezpieczeństw; ale pogrążony w rozkoszach, wzdychał do pokoju, na łonie którego mógł znaleść wyłącznie dostateczne dla swéj panującéj skłonności żywioły, a za każdém poruszeniem nieprzyjaciela, drżał aby nieskierował oręża na Saxonią, tego jedynego punktu gdzie skołatany burzą, mógł zawsze bezpiecznie odetchnąć i spocząć. Uniesiony jednak wirem okoliczności, podżegany wytrwałością nieprzyjaznego Stanisławowi Leszczyńskiemu stronnictwa, skrępowany przymierzem z obcemi Monarchami, którzy w nim położyli

nadzieję skruszenia przemożnej potęgi króla szwedzkiego, czynnie sprawę jego wspierając, pozostał do pewnego kresu na stanowisku, chociaż nieprzestawał skrycie żadnych doświadczać usiłowań na drodze pojednawczej, które się zawsze rozbijały o niezłomny upor Karola, znać niechcącego żadnej pośredniej drogi między abdykacyą, a wojną na śmierć lub życie.

W gronie stronnikow króla z wyboru szwedzkiego Monarchy, najważniejszym przez rozległość wpływów, siłę namiętności i przebiegły w intrygach politycznych charakter, był Prymas królestwa Radziejowski. Zwalczony w czasie elekcyi przez stronnictwo Augusta, gdy stał na czele fakcyi francuzkiej prowadzącej do tronu księcia de Conti, nie z przekonania i prawdy, lecz przez nienawiść i zemstę, całej swej za Stanisławem Leszczyńskim używał przewagi, kojarząc i podsycając najsilniejszą przeciw Augustowi fakcyą krajową.

Król August przeświadczony o ważności przymierza z tak możnym zapaśnikiem, nieszczędził żadnych usiłowań pojednania dawnych z nim swoich rozterek, i jeżeli niezdobycia go dla swej sprawy, to przynajmniej ukojenia wrzących jego przeciw sobie namiętności; ale wszystkie te usiłowania spełzły bezskutecznie; dziedzic charakteru swych przodków, pozostał dumny Prymas niezachwiany na stanowisku czynnej oppozycyi, nieschodząc z pola walki, dopóki go wdanie się Stolicy Apostolskiej, pozornie przynajmniej z panującym niepogodziło Monarchą.

Nie zrażał się jednak August tém piérwszém niepowodzeniem zamiaru zbliżenia do siebie możnego Prymasa; kierunek tylko dążenia zszedł z drogi prostej na uboczną.

Najwięcej posiadał wpływu na Radziejowskim znany już czytelnikowi Podkomorzy koronny Lubomirski, zbliżony doń węzłem małżeństwa z jego młodą i słynną wdziękami synowicą, któréj władzę piękności poznaliśmy na dworze Augusta, a która była jedynym przedmiotem aż do słabości i zaślepienia posuniętego przywiązania Prymasa.

Lubomirski, który całą swą młodość spędziwszy we Francyi, przejął w nałogi życia wytworność i świetne obyczaje Wersalu, rzucony w odmęt burzliwego stronnictwa stryja swéj żony, w nader niewłaściwym znalazł się żywiole, i wzdychał do życia dworskiego, któreby mu blasku i okazałości stolicy świata mody, dawało wyobrażenie. Łacno więc August jednoczący około siebie całą współczesną powabność i wykwintność dwóch krajów, którym panował, zdołał usposobić go dla swoich widoków, tak, iż dwór jego obrał za stały swój pobyt, a przypuszczony do poufałości i zaufania Monarchy, wkrótce stał się najdzielniejszą sprawy jego sprężyną. Rychło ufność w nim króla przestąpiła granice ostrożności, których nieprzekroczył nigdy w zwierzaniu się swym innym stronnikom krajowym, i wylał się przed nim z najskrytszém zamiarów swoich dążeniem.

Lubomirski odpowiedział téj ufności wiernie i z poświęceniem, a król August, korzystając z jego stanowiska pośredniczego, na którém go mieściły związki krwi z naczelnikiem najczynniejszéj oppozycyi, na nim oparł swe nadzieje doprowadzenia do portu skołatanéj swéj sprawy.

Odtąd życie Lubomirskiego płynęło wśród zabaw na ożywionym dworze Augusta, i wycieczkach z missyami, z których wywiązywał się gorliwie, przezornie i z tajemnicą, jakiej wymagało dążenie do pokoju i zgody, z gotowością wszelkich ustąpień, przed niewyrozumiałą zawziętością broniącego sprawy króla stronnictwa. Lecz gdy natarczywość nieprzyjaciela i niestałe koleje losu wojny domowej, zmieniając bezustannie położenie okoliczności, wywoływały razem potrzebę zmian w raz powziętych planach działania, niezdołał August uniknąć skrytéj ze swoim agentem korrespondencyi, jakkolwiek środek ten zdradzić mógł tajemnicę, którą osłaniać się w podobnych dążeniach, było rzeczą największej wagi.

Wylany i otwarty charakter Augusta, gdy raz umieścił swą ufność, już w niej żadnych granic nieumiał zachować, a listy jakie pisywał do Lubomirskiego, gdy ten w domu Prymasa wywiązywał się ze zleceń pogodzenia stronnictw i zawarcia z królem szwedzkim traktatu zgody, objęły w końcu najskrytsze jego plany dążenia.

Przytaczamy jeden z tych listów, wyraźniej cechujący nieograniczoną ufność króla w wierność i stałość charakteru Lubomirskiego:

„Nam wiernie miły w Bogu wielebny Mości Podkomorzy.“

„Z wdzięczném i szczodrém w uczucia szczérej dla was przychylności sercem, odczytaliśmy list wasz, którym dajecie nam poznać upor chciwych widzenia nas w niedoli nieprzyjaciół, którzy w zaślepieniu swej zawziętości, sprzysięgli się na zgubę naszą z obcym Monarchą. Niewątpimy żeście nieszczędzili trudów w staraniach o dobro sprawy kraju, i że niepomyślny obrót okoliczności nie waszej szczérej dla nas chęci, lecz jedynie niełaski Niebios jest dziełem. Niemniemamy przeto abyście zaniechać mieli swych starań; owszem, pragniemy i błagamy was o wytrwałe dostanie pola, a gdy niemożna śmiało iść naprzód do celu, dobrze jest choćby krocząc, krok jaki naprzód ku niemu postąpić. Wasz wolny wszelakich przesądów sposób myślenia i doświadczona wierność, pozwala nam z zupełną wam się otworzyć szczérością.

„Poznaliście już bez wątpienia, jak mało ceny przywiązujemy do królowania w tym kraju; zaiste, jam niestworzony na lalkę w złocistym czépcu i błyszczących manelach, którą przystrojono na podziw i igraszkę dzieciom; i jeżeli nas stałym widzicie na stanowisku,

pochodzi to z tąd, że godném wiekopomnéj chwały uznajemy dziełem odrodzenia na zdrowych zasadach tej bezrządnej krainy, do czego za błogosławieństwem niebios od początku tego ciernistego zawodu dążyć zamierzyliśmy. W obecnych okolicznościach, niecofamy kroku dla tego, że nieokrzesana zaciekłość Karola, wymaganiami swemi, umieściła nas między dwie ostateczności: sromoty, lub wytrwania mu w jego nieugiętéj zapalczywości.

„Łacno zrozumiécie że mi ta ostatnia kolej pozostała z wyboru. W téj wszelako toni tylko roztropnością kierując kroki nasze, honor nasz i sprawę ocalić od haniebnego upadku możemy. Dzięki mądréj Opatrzności, natura darząc żelazném sercem wroga naszego, odmówiła mu światła rozumu któreby oświécało pociski jego olbrzymiego ramienia, a walka z nim nasza jest pojedynkiem z bitnym i silnym ale ślepym i zapamiętałym matadorem, którego groźne ciosy nietrafią nigdy w żywotne bacznego przeciwnika organy. Dopóki nienastaje na pokój i całość dziedzicznéj naszéj Saxonii, gdzie sercowa naszego politycznego życia bije arterya, piersi nasze bezpiecznie chroni przed ostrzem jego miecza potrójny pancerz wytrwałości, chytrości i niestałego umysłu tutejszego ludu, wirującego bezustannie między obie sprawy, jak fala dwoma przeciwnemi kołysana wichrami. Łacno więc odgadniecie jakiéj wam ścieszki trzymać się w tém bezdrożu wypada.

„Udaną obawą, prośbą i nieustannem o pokój błaganiem pochlebiać jego zarozumiałości i dumie, a jednaniem stronników, wznoszeniem zewsząd nieprzebytych zawad, trzymać jego zapalczywość na wodzy, dopóki się nam raz nieuśmiechnie niewierna dotąd fortuna, i skojarzywszy wszystkie w dogodnej porze siły naszych sprzymierzeńców i nasze, ostatecznym nieprzywalemy go ciosem.

„Niech więc ten kraj będzie przedmurzem Saxonii; my zaś starajmy się go nużyć bezsilnemi harcami, nim nam nakoniec nie ugnie twardego karku.

„Oto są nasze plany, które za waszem jeno gorliwem współdziałaniem dobić szczęśliwie do portu zdołamy. Niewątpimy że zrozumieliście swe stanowisko, a w życzliwem dla nas sercu waszem, znajdziecie otuchę i światło do obrania trafnego i niemylnego zawodu. Niezrażajcie się wreszcie uporem wam spokrewnionego Prymasa; ta nieużyta twardość przed waszem jeno zmiękczyć się zdoła usiłowaniem, a zawsze pomnijcie, że tę zdobycz ważymy na szali ze stanowczem dla naszej sprawy zwycięztwem.

„Błagamy Boga aby was zachował w swej świętej i czystej pieczy."

August Król.

Widzimy z tego listu, jak przyjazna i na ufności wzajemnej ugruntowana łączyła Lubomirskiego z królem harmonia; ale zaczął się nakoniec zachmurzać ten

horyzont pogody. Związek małżeński Podkomorzego z Radziejowską, której zachwycające wdzięki wyniosłyby innego człowieka do szczytu uszczęśliwienia, z zimną przez tego zaślepionego francuzkiej mody zwolennika przyjęty został obojętnością. Modny XVIII wieku cynizm, który wszechwładnie kierował domowém życiem dworzan Wersalu, niedozwalał mu objawić szczęścia jakiego rzeczywiście doznawał; a młoda jego małżonka, nawykła do otaczających zewsząd ją hołdów, bolesnego w nadziejach swych błogiego bytu w więzach tkliwego związku doznała zawodu. Zraniona próżność kobiéca, złączyła się z cierpieniem serca zawiedzionego, a tęsknota i niespokojna żądza odrodzenia się w uroku tkliwych uczuć z życia więdniejącego bez kwiatu, usposobiły jéj duszę do poddania się piérwszym doznanym wrażeniom.

Ale brak sposobnych okoliczności bronił do pewnego czasu praw niebacznego małżonka. Dom stryja w którym mieszkała, gdy mąż jéj przepędzał czas na dworze Augusta lub w miejscach do których powoływały go zlecenia króla, surowością swych obyczajów, życiem ascetycznem pana, które przerywał tylko gwar politycznych intryg w czasie zjazdów dla narad z Prymasem surowych i poważnych sensatów, szarością swych wrażeń więził wydzierające się z serca wątlejącego w tęsknocie czczych i nieodgadnionych pragnień uczucia.

Ale ten stan rzeczy niemógł trwać długo. Lubomirski przyjętą rolą stałego dworzanina, i jawnie objawionèm czynnèm swèm sprawie króla sprzyjaniem, odznaczywszy swój polityczny charakter, zdjąć musiał nakoniec maskę neutralności w dzielących cały naród stronnictwach, którą się dotąd osłaniał, i pobyt swój przy królu ustalić. Ukazała się więc piękna jego małżonka u dworu, który wnet potèm, jakby dla uczczenia jéj przybycia, zajaśniał najświetniejszym swym przepychem i okazałością.

Jéj piękność rzadkiéj i wzorowéj czystości, wszystko jakby nowèm natchnęła życiem. Król olśniony jéj blaskiem, zdawał się dla niéj wyłącznie oddychać, a zabiegłém wytwornéj swéj zalotności staraniem, odznaczył zaraz jawnie doznane wrażenia, w których go żaden wzgląd przyzwoitości, ani nawet pobudki nierównie ważniejszego interesu, niezwykły nigdy hamować. Zwodnicza jego powierzchowność, którą, gdy serce swe uczuł świeżym zatlone płomieniem, umiał przybiérać w tysiączne barwy porywającego uroku; czysta i wytworna ogłada świetnego ukształcenia; głęboka znajomość labiryntu serca kobiety, czyniły go mistrzem w sztuce uwodzenia, któréj władzę dusza stęskniona Lubomirskiéj, wśród dolegliwéj czczości istnienia i żądzy życia w uroku wzruszeń namiętnych, zbyt łacno w najskrytszych swych uczuła tajnikach.

Rychło ślepa miłość z obustron przestąpiła roztropności granice, a zazdrość innych dworzanek, którym młodość i wdzięki mogły również otworzyć drogę do pożądanych zalotów młodego Monarchy, oszczerstwem i obmową z oznak jeszcze niewinnych, już głośną i gorszącą wywiązały intrygę.

Ten stan rzeczy wywrócił cały budynek udanego cynizmu Lubomirskiego. Zapóźno poznał niebaczny błąd swego trybu życia z młodą i namiętną małżonką, a przeklinając nierozsądek z jakim skarb którego nieumiał szanować,sam zbliżył do brzegu tak niebezpiecznéj przepaści, w uniesieniach bezsilnej zapalczywości, hamowanych obawą śmiészności, okrywającéj zwykle zbyt silne wyskoki urazy za zniewagę praw małżeńskiego układu, w srogiéj dni kilka poprzedzających zdarzenia piérwszego naszego rozdziału, spędził męczarni.

Było to właśnie w chwili, gdy August postawiony w zwycięzkiej postawie świetnym wypadkiem bitwy ze Szwedami pod Stawem, zamierzył rozpoczętym przed tą epoką za pośrednictwem Lubomirskiego swym o pokój negocyacyom, nadać więcej imponujący charakter, i w tym celu wyprawił go do Prymasa ze stosownemi instrukcyami.

Lubomirski, pożérany zazdrością, wstrzymał swój wyjazd, i widzieliśmy jak niepostrzeżony przez króla,

miał sposobność, w czasie konnej gonitwy, zajrzéć aż do dna swojéj toni. Odtąd już tylko zemstą oddychał, dla której nader niebezpieczny w położonéj w nim przez króla ufności bez granic, posiadał oręż.

Niebył jednak zupełnie niebacznym na swój pokój domowy, gdy piękną swą małżonkę powziął zamiar ukazać zalotnemu Monarsze; bo ten był wtenczas złączony jawnie ścisłym związkiem miłości z Hrabiną de Königsmark, i pobłądził tylko w ocenieniu stałości jego uczuć dla tej powabnéj kobiéty,którą czytelnik w tak dziwnéj zobaczył dotąd raz tylko postawie, a którą obszérniej nakoniec wprowadzić nam na scenę wypada.

Aurora de Königsmark miłości dla króla całą swą poświęciła przyszłość; dziedziczka znakomitéj ale już wygasłéj szwedzkiéj rodziny, od dzieciństwa przeznaczoną była Hrabiemu de Gillenstirna, który będąc towarzyszem lat młodzieńczych Karola XII, potrafił rozkrzewić w twardém sercu jego zarody stałéj i niezachwianej dla siebie przyjaźni; a dzieląc wojenne trudy polskiéj wyprawy króla, najotwartszą i nieograniczoną szczycił się jego ufnością. On to dowodził będącą przy boku Karola XII słynną chorągwią konnych muszkieterów, którą w czasie wojennéj rozprawy trzymał król zawsze w odwodzie, a na któréj czele stawał sam, ile razy chciał ciosem stanowczym zgromić nieprzyjaciela, lub zatrzymać odbiegające od swych szeregów zwycięztwo. On również pełnił obowiązki piér-

wszego oficera sztabu, i czuwał nad wykonywaniem wszystkich rozkazów i wojennych planów osobiście wojsku swemu dowodzącego Monarchy.

Pomimo świetne swe przeznaczenie dzielenia zawodu chwały najpierwszego bohatera wieku, Gillenstirna w gruncie był nieszczęśliwym człowiekiem. Wzgardzony i opuszczony od téj dla któréj w piérwszém rozwinięciu się serca z wrażeń dziecinnych, gwałtowną wychował namiętność, pędził młodość bezbarwną w ponuréj i melancholicznéj tęsknocie duszy, pożeranéj tlejącym zawsze ogniem miłości bez nadziei.

Haniebnie zdradziła podzielane z nim niegdyś uczucia Hrabina de Königsmark. Już się zbliżał dzień małżeńskiego obrzędu z młodym jéj narzeczonym, gdy sprawy rodzinnego spadku powołały ją do Saxonii, gdzie postrzegłszy się ofiarą zręcznie usnutego oszustwa przez dom handlowy, na którego dobréj wierze spoczywał depozyt najważniejszéj części jéj mienia, ujrzała się zmuszoną błagać króla osobiście o sprawiedliwość.

Piękność powabnéj Szwedki była jednego z tych rzadkich rodzajów, w których nawyknienie dłuższego obcowania nietylko nieosłabia uroku piérwszych wrażeń, ale owszem ustala go i wzmaga, aż nim całego niewygasłym ogniem nieogarnia jestestwa. Każdy ruch jéj nadobnéj postawy, budził mimowolnie estetyczne pojęcie gracyi; białość płci uderzała w oko

jakby blaskiem bez skazy śniegów jéj zimnéj ojczyzny; na jéj licach kwitnął stale ów szkarłat, w którym na piérwsze spojrzenie, poznajemy pędzel czystéj natury, jaśniejący takiém życiem w porównaniu ze skrzepłością udanych kolorów, któremi wówczas moda barwiła twarze piękności. Jéj czarne oczy wydatne zdawały się płonąć blaskiem zatlonym u ogniska barw stokrotnych zorzy północnéj; a gdy się zwracały na przedmiot tkliwych jéj uczuć, tak karesującym, tak pieszczotliwym wkradały się do serca urokiem, że cała dusza nadziemskich rozkoszy w sferę, zdawała się unosić w swém opojeniu.

Do tych powabów zewnętrznych, łączyła dary najświetniejszego ukształcenia umysłowego i ujmujących talentów, a puszczając wodze żywéj swéj wyobraźni, lubiła zagłębiać się w tajemnicze badania astrologii i chiromancyi, i łatwowierną ufnością w prawdę dociekań świata nadprzyrodzonego, przyozdabiała się nowym urokiem nadzmysłowych uniesień.

Ale najsilniéj uderzającym rysem téj świetnéj indiwidualności, był duch romantyczny, pod wpływem którego, w jednéj chwili dziwacznego natchnienia, wszystko co jest podstawą towarzyskiego istnienia kobiéty, gotową zawsze była poświęcić, a śmiałém sercem przestępowała granice bojaźliwości płci swojéj właściwéj, wyrównywając lekkomyślną odwagą, najzuchwalszym męzkiéj śmiałości wyskokom. Fraszką było dla niéj ognistego dosiąść rumaka, ścigać na nim z wiatrem w zawo-

dy, a nawet, towarzysząc na łowy krolowi, wyprzedzić pędzącego na czele myśliwej czeredy Monarchę, i pierwszém uderzeniem oszczepu, rozjadłego ugodzić niedźwiedzia, chociaż ten zawsze legł potém pod ciosem silnej ręki Augusta, troskliwie czuwającego nad bezpieczeństwem swojej kochanki.

Z takim to blaskiem powabów ukazała się Hrabina de Königsmark królowi, którego serce w pierwszém spojrzeniu najżywszym zatliło się ku niej płomieniem, i już odtąd pozyskaniu jéj uczuć wzajemnych, wszystkie poświęcił zwodniczej swéj sztuki usiłowania.

Niezdołało oprzéć się słabe serce hrabiny ujmującym powabom Monarchy, a pierwsze doznane wrażenie, stało się grobem szczęścia zacnego Gillenstirna. Niezdolna poświęcić rozkoszy uczuć znikomych, stałości wiary zaprzysiężonej, rychło uwięzła w sidłach zwodniczych: a idąc za popędem niebacznej namiętności, wyrzekła się kraju, przedmiotu swéj pieszczonéj tkliwości, sławy dotąd czystej i nieskażonej, i w szczérości, bez żadnej maski obłudy, zamieszkała przy królu w jawnym charakterze jego uwielbianej faworyty.

Ale po kilku latach tego stanu rzeczy, spędzonych w uniesieniu namiętności, z zamkniętemi na przyszłość oczyma, nastała dolegliwa epoka przesytu niestałego i chciwego wrażeń nowości serca Augusta. Niemogła ujść ta zmiana uwagi trwożliwéj o stałość szczęścia tak drogo okupionego kobiety; ale król wolny jeszcze od nowéj namiętności popędu, w uczuciach delikatno-

ści i politowania, znajdował zawsze podnietę do usypiania niespokojnéj obawy kochanki; niemógł jednak utaić uderzającéj zmiany obejścia się, którą zawsze usprawiedliwiał kłopotami burzliwego zawodu, i wywiązującego się zeń codziennie szeregu licznych niepowodzeń.

Na kilka dni przed przybyciem do dworu Lubomirskiej, hrabina w boleści serca zranionego coraz wyraźniej objawiającą się obojętnością, niemogąc znieść dłużéj już oddawna powściąganych swych wrażeń, zbadać postanowiła stan serca kochanka, choćby to usiłowanie najsłodszych pozbawić miało ją złudzeń.

Kochająca namiętnie kobiéta, ani w ugruntowané obawie o szczęście całego życia, nietraci wrodzonego instynktu tej taktyki postępowania, która wprawia w drżenie ostatek uczuć uśpionych, przywiązując litością, więzami nawyknienia, słodyczą uprzedzającej powolności, gdy już wszystkie inne wygasły podniety. Jakoż, hrabina w długiém z królem sam na sam, wyczerpała całą siłę zwodniczéj swéj sztuki, a wśród pieszczot porywających, wśród wyskoków duszy spragnionéj, badała tajemnie stan wrażeń kochanka, z wolnym od wszelkiéj ułudy umysłem.

W podobném usposobieniu, niemogło ujść jej uwagi, że w obejściu się króla wśród tych zachwycających zabiegów serce już niemiało udziału. To bolesne odkrycie dało popęd do wylewu rozpaczy, którą zawód

szczęścia więcéj jak życiem opłaconego, trapił znękaną jej duszę, a przybierając postawę godności obrażonej w uczuciu swych przymiotów kobiéty, zawołała z uniesieniem:

— Niewysilaj się Panie na próżne oznaki miłości, która już niewłada twém sercem. Wiedz, żem niezdolna zaprzestać na ubogiéj daninie litości, która więzi nienawistnemi okowy twe serce. Rzeknij więc złowieszcze słowo, jeżeliś się jeszcze niewyzuł z uczuć przyjaźni i wdzięczności za tyle com poświęciła dla ciebie, bo łacniej przeniosę boleść pewności mojéj niedoli, jak ten stan pożerający bez przerwy odradzającéj się obawy i niepewności.

Wzdrygnął się król przerażony tym pierwszym wyskokiem obrażonéj miłości własnej swojéj kochanki, a odzyskując w jednej chwili przytomność, rzekł biorąc ją za rękę z ujmującym lecz melancholicznym uśmiechem.

— Także-to luba Aurora wywiązuje się z powołania osłody jéj drogą mi do zgonu miłością cierpień mego nieszczęsnego zawodu, której się tak szlachetnie podjęła. Niewątpię żeś te bolesne dla mnie słowa wyrzekła tylko w przystępie niebacznego humoru, a ta myśl goi ranę ich dotkliwego pocisku. To rzekłszy czule pocałował ją w czoło; potém dodał z wyrazem ucisku smętnego roztargnienia: — Czyliż się jeszcze

niewychylił do dna kielich goryczy burzliwego życia mojego, gdy najbliższa sercu mojemu istota jeszcze niepoznała ich trującej zgryzoty? O i kiedyż w błogim spocznę pokoju, a w tkliwości serca dla jedynego skarbu méj duszy, znajdę balsam gojący bolesne rany ciosów méj nieszczęsnéj doli na ziemi!

Tyle było prawdy w tych wyrazach, że hrabina stanęła w osłupieniu. Cóżby niedała za cofnięcie swych niebacznych wyrazów? Długi czas w oniemiałej była bezwładności.... gdy nagle twarz jéj niezwykłym zajaśniała entuzyazmem... Jakaż myśl błoga rozjaśnia jéj duszę! Czyliż tylko koić cierpienia króla pieszczotą i uściskami całym jéj ma być udziałem? Czyliż i ona niemoże poświęcić się jego sprawie? a gdy Opatrzność pobłogosławi jéj trudy, jakże błogą wtenczas w uszczęśliwieniu kochanka otrzyma nagrodę! Jest Szwedką, rodzina jéj liczy szereg przodków zasłużonych Monarchom téj krainy; niewątpi że przez nią kierowanym zabiegom powolniejszą się okaże niedostępna dotąd nienawiść Karola. W najgorszym razie, przyjacielem Monarchy jest Gillenstirna, ten kochał ją niegdyś; szlachetne serce jego zachowało pewnie czułe upłynionego szczęścia wspomnienia. Czyliż więc nieposiada więcéj środków usłużenia sprawie swego kochanka, jak ci wszyscy których starania pozostały bezskutecznemi. Z resztą, w swém uniesieniu nieważy trudności, niepodobieństwa nawet znikają przed zapałem jéj

duszy, i z gorączkową porywczością objawia królowi swe śmiałe zamiary.

Prawda jéj porywającéj wymowy trafia do przekonania Monarchy, który jéj stosowne udziela pełnomocnictwo, i tegoż dnia jeszcze zachwycona wysokiem swém powołaniem, z gotowością poświęcenia choćby samego życia, i odłożenia na stronę wszelkich uczuć skrupułów z godnością jéj płci skojarzonych, piękna hrabina odjeżdża do obozu Karola XII.

IV.

W zalegającej wzgórza panującej nad okolicą wsi, w któréj środku wznosiły się obszerniejsze folwarczne zabudowania, w odległości trzech mil od Kalisza, gdzie August z głównemi siłami wojsk swoich założył rezydencyą, obrał swe stanowisko Karol XII ze zjednoczonym około siebie korpusem wyborowym wojsk własnych i krajowych, i rozłożonemi po wsiach pobliskich w niewielkiéj przestrzeni oddziałami oderwanemi, które tworzyły łańcuch sił gotowych w każdej chwili do zjednoczenia się i wytrzymania napadu zbliżonego nieprzyjaciela.

Cała okolica odznaczała się tą militarną postawą jaką nadaje skupienie się w jeden obręb sił zbrojnych z gotowém do rozprawy usposobieniem. Żaden odgłos życia pokoju nieprzerywał nakazującéj harmonii, szczęku oręża i hałaśliwego gwaru ludności, żyjącej chwilą obecną, bez troski o jutro, którego słońce ostatnim może jéj życie ma oświecić promieniem.

Widocznie Karol XII miał zamiar doświadczyć w tych miejscach losu stanowczej rozprawy, bo gló-

wne swe stanowisko, w bezbronnéj lecz dogodnie obranej pozycyi, umocnił na prędce wykonanem połowem obwarowaniem, tak, iżby bezpiecznym punktem oparcia, miał zapewnioną wolność śmiałych poruszeń; a wszystkich dostępów obozu, broniły oszańcowane strzelnice, zostawując między sobą przestrzeń łacno mogącą być ostrzelaną ogniem krzyżowym.

Postawa wojska Karola nosiła na sobie te uderzające cechy jakie we wszystkich wiekach odznaczały zbrojne zastępy, którym przewodził duch przedsiebierczy wodza, co w wojnie tylko widział swój żywioł i przeznaczenie. Każdy żołnierz pod bronią, pod jarzmem obowiązku, był jakby kierowanym siłą mechaniczną automatem, który w obec nieprzyjaciela nabierał życia fanatycznego zapału, i ze ślepą w gwiazdę przodkującego mu do chwały bohatera ufnością, biegł do zwycięztwa lub śmierci. Lecz w chwili gdy złożył okowy służby swego skalistego zawodu, oddychał cały swobodą bez granic, ośmielaną nieograniczonem pobłażaniem tego, który zagarnąwszy całość życia jego na swe usługi, surowym był tylko w artykułach wojskowéj karności, umiejąc wyrozumiale zamykać oczy na najzuchwalsze wyskoki, jakiemi żołnierz jego słodził rzadkie swe chwile wytchnienia po znoju twardego życia.

Przenosimy się do głównego wnijścia obozu gdzie stał silny posterunek rajtaryi szwedzkiéj, z którego zmieniały się koleją rozstawione warty, i wysyłane dla czuwania nad bezpieczeństwem okolicy patrole.

W przestronnéj izbie karczmy natłoczonéj zbrojną ludnością, rozlegała się ogłuszająca wrzawa płochéj wesołości żołnierza rozrywającego się po tęsknocie nieruchomego w czasie warty czuwania, i nużących trudach dalekich wycieczek.

Tu na rozesłanéj słomie leżeli jedni, śpiewając silnym głosem lub gwarząc o przygodach swego czynnego zawodu. Tam inni, przy dźwięku melancholicznym północnéj melodyi wygrywanéj dzikiemi tony na szwedzkiej kobzie, którą nie jeden żołnierz obciążył swój szczupły ładunek dla przechowania w dalekich stronach swych wspomnień; wyskakiwali ochoczo nieraźnemi ale malowniczemi poruszeniami fantastyczne swe tany. Inni znowu probowali szczęścia w rzutach kości, których każdy wątpliwy wypadek wszczynał co chwila głośne zajścia i swary, a ogólna tych rozlicznych dźwięków harmonia, zrządzała gwar podobny do brzęku pszczół w ulu. W tém rozległa się wrzawa na dworze: na chwilę umilkły wszystkie głosy; potém cała gromada tłoczyć się ku drzwiom zaczęła.

Przed karczmą stał powóz otoczony żołnierstwem, a w nim siedziała uderzającéj piękności kobiéta, któréj lica rozpłomienione i oczy zaiskrzone od gniewu, oznaczały świéżo otrzymaną dotkliwą zniewagę. Tłum do powozu zbliżony wzrastał bezustannie, a każdy z przybywających popierał żądanie zuchwałych, aby przybyła dama wysiadła, i nim zostanie wpuszczoną w obręb obozu, uczyniła im zaszczyt nawiedzenia ich

służbowéj gospody. Wśród gwaru, śmiechów, niesfornych i natarczywych nalegań rozhukanego tłumu, dama pomimo zatrważające swe położenie, objawiała więcéj gniewu jak przestrachu i pomieszania; widocznie nie traciła przytomności, która ją jedynie z tak krytycznéj wybawić mogła przeprawy; bo rzekła głosem nakazującym i silnym:

— Oddalcie się od powozu mego, zuchwali, jeżeli chcecie uniknąć surowéj kary, jaka was nieominie za wyrządzoną mi u wnijścia do obozu waszego Monarchy zniewagę. Jestem Hrabina de Königsmark, udająca się do króla Jegomości Szwedzkiego z pełnomocnictwem Polskiego Monarchy. Donieście wnet o tém waszemu przełożonemu, abym tu dłużéj niebyła zatrzymywaną,

— Ha! ha! ha! głośnym wybuchnęła śmiechem rozzuchwalona czereda, a najśmielszy ze wszystkich, zdający się przywodzić innym, rzekł z komiczną postawą:

— Nieubliżamy godności dostojnego czepcem Ambasadora; ale uprzedzamy go, że nasz miłościwy wódz i Monarcha, ni szablą ni piórem nie lubi mieć do czynienia z kobiétą; z resztą to jego sprawa, a nasza, abyście z nami wnet wyskoczyli przy szwedzkiéj kobzie norwegskiego górala. Wszakże wam tego niewzbrania wasze pełnomocnictwo. Daléj, kamraty, przez szacunek dla nadobnéj nóżki Jaśnie Oświeconego Ambasadora, przenieśmy go na podłogę gospody, a ty, Szteinbachu, śpiesz nadąć miechy swéj kobzy.

To rzekłszy posunął się ku stopniom powozu z kilku najzuchwalszemi, wśród grubijańskiego śmiechu i głuszącéj wrzawy całéj czeredy; ale hrabina wyskakując nagle na ziemię, szybkiem jak błyskawica poruszeniem pobiegła ku miejscu, gdzie stały rzędami wsparte o ścianę karczmy muszkiety, a ująwszy jeden, wprawną ręką naciągnęła kurek, i przykładając do twarzy łożysko osady, rzekła nakazującym tonem silnéj determinacyi:

— Położę trupem pierwszego, który się ośmieli krok jeden ku mnie postąpić!

Śmiałość tego postępku, i niezwykła ręce kobiécej wprawa w władaniu bronią, silne na zuchwałej gromadzie wywarła wrażenie. W głębokiem milczeniu, z podziwieniem przypatrywali się pięknéj amazonce, nieśmiejąc żadnego uczynić poruszenia ku wykonaniu piérwszych swych zamysłów; ale po długiéj przerwie, rzekł nakoniec główny przywódzca:

— Brawo! tomito dziarski wyskok Jaśnie Wielmożnego Ambasadora, który, jak widać, i w rycerskiem ćwiczył się dzielnie rzemiośle; lecz cóż to bracia, przystoiż rajtarowi Karola brać nogi za pas dla tego, że mu lufą szwedzkiego muszkietu, grozi rozigrana dziewucha? Hurra! do szturmu! a gdy weźmiemy fortecę, użyjemy praw zwycięztwa i wojny!

Z jednogłośnem powtórzeniem tego okrzyku, sunęła ku Hrabinie gawiedź rozzuchwalona; ale nagle cofnęła kroku, i zatrzymała się w postawie uszanowania. Od

wnijścia obozu zbliżał się jakiś oficer, którego obwiedziony złotym galonem trójgraniasty kapelusz, i szyta srebrem gwiazda na piersi z wiszącym u spodu wizerunkiem miecza, znamienowały wysokie przy boku króla szwedzkiego znaczenie. Zdaleka postrzegł on scenę którąśmy opowiedzieli, a przyśpieszywszy kroku, zbliżył się do hrabiny i stanął jakby rażony piorunem. Ta również z swojéj strony najżywszego pomięszania objawiała oznaki. Upadł muszkiet z jéj ręki, i oniemiała w bezwładnéj pozostała postaci. Długi czas oboje słów znaleść niemogli pod przemocą swych wrażeń; nakoniec wykrzyknęli razem:

— Gillenstirna!

— Hrabina de Königsmark!

Piérwszy, zdobył nakoniec chwilę przytomności, która mu dozwoliła owładnąć burzą swych uczuć, a obracając się ku stojącym w nieporuszonéj postawie rajtarom, skinął ręką z niecierpliwością, i ci skwapliwie odeszli do swéj gospody. Potém, rzucił wzrokiem na swą dawną kochankę, któréj niewierność zatruła pokój jego duszy niszcząc cały urok życia otwiérającego się pod wróżbą szczęsnéj i pogodnéj przyszłości. To spojrzenie tak gorzkim, tak wymównym odznaczyło się wyrzutem, że hrabina uczuła ciężar jego w najskrytszych sumienia swéj duszy tajnikach. Po jéj twarzy rozlał się wyraz melancholicznéj boleści, a oczy zbroczyły się łzami, na widok których Gillenstirna zdawał się odradzać w nadziejach lepszéj przyszłości.

Hrabina wzajemnie uczuła w swém sercu drżenie długo spoczywającej strony młodocianych swych wrażeń, które tliły zawsze słabą iskierką pod płomieniem namiętności obecnéj. Teraz, politowanie, rozświetlenie się obrazu przeszłości cichego lecz rzewnego szczęścia godnéj i prawéj miłości, obudziły ją z uśpienia przenosząc jéj duszę tkliwemi utęsknionem wspomnieniem w te chwile błogiego spokoju.

Ta jednak milcząca rozmowa nie mogła trwać długo. Dowiedział się Gillenstirna o powodach jej przybycia, i rozprysły się wnet jego złudzenia. Poznał, że jéj namiętność była jeszcze w epoce poświęceń, którym jéj dusza pełna entuzyazmu nadawała dążność górującą nad sferą cichego przeznaczenia kobiéty. Ocenił zaraz trudności, niepodobieństwa śmiałego jéj przedsiewzięcia, i usiłował skłonić ją do cofnięcia kroku, wprzód nimby jakiekolwiek przedsięwzięła działanie; ale postrzegłszy, że nic nie zdoła przełamać jéj niezgiętego uporu, w szlachetności swych uczuć znalazł dość silną pobudkę do podania ręki usiłowaniom usłużenia jego podwójnemu nieprzyjacielowi; rzekł więc po chwili namysłu:

— Dobrze, niech i tak będzie; przekonam cię hrabino, że nieszczęsna miłość moja wywyższa mnie nad wszystkie słabości człowieka. Z szczérém sercem służyć będę twoim zamiarom, jakkolwiek ich przedmiotem jest nieubłagany wróg całego mego jestestwa. Lecz idąc zaraz do rzeczy, dowiedz się, że

choćbyśmy zdołali pokonywać same nawet niepodobieństwa, niepotrafimy wyjednać od razu dla ciebie audyencyi u mego Monarchy, którego dążenia i plany téj wojny znane ci są zapewne. Pierwszą więc trudnością jest obmyślenie bezpiecznego, a nadewszystko przyzwoitego mieszkania w naszym obozie, gdzie nieznają zgoła dla płci twojéj należnego szacunku, jak tego świeże otrzymałaś dowody; wątpię nawet czyli jest podobieństwem, abyś w obrębie jego mogła pobyt swój jawnie przedłużyć. Jeżeli więc w tak dziwnem położeniu jakie sama dla siebie obierasz, jesteś zdolną pogardzić pozorami do obmowy dającemi podnietę, w czystości mych zamiarów i uczuć, ofiaruję ci na schronienie własną moją kwaterę, do której cię skrytemi zaprowadzę drogami, i gdzie twój pobyt w tajemnicy zachować potrafię. Czy zezwalasz na powierzenie się przyjacielowi dzieciństwa?

— Z całą wdzięcznością do jakiej serce moje jest zdolne. Gdybym twoje mieć mogła w podejrzeniu zamiary, niebyłoby już dla ufności przedmiotu na ziemi.

— Ale wymagam ufności bez żadnych granic; zbyt rychło poznasz kierujące mną w tym razie pobudki. Musisz więc odprawić zaraz swych ludzi, i sama, wyłącznie sama powierzyć się mojéj przyjaźni.

Hrabina nierzekłszy ani słowa zbliżyła się do powozu, i dała swym ludziom rozkaz odjechania; przywołała wprzód jednak noszącego barwę jéj domu hajduka,

i długi czas do ucha jakieś skryte dawała mu polecenia; potém podała rękę swemu przyjacielowi, i ukryli się w lasku wijącą się między drzewami drożyną.

Przejdźmy tym czasem do środka obozu, a wszczególności do mieszkania Karola XII.

Przed domem obszerniejszym cokolwiek od innych chałup poziomych, w środku wsi napełnionéj mnóstwem rozpiętych namiotów i zbrojnemi tłumami, stał żołnierz ponurego oblicza, z muszkietem na ramieniu, jak głaz nieruchomy i niemy. Zalegał on całym sobą otwarte drzwi domu, a ile razy szedł kto do króla, zmierzył go badawczém spojrzeniem, i krokiem jednym odsuwał się na bok, gdy poznał osobę stały dostęp do mieszkania Monarchy mającą.

Z surowością jego postawy, uderzającą wystawiała sprzeczność swoboda i niehamowana bynajmniéj bliskością króla wolność znalezienia się kilkunastu téj saméj barwy żołniérzy, zajmujących pierwszą izbę albo raczéj sień domu, w którym przebywał Karol XII. Głośne rozmowy, brzęk uzbrojenia śmiałych i niebacznych na cichość poruszeń, kiedy niekiedy przedzierająca się przez te dźwięki posępna melodya nuconéj głosem chrapliwym piosnki, tworzyły gwar nieustanny, który wzmagał się czasem aż do wrzawy głuszącej, zawsze jednak niezwłocznie pohamowanéj wyrazem: ciszej! silnie w przyległej wyrzeczonym komnacie.

Za tą sienią była izba niewielka, mająca przeznaczenie pokoju ustępowego, i zaraz potém sypialnia stano-

wiąca razem jadalnią i gabinet króla. Sprzęt téj komnaty odznaczał się niebaczną na żadne wygody życia prostotą. Składane łoże żelazne, potrząśnięte sianem i przykryte skórą niedźwiedzą; kilka stołków uplecionych ze słomy; stół duży okrągły zarzucony papierami w nieładzie, a w tej chwili przykryty wielką kartą jeograficzną, i stojące przy oknie bióro wysokie, na którém uderzała w oko tak rażącym wśród tego ubóstwa przepychem księga najwspanialszéj oprawy, obejmująca Illiadę w oryginale, którą król z nowym zawsze w wolnych swych chwilach odczytywał zapałem.

Przytém to biórze stał Karol XII. Twarz jego i postawa uderzały wielkością i znaczeniem. Błąd włosy w nieładzie; czoło wypukłe; oczy niebieskie wystające i duże, których stałość i ogień zdawały się aż do gruntu duszy człowieka na którego się zwracały, przenikać; nos wydatny, a całość oblicza odznaczająca się tą zwierciadlaną wyrazistością, gdzie się odbijał w właściwych sobie kolorach najmniejszy odcień wzruszenia, gdzie jednak jakby za tło obrazu, służył zawsze wyraz energii i nieugiętej stałości.

Król miał na sobie obszerny frak granatowy o wielkich miedzianych guzikach; spodnie łosie; sięgające wyżéj kolan ogromne bóty ze skóry palonej, zbrojne w duże brzęczące ostrogi, i przy boku długi rapir prosty w pochwie żelaznej, którego nawet nieodpasywał u siebie. W tej chwili stał przy swém biórze i pisał z wielkiém zajęciem; kiedy niekiedy wstrzymywał to

działanie, i zadawał pytania stojącemu przy sobie człowiekowi w prostej wieśniaczéj sukmanie, którego jednak mowa odmienny niż oznaczała ta powierzchowność stan, cechowała wyraźnie. Król zapytywał go z oczyma wlepionemi w swój papier; lecz gdy ten odpowiadał, obracał głowę i przenikliwe w twarzy jego topił spojrzenie, jakby w nałogu badania z rysów oblicza szczérości słyszanych wyrazów. Czasem także zbliżał się do stołu, schylał się ku rozwiniętej karcie, badał starannie zarysy jeograficznych położeń; potém, utkwiwszy w miejscach upatrzonych kilka kolorowych szpilek, umieszczonych w leżącem na stole pudełku, powracał znowu do swéj piérwszéj czynności.

Zdawało się nakoniec ze zatrudnienie to do pożądanego doprowadził wypadku; bo potarłszy ręce z miną zadowolenia, uchylił wieko bióra, wziął worek pełen złota, rzucił go na stół z brzękiem, i dając znać skinieniem stojącemu przed sobą człowiekowi iż to przeznaczył dla niego, silnym głosem zawołał na jednego z żołnierzy zajmujących sień domu, a gdy ten stawił się, dał mu rozkaz odprowadzenia ku posterunkom przedniéj straży generała Sztejnbocka.

Znalazłszy się samym, wziął znowu papier i odczytywał go starannie, biorąc niekiedy pióro dla uczynienia w nim poprawek lub uzupełnień; ale po chwili przerwał to zajęcie szelest drzwi lekko otwierających się. Król obrócił głowę, a postrzegłszy wchodzącego Gillenstirna, rzekł doń głosem ożywionym:

— Zbliż się tu, Gillenstirna; mamy nakoniec rzeźwą w tęsknocie naszéj nieruchomości rozrywkę. Sprzymierzeni, wnosząc ze spokojnéj naszéj postawy, że lew zaległ swą jaskinię uśpiony bezwładnym letargiem, spuszczają nań ze sfor swe ogary; ale dziarsko pokażemy im zęby. Żart jednak na stronę; oto odbieram w téj chwili z dobrego i znanego mi źródła wiadomości, że wszystkie różnorodne połączyli swe siły, dla wydania nam bitwy stanowczéj, i w tym celu urządzają na Prośnie przeprawę pod Stawem, właśnie tam gdziebym się tego najmniej spodziewał. Znęceni brodami zwężonego w tych miejscach rzeki koryta, i bliskością dróg prostych do naszych stanowisk, zapuszczają się nierozważnie w kręte wąwozy, gdzie ich łacno w widły kaudyńskie zdołamy pochwycić. Niebaczni! nieprzypuszczają, abyśmy im tam mieli śmiałość drogę zastąpić. Czas, miejsce, siły, porządek przeprawy, wszystko znaném mi jest z niemylną pewnością. Nietraćmy więc czasu, i żywo do dzieła: zręczność podobna nie łacno się po raz drugi nastręczy. Rzuć okiem na tę kartę dla zrozumienia wytkniętych przezemnie stanowisk; potém, weź to pismo i ze zwykłą zobie śmiałością zajmij się rozesłaniem stosownych rozkazów, aby wszystko w szyku właściwym gotowém było do marszu na pierwsze skinienie.

To rzekłszy, podał mu papier zapisany przez siebie, i Gillenstirna zatopił się w badaniu myśli wodza na karcie. Król tymczasem żywym przechadzał się kro-

kiem, a zaiskrzony wzrok jego, malował uniesienia duszy, uradowanej pewnością bliskiej już chwili krwawéj i uporczywéj rosprawy.

Po kilku chwilach milczenia z obustron, zbliżył się król ku swemu towarzyszowi, a uderzony odbijającém się na twarzy jego wzruszeniem i niepokojem, na co dotąd w swém roztargnieniu niezwrócił uwagi, stanął i przebiegając rysy jego oblicza badawczém spojrzeniem, rzekł z ujmującą troskliwością:

— Cóżci to, Gillenstirna? Zdajesz się pożeranym jakąś niespokojnością?

— Zgadujesz, Najjaśniejszy Panie, odpowie ten niepewnym i wahającym głosem, bo mam do przedstawienia prośbę Waszej Królewskiej Mości, i drżę abym jéj przedmiotem nienaraził téj przychylności bez granic, którą mnie Wasza Królewska Mość zaszczycasz, a która już się niejako wcieliła w żywioły mego jestestwa.

Niepodobna opisać wyrazu dobrotliwości i tkliwego zajęcia, jaki się nagle odznaczył w całéj postawie króla. Znikły w jednéj chwili zarysy téj surowéj i nieugiętéj stałości, panujące zawsze pod zmiennemi jak barwy kameleona odcieniami tego wymownego oblicza. Postąpił skwapliwie ku swemu przyjacielowi, oparł rękę na jego ramieniu, i topiąc w twarzy jego wzrok ujmującego współczucia, czekał na wynurzenie się przyjaciela w milczeniu, jak gdyby czuł iż żadne słowa nie są zdolne wyrównać w oddaniu przyjaznych

20*

i ośmielających jego usposobień tym niemym oznakom.

Mimo to jednak z drżeniem głosu rzekł Gillenstirna:

— Oto król August przedstawia nowe propozycye do zgody, i w tym celu przybyła do obozu dama umocowana do działania, dla któréj podjąłem się wyjednać posłuchanie u Waszéj Królewskiéj Mości.

Król nagle odskoczył od swego przyjaciela. Znikły w jednéj chwili wszystkie oznaki życzliwego na twarzy jego usposobienia, a wyraz jéj odznaczył się jakąś dziwną 'pełną wzgardy i oburzenia przekorą. Żywym krokiem zaczął przechadzać się po izbie, mówiąc jakby do siebie:

— Nie wiem w co się obracam, prawdziwie, gdy mię do podobnéj mają śmiałość wyzywać komedyi. Mógłżem przewidywać w istocie, że z téj krainy niewyniosę nawet wspomnień chwały, nabytéj orężem w zawodzie godnych i męzkich zapasów? Czyżby temu pstréj barwy władcy poruczono przywodzenie saméj wyłącznie kądzieli? Dobrze mu z tém, bez wątpienia, gdy strojny w błyszczące histryonów szaty, w czczych igraszkach i płochych zalotach utopił żywot przeznaczenia męzkiego. Ale trzebaż aby mnie tak złowieszcza świeciła tu gwiazda, iżbym był zmuszony nie rózgą, lecz nieskalanym orężem uprzątać z méj drogi rozzuchwalone niewiasty? Gorzkim to na zawsze w rocznikach mojéj chwały pozostanie ustę-

pem, że omal stanowczej nieodniosłem klęski od téj tak zwanej wojewodziny Działyńskiej. A gdy przedsiebiorą traktować ze mną o pokój, jakby na wzgardę, poruczają jej to dzieło stanu kobiecie. W istocie, niewiem, czy mi się śmiać czy srożyć na to przystoi... Jakże się nazywa ten poseł tak dziwnego rodzaju?

Zdawało się że Gillenstirna postradał ostatek przytomności i czucia. Na twarzy jego malowała się niespokojność, rozpacz, i jakby chciał co prędzej wychylić do dna kielich goryczy, odrzekł skwapliwie;

— Hrabina de Königsmark!

— Co! zawołał król z rozpłomienionem od oburzenia obliczem; a to przechodzi wszelkie granice jakie nawet bezprzykładna zuchwałość niewieściéj swawoli tak obszerne dla płci tej zostawia tu pole. Jako, ta dziś nieszczęsnem Niebios zrządzeniem wyłączna dziedziczka jednéj z najdostojniejszych rodzin mego królestwa, którą hołdownicze przewileje i prawa nierozerwanym węzłem wiążą do méj osoby i tronu, nietylko zrywa wskazany dla siebie przez jej Monarchę zawód, ale nadto kojarzy się z jego nieprzyjaciółmi, i śmie stawać przed nim w charakterze ajenta obcego władcy, z którym kraj jej jest w wojnie! To jawna i gorsząca zdrada, która przykładnego wymaga skarcenia.... Każ ją, Gillenstirna, przytrzymać natychmiast, i wyprawić pod eskortą moich drabantów do Sztokholmu, gdzie rada stanu ma wyrzec niezwłocznie o jéj losie.

Zdawało się że w tych wyrazach król przeszedł miarę rozdrażnienia i złego humoru, bo ochłonąwszy po chwili, spojrzał uważnie na twarz swego towarzysza, który stał jakby ugodzony ciosem śmiertelnym. Na widok tego tak wymównego cierpienia, złagodziła się zaraz surowość gniewnego oblicza króla. Chociaż Karol XII od lat nieledwie dziecinnych zatopiony w sprawach stanu, i zahartowany doświadczeniem wszystkich kolei zawodu wojowniczego,uśpione miał w sobie uczucia tkliwego na widok cierpień człowieka usposobienia, nawyknienie jednak ku towarzyszowi młodości i szczéra skłonność dla jedynego którego kochał prawdziwie przyjaciela, dowodziły, że twarde to serce niebyło zupełnie ogołoconem z wrodzonego do uczuć towarzyskich popędu. Z troskliwą i nieledwie czułą wyrozumiałością, pojął stan serca przyjaciela, i rzekł nie bez widocznej jednak walki z sobą samym i oznak wyraźnych jak wiele go kosztowała ofiara pobudek, które spowodowały wyrok wydany przed chwilą.

— Czyliż nigdy nieowładniesz słabością serca swego dla téj niewdzięcznej kobiety? Pomyśl, Gillenstirna, jak niegodnym jest ciebie ten nieszczęsny upor stałości dla któréj przedmiotu powinienbyś czuć tylko odrazę i wzgardę.... Ale mniejsza oto; chociaż wiem, że łaskawość w tym razie jest błędem nieodpuszczonym, uczynię to dla ciebie że jéj territorium moje pozwolę opuścić... Spiesz jéj jednak objawić niezwłocznie, że jeżeli w ciągu pół godziny znalezioną zostanie

w obrębach mego obozu, już jéj żadna tego świata potęga niezasłoni przed surowością prawa i skutkami sprawiedliwego gniewu mojego... Idź i niech się skończy jak najrychléj ta komedya, z któréj śmiać się niemożna, a gniewać się, w istocie, niewarto.... lecz słuchaj: — Niewiem i wiedzieć niechcę jaką mi tam chcą zaprzątać głowę negocyacyą. Wszakżem już dawno zagrodził jéj drogę mojém ultimatum. Jeżeli jednak przysyłają mi nakoniec akt formalnego zrzeczenia się korony na głowę Leszczyńskiego, którego naród nieprzymuszoną elekcyą osadził na swoim tronie, a którego ja za prawego tego kraju uznałem Monarchę, przyjmę ją choćby z rąk kobiéty, choćby od wiarołomnéj lenniczki. W żadnym wszakże razie nieprzedłużam czasu bezkarnego téj kobiéty pod bokiem moim pobytu: pół godziny — powtarzam stanowczo.

Gillenstirna, znający niecofnioną stałość wyroków króla, z gorączkowym pośpiechem opuścił jego mieszkanie, i pobiegł uwiadomić o nich hrabinę, a razem czuwać aby bez zwłoki oddaliła się z obozu. Ale ta w swym uporze i żądzy odrodzenia się na nowo w oziębionem sercu kochanka ważnością swojéj zasługi, nadewszystko zaś w stanie exaltacyi swéj duszy, pragnąca dowieść cierpieniem, choćby nawet śmiercią zapału i stałości swych uczuć, oparła się czułym naleganiom dawnego przyjaciela, utrzymując iż jéj niezraża pierwsza trudność i niebezpieczeństwo powziętego zamiaru, i że nieoddali się inaczej jak chyba na rusztowanie

wanie, lub do gabinetu króla dla przedstawienia mu poruczonego sobie zlecenia.

Gillenstirna ukląkł, wziął jej rękę i rzekł z czułem naleganiem:

— Oddal się, błagam cię o to. Auroro, posłuchaj wiernego ci do zgonu przyjaciela, i jeżeli cię własne niezatrważa niebezpieczeństwo, uczyń tę ofiarę dla pokoju mego serca, które tak bolesne strawiły cierpienia. Nie łudź się żadną nadzieją pomyślniejszéj dla twych zamiarów koléj. Wola króla jest jedna i niewzruszona jak skała nawet pod całą najgroźniejszych doświadczeń losu natarczywością. Ale wiém że na próżno o twoje błagam cię dobro: ja własną swą tylko powierzam szlachetności twych uczuć spokojność. Ulituj się i zapłać mi teraz to com wycierpiał przez ciebie.

Słowa te wyrzeczone z całą prawdą najtkliwszego uczucia odbiły się w sercu hrabiny silném wzruszeniem, ale mimo to niezachwiały wytrwałości niebacznego jéj przedsiewzięcia. Nie mając już odwagi walczyć uporem z naleganiami szlachetnego przyjaciela, użyła wpływu swych wdzięków dla podejścia czułéj jego niespokojności. Rzuciła nań tak tkliwém, tak zachwycającém spojrzeniem, że ten odżył w jednéj chwili dla szczęścia, które dotąd było tylko czczych jego marzeń przedmiotem.

W uniesieniu radości utonęła wszelka pamięć na położenie obecne, i jak przedtém radby widzieć

w mgnieniu oka oddaloną od siebie swą dawną kochankę, tak teraz pragnąłby uwiecznić tę chwilę błogą i może zbyt rychło niepowrotnie zgasnąć mającą. Hrabina wzmagała bez przerwy swćj zalotności zabiegi, i rychło owładnęła całą jego duszę, którćj wszystkie rany z wyrachowaném okrucieństwém rozjątrzyła na nowo. W rozkoszném upojeniu jak błyskawica uleciała cała godzina, nim zdołał ujęty w sidła zwodnicze, odzyskać przytomność i pamięć. Lecz gdy postrzegł niecofnioną już stratę czasu,oniemiał jakby wbezwładném odrętwieniu, i po długiej przerwie zawołał w rozpaczy', która zaraz potém zmieniła się w silnéj woli postanowienie.

— Cóżem uczynił, niebaczny! Mamże teraz twém życiem opłacić chwilę szczęścia, którą mnie udarowałaś?... Nie; odtąd żyję na nowo, i tak żyć pragnę lub umrzéć!... Wiem jak błądzę zawodząc ufną i szlachetną przyjaźń króla... Ale niewaham się zgoła... Pójdź, Auroro; ukryję cię w mojém mieszkaniu, aż nim zdołam upatrzyć chwilę do zabezpieczenia twojej ucieczki, a potem błąd mój okupię śmiercią na polu chwały za sprawę mego Monarchy. Spieszmy co żywo, bo przygotowania do nadchodzącej wyprawy, zajmą wkrótce wszystkie me chwile, i może w nocnych ciemnościach zdołam cię wyprowadzić z obozu.

To rzekłszy, ukrył ją w ubocznym alkierzyku domu w którym mieszkał, usiłując z przezorną troskliwością utaić ślad jéj pobytu; poczém, z podwojoną stanem

gorączkowego rozdrażnienia swego czynnością, zatrudnił się rozkazami króla.

W krótce ruch niezwykły opanował całe mieszkanie. Gillenstirna dyktował i expedyował rozkazy, udzielał instrukcye stawającym osobiście dowódzcom bliżéj rozlokowanych oddziałów różnéj broni; do oddalonych wyprawiał gońców; nakoniec dokonawszy całego dzieła, już w noc późną poszedł z rapportami do króla.

Po ruchu i gwarze głucha nastąpiła spokojność, a te wszystkie poprzedzające oznaki nieuszły uwagi ukrytéj w bliskości hrabiny. Gillenstirna napomknął jéj nierozważnie o bliskiej wyprawie, on jest pierwszym wykonawcą rozkazów króla, a ta czynność i wrzawa świadczą o rzetelności jego wyrazów. Dziwném więc zrządzeniem jest ukrytą w kancellaryi sztabu nieprzyjaciół swego kochanka, właśnie wtenczas gdy się ci do stanowczej z nim zabierają rozprawy. Jakże piękna sposobność wyświadczenia mu znakomitej przysługi, może nawet wybawienia go od klęski ostateczną zagrażającej mu zgubą!

Te uwagi i myśli tłoczące się z natarczywością obudziły w niéj owego ducha wyexaltowanego zapału, przed którym wzrok się zamyka na niebezpieczne następstwa, i wszelkie znikają przeszkody. Przedłuża się cicha samotność: ta chwila jest jedyną i niepowrotną. Teraz lub nigdy!..... Opuszcza skwapliwie swą kryjówkę, i wchodzi do pracowni dawnego

kochanka. Stół duży na środku izby zarzucony jest papierami. Hrabina czyta je jeden po drugim: są to wszystko bruliony wyprawionych rozkazów. Zapał jéj wzrasta, bo poznaje z ich osnowy, że fałszywe położenie wojsk sprzymierzonych znane jest nieprzyjacielowi, i że z całém wysileniem powziął zamiar z niego korzystać. W tém postrzega pismo szczególnych zarysów. W zwięzłych lecz jasnych i dobitnych okresach obejmuje ono rys najdokładniejszy wyprawy. Jest to plan własnoręczny króla... Porywa go z uniesieniem radości, kryje za gors, i wraca niepostrzeżona do swéj komnaty. Serce jéj bije gwałtownie: jego instynkt ostrzega ją że broczy po ścieszkach krwią przesiękłych: jéj wzrok zamroczony szałem ślepego zapału, widzi zewsząd roztaczającą się w fantazmagoryczném złudzeniu łonę złowieszczéj jaskrawéj barwy; ale moc przeczucia, czystego nawet rozsądku przezorność, zaślepia obłęd rozbujałéj namiętności.

W tém lekko zastukano do okna; hrabina otwiera je z gorączkowym zapędem, topi na chwilę wzrok w ciemnościach, i poznanéj ręce powierza pismo straszliwe. Zamyka potém okno, idzie ku środkowi alkierza błędnym, chwiejącym się krokiem, i pada na ziemię zemdlona.

We dwa dni po wypadkach tu przywiedzionych, stanęły na przeciw sobie oba wojska do boju. Wspomnionej już tyle razy bitwy pod Stawem, dokładniejsze nakoniec podać nam wypada zarysy. Uprzedzamy

jednak czytelnika, iż niepisząc historyi, dotkniemy takich tylko tego ważnego faktu ustępów, które z rzeczą nas obchodzącą w bezpośrednim są związku.

Po nad Prosną, na której rzucono most w odległości półtory mili od Stawu, rozciągała się długa przestrzeń górzystych zarośli, między któremi wiło się kilka dróżek wyprowadzających na rozległą płaszczyznę. W parowy te zapuszczały się oddziały wojsk sprzymierzonych, w miarę jak przebywały rzekę, i przedzierając się przez nie z mozołem, rozwijały się na płaszczyznie. Trudność szybkich w podobném położeniu obrotów, kolejne i powolne łączenie się, a nadewszystko utrudzony odwrót i z rezerwami komunikacya, na niebezpieczne przy śmiałem z przodu natarciu całe wojsko wystawiały koleje. Ale chociaż od dwóch godzin przeszło odbywała się przeprawa, i już błonia obszerne zalegały szeregi, nieprzyjaciel nieukazywał się zgoła, i sprzymierzeni bez przeszkody rozwijali swe szyki; bo Karol XII, uprzedzony zawczasu o nierozsądnych zamysłach nieprzyjaciela, w zamiarze wzięcia go we dwa ognie, nieprzeszkadzał wystąpieniu całych sił jego, aby jednym pociskiem stanowczą i niepowetowaną zadać mu klęskę.

W tym celu wojsko szwedzkie podzielone zostało na dwie kolumny: jedna, pod wodzą samego króla, stała już pod zasłoną lasu w gotowości zajęcia pozycyj z boków nieprzyjaciela. Druga, dowodzona przez Jenerała Mardefelda, wystąpić miała z obozu, i tak swój

pochód urządzić, aby stanąć na placu w ciągu rozprawy, i uderzeniem z tyłów, dokonać zguby nieprzyjaciela. Wprawdzie, każda z tych części, zbyt szczupłą była w porównaniu z massami sprzymierzonych; ale niemylną zrządzić musiała przewagę jedność i wspólność szczęśliwie pomyślanego działania, którego rezultat zdawał się niewątpliwym.

Zaczęły nakoniec debuszować z lasów szwedzkie kolumny, i rozpoczęły wnet ogień ze zwykłą sobie natarczywością. Sprzymierzeni odpowiedzieli nań z zapałem, i wkrótce wrzała bitwa na całej linii.

W tej chwili stanowczej rzućmy znowu spojrzeniem na króla szwedzkiego: Był on na czele swych rezerw, na dzielnym i rosłym ale z równą jak cała powierzchowność jezdzca prostotą przybranym rumaku. Widzimy go wtém samem ubraniu w jakiém go po raz pierwszy zobaczył czytelnik, z tą tylko różnicą, iż teraz stan jego obwodził szeroki pas ze skóry bawoléj, w którym tkwiły dwa pistolety, i miał na głowie mały o wystających trzech rogach bez żadnych ozdób kapelusz. Z licznego sztabu który go zrazu otaczał, dwóch zaledwie zostało przy nim oficerów, tak mnogie na wszystkie strony do działających swych kolumn rozsyłał rozkazy. Już przeszło od godziny korpus jego wytrzymywał całą natarczywość trzykroć liczniejszego nieprzyjaciela, a jeszcze niewidać było Mardefelda kolumny. Król w najżywszém zniecierpliwieniu, już rozkazywał dwóm szwadronom swych muszkieterów

uderzyć z obu stron na flanki nieprzyjaciela, dla przebicia się w którémkolwiek z tych miejsc przez słabsze jego kolumny, i dotarcia do opóźniającego się korpusu, gdy nagle, w odległości pół mili, jakby oddalone echo bliższéj wojennéj wrzawy, potoczysta i silnie żywiona rozległa się kanonada.

Piérwszy jéj odgłos objawił prawdę oku najmniéj doświadczonemu. Plany króla wydane zostały nieprzyjacielowi, który żadnych niemógł mieć innych pobudek do poprzedzenia przeprawy czoła swych szyków, tajemném przerzuceniem, w dole rzeki, oderwanego korpusu, jak tylko zamiar zniweczenia dobrze sobie wiadomych zamysłów wodza szwedzkiego.

Król zawołał wznosząc rękę z pięścią ściśniętą do góry w groźnéj i zapalczywéj postawie:

— Mnież to śmie dosięgać zdrada nikczemna!... Przysięgam na popioły naddziadów, że wynajdę zdrajcę choćby w wnętrznościach ziemi, i pozazdrości on w moich rękach losu najnędzniejszéj na tym świecie istoty!

Ale ten wybuch gniewu rychło pohamowany został uwagą na niebezpieczeństwo położenia wojsk jego. Wpadł on sam w sidła, które zastawił na nieprzyjaciół. Ci, w swobodnych i żadną niepowściąganych obawą poruszeniach, otwarte mieli pole do wszystkich działań i wysilań. Wojska szwedzkie, zamknięte w szczupłym obrębie, przyparte do lasów, nękane przemocą liczby, zdawały się na nieuchronną skazanemi zagładę.

Ale takie to właśnie okoliczności są probierczym kamieniem hartu duszy i umysłowej dzielności. Gdzie wygórowana nawet moc zwyczajnych usposobień, zdobywa się tylko na odwagę rezygnacyi, tam duch niezwykły wznosi się nad przemoc okoliczności, pasuje się z niedolą, i ani na dnie przepaści nietraci bodźca ufnéj w swą działalność otuchy. Karol XII liczne téj wielkości ducha przekazał potomności przykłady. W chwili którą opisujemy, zdawał się wywyższać nad siebie. Dowcip obrotów, podejście, rozpaczna śmiałość, maskowanie słabości postawą nakazującą, zręczne utajenie istotnego dążenia, najmniéj przewidywane pomysły, jakby w improwizacyi natchnionego poety, hojnie odznaczyły ten pamiętny w rocznikach sztuki wojennéj wypadek.

Tyle usiłowań uwieńczył nakoniec skutek oczekiwany. Po długim boju nieprzyjaciel zjednoczył czoło sił swoich dla odparcia fałszywych attaków kolumny jenerała Horna, który zręcznie pokierowanym odwrotem, splątał szyki jego spychając je na ściśnione pozycye, gdzie już przewaga miejsca i liczby mniéj niebezpieczną się stała. Była to przewidziana chwila przez króla do uratowania podziesiątkowanych jego szeregów, i odtąd nie jak wódz naczelny, lecz jak oficer wiodący do attaku jazdę, sam do boju wystąpił. Pierzchnęła wnet zagradzająca mu jeszcze odwrót do oszańcowanego obozu kolumna nieprzyjaciela: ale siły jego, nawet w téj chwili rozdwojenia, zbyt jeszcze prze-

magały liczbą szwedzkie szeregi. Złamane szyki wiązały się znowu przecinając kolumny w odwrocie; ale król uderzał wstecz i naprzód bez końca, aż nim całe wojsko, pod zasłoną cofającéj się przed czołem nieprzyjaciela kolumny Horna, porządnego niewykonało odwrotu, zostawując za sobą zwikłane i pomieszane sprzymierzonych zastępy.

Wkrótce potém uderzono na korpus attakujący Mardefelda kolumnę, i ocalone reszty znalazły się na gruncie protegowanym przez szańce obozu szwedzkiego. Ten jednak tryumf genjuszu wojowniczego Karola, nie zasłaniał mu oczu na fatalne skutki tego dnia nieszczęsnego. Była to klęska prawdziwa. Zaczepną i groźną na obronną i niepewną zamienić musiał pozycyą, i czuł jak wiele pokonać mu trzeba było trudności nimby swą pierwotną mógł odzyskać postawę.

Przez cały czas niebezpieczeństw króla, Gillenstirna walczył przy jego boku ze ślepą zapalczywością. Na widok skutków zdrady jeszcze ciemną okrytej zasłoną, duszę jego okropne pożerały przeczucia. Ta dusza czystą była jak kropla porannéj rosy; lecz mógłże śmiało spojrzeć w oczy Monarsze, wytrzymać jego badawczy rzut oka, wpoić weń wiarę w swą niewinność, gdy w obłędzie fatalnéj namiętności, stał się nieposłusznym jego rozkazom, i przechował w obozie istotę, która niepodzielała panujących tam uczuć prawości i poświęcenia? Śmierć jedyną dlań się stała ucieczką. Gillenstirna gonił za nią zapamiętale. Król dwakroć

własną ręką ocalił mu życie: Zgromił go nakoniec surowo za zbyt niebaczne i bezużyteczne narażanie się, rozkazując stanowczo aby od jego boku do dalszych poleceń nie odstępował na chwilę.—Tak więc ocalony powrócił do obozu.

W mieszkaniu jego dotąd przebywała hrabina de Königsmark. Przy podwojonéj czujności wobozie przed nadchodzącą bitwą, nienastręczyła się żadna sposobność ułatwienia jéj ucieczki. Teraz, gdy klęska odniesiona zdawała się widoczném zdrady następstwem, ten stan rzeczy największém groził niebezpieczeństwém. Hrabina, ochłonąwszy z paroxyzmu swych uczuć szalonych, przez cały ten czas dręczoną była przeczuciem następstw swego nierozważnego postępku i najsroższemi wyrzutami sumienia. Niespokojności jéj jednak sam tylko był Gillenstirna przedmiotem. Ona zatruła mu pokój, szczęście całego życia, zdradzając świętość wiary zaprzysiężonéj; wspaniałomyślna jego szlachetność przebaczyła, wyexkuzowała występek jéj serca, podała jéj nawet dłoń usłużną w chwili gdy w niebacznym szale tak dotykalny składała dowód ślepéj dla przedmiotu jéj wiarołomstwa miłości. To wszystko niezłagodziło jéj okrucieństwa: rozmyślnie odświeżyła rany jego serca już może bliznami okryte, a przechodząc miarę nieludzkiéj przewrotności, zdradziecko przykrytą kwiatem pod nogami wykopała mu przepaść!

W takiém to usposobieniu była hrabina, gdy zaraz po bitwie pod Stawem odwiedził ją Gillenstirna. Na widok jego, uczuła jakby zagłębiające się w sercu zimne ostrze sztyletu. Na wybladłem jego obliczu przebijał się płonący ogniem gorączkowym rumieniec. Oczy obłąkane, czoło zimnym oblane potem, włosy w nieładzie, odzież okryta kurzem i zbryzgana krwią świeżą.

Hrabina wpatrywała się weń z przerażeniem; nakoniec przemówił do niej Gillenstirna drżącym i przerywanym głosem:

— Cóżeś uczyniła, okrutna kobiéto!... Czyliż chciałaś niewiarę twą oznaczyć jeszcze krwią i sromotą twojéj ofiary?... Ale co mówię, nieszczęśliwy!... Gdzież są dowody jéj występku? Mamże ją obwiniać na czczych przeczuciach znękanéj méj duszy?... Ach! przebacz mi, przebacz, Auroro! Ty niepojmujesz co cierpię; serce twe innym oddane uczuciom, niema instynktu na boleść méj duszy... Poznaj moję niedolę: Podła i nikczemna wykonała się zdrada. Jéj skutki dosięgły klęską mojego Monarchę, który mnie zaszczycał szlachetną przyjaźnią. Ohydny zdrajca kryje się w ciemnościach, a ja noszę na czole jego znamie sromotne; bo sumienie moje nie jest bez skazy, bo niemam prawa spojrzeć śmiało mu w oczy, bom pogwałcił świętość mych obowiązków zawodząc jego ufność bez granic i niemogę uczynić mu szczérego wyznania mojej słabości, bez ściągnienia na twoję głowę strasznych

pocisków jego gniewu sprawiedliwego. Ach! i czemuż srogie przeznaczenie odmówiło mi śmierci na polu chwały!... Patrz, Auroro, on własną ręką dwakroć dziś ocalił mi życie, nikczemne życie węża którego na swém łonie ogrzewał. I kiedyż pęknie mi serce!... czyliżby boleść tak sroga niebyła zabójczą?... Ulituj się nademną, Auroro, pozwól mi spocząć na twojém łonie, uczuć bicie twego serca przy mojém, chociaż niém inne poruszają uczucia; niech z piersi twej spłynie balsam ukojenia na rany méj duszy!...

Zdawało się że hrabina, dręczona wyrzutami sumienia skona pod ciosem okrutnych następstw swego szalonego postępku. W pierwszéj chwili, już była gotową upaść do nóg przyjaciela, i wyznawszy swą winę, pośpieszyć do króla dla odebrania kary, która ją tylko mogła słusznie dosięgnąć; lecz gdy Gillenstirna zapragnął na jéj łonie złożyć brzemie swych cierpień, rzuciła się w objęcia jego z zapałem, i osypując pieszczotami nieszczęśliwego, usiłowała ukoić jego cierpienia wszystkiém na co tylko mógł się zdobyć instynkt tkliwéj i znającéj władzę swych wdzięków kobiéty.

Gillenstirna w jéj uściskach zdawał się odradzać dla szczęścia. Z obłędu rospaczy przeszedł w obłęd zachwycenia; pełnemi usta poił się nektarem chwili obecnéj, topiąc w niéj gorycz okrutnego położenia swojego, i jak jętka co igra radośnie na złotym południowego słońca promieniu, niepomna że ożywcze

zrzódło jego zgaśnie z zachodem, i początek ciemności będzie zgonem tak błogiego jéj w tej chwili jestestwa, przeżył dni kilka w odurzeniu i niepamięci na wszystkie przeciwności swéj doli.

Przez te dni kilka żadnéj niebyło wzmianki o wypadkach upłynionych. Cała czynność Karola i wojsk jego wywierała się wyłącznie na wzmocnienie środków obrony przeciw oczekiwanemu w każdéj chwili uderzeniu na obóz nieprzyjaciela, któremu odniesione zwycięztwo zdawało się nieodzownie wskazywać tę drogę. Lecz gdy ten, po kilku demonstracyach bez celu, cofnął się z całemi siłami za Prosnę, wróciła do obozu spokojność, i zaraz król nakazał najsurowszą inkwizycyą, dla wyśledzenia jeszcze głęboko okrytéj tajemnicą zdrady, o któréj jednak nikt niewątpil w całym obozie.

Wtym celu ustanowiony został oddzielny trybunał, którego kierunek poruczył Karol XII Mardefeldowi, znając jego surowość, i niezachwianą w pełnieniu swych obowiązków sprężystość.

Pierwszym krokiem Mardefelda było nakazanie najściślejszej w całym obozie rewizyi. Król pochwalił ten środek, i oszczędzając honor swych oficerów, rozkazał zacząć ją od własnego mieszkania. Nadeszła więc chwila przesilenia, i Gillenstirna pośpieszył do siebie, aby przedsiewziąć wszystko co można dla ocalenia hrabiny. Ale ta chwila właśnie była najmniej sposobną do ułatwienia jéj ucieczki. Wszystkie wnijścia obozu

silnie były strzeżone, a wewnętrznéj przestrzeni jego strzegły podwojone warty i liczne patrole. Gillenstirna naradzał się z hrabiną nad środkami jéj wybawienia z obmyśloną zawczasu rozwagą i flegmą, bo drżał aby pod wrażeniem grożącego jemu samemu niebezpieczeństwa, nieupierała się pozostać w obozie. Już on sam los swój roztrzygnął stanowczo; niemogąc przeżyć obciążających go przed trybunałem własnego sumienia zarzutów, powziął rozpaczną myśl oskarzenia siebie samego, i poniesienia choćby kary śmierci, na którą sam się sądził zasługującym; zwlekał tylko wykonanie tego postanowienia, aż nimby wszystkich niewyczerpał środków ocalenia swéj przyjaciółki.

Nagle natchęła go myśl szczęśliwa: Hrabina od dzieciństwa ćwiczyła się w władaniu bronią, i lubiła ogniste dosiadywać rumaki. Przyodziać ją w swe ubranie, uzbroić, dać szybkiego i wytrzymałego rumaka, a warty, szanując znamiona wyższego oficera, niebędą jéj śmiały zatrzymać, i może zdoła opuścić territorium wojska szwedzkiego, wprzód nim podstęp zostanie odkryty.

Hrabina myśl tę przyjmuje z zapałem. Ten pomysł rycerski ma dla niej urok niezwyciężony. W jednéj chwili wykonało się przeobrażenie: Hrabina ostatniém uściśnieniem żegna szlachetnego przyjaciela, i dosiadłszy konia, szybkim biegiem puszcza się ku blokhauzom głównego wnijścia obozu.

Tam, liczny poczet zbrojnych zagradza jéj drogę. Hrabina roztropnie hamuje konia; ale pomimo jéj powierzchowność, surowość wydanych rozkazów, niedozwala wypuścić nikogo z obozu bez usprawiedliwienia się wyższém zleceniem. Jest to chwila stanowcza, którą przebyć tylko można przytomną i zuchwałą śmiałością. Hrabina zażywa konia ostrogą, nieprzewidzianym skokiem obala dwóch zagradzających jéj drogę drabantów, i znika jak strzała w oddaleniu. W biegu słyszy za sobą kilka wystrzałów, i świst kul z których żadna jéj niedosięga, ale ta okoliczność wzmaga w niéj uczucie potrzeby wytężenia całych sił konia, bo niewątpi że pogoń za nią bez zwłoki czasu wyprawioną zostanie. Jak wiatr ubiega odległość jednej mili, oddzielającą obóz szwedzki od mostu rzuconego przez sprzymierzonych na Prośnie, a przebywszy rzekę, już jest pewną ocalenia swojego.

Z upłynioną chwilą niebezpieczeństwa, hrabina zagłębia się w przeszłość. Jéj wypadki tak dziwne, tak mnogie, zdumiewają ją; przenosi potém myśl swą do serca: tu znajduje tę otchłań wrzących namiętności, które ją tyle już kosztowały, i tyle będą może kosztować. Stan jego bada starannie: jest to nierozwikłany labirynt. Odświeżone dawne wrażenia, walczą z namiętnością w całej swéj sile. Czyliżby miłość jednego serca była zdolną między dwa podzielić się przedmioty? Wtém roztargnieniu, wtém zagłębianiu się w swe uczucia, przebywa niepostrzegając się całą przestrzeń

swéj drogi, i poznaje bliskie już okolice Kalisza. Serce jéj bije gwałtownie, bo za chwilę ma otrzymać nagrodę doznanych wstrząśnień i traicznych skutków swego szalonego poświęcenia się.

Słońce zniża się ku zachodowi; po znoju dnia skwarnego, całe przyrodzenie zdaje się oddychać pełną piersią rzeźwem i balsamiczném powietrzem. Ziemia jakby wyzwolona z okowów, zdaje się rozpuszczać pod ożywczą chłodu świeżością, i z powierzchni jéj na nizinach, wznoszą się tumany mgły białawéj i przezroczystéj. Przeciągłym chórem świergocą w trawie polne koniki. Hrabina topi wzrok w jaskrawą tarczę słońca, która już oka nierazi swym blaskiem. Wzniesiona jéj wyobraźnia pod wpływem téj chwili rozkosznéj, przenosi ją w dziedzinę świata nadzmysłowego. Myśl jéj buja po nadziemskich przestworach; jéj dusza zaprzyjaźnia się z nadprzyrodzonemi istotami, dla których pomrok przyszłości jest światłem. Po chwili zniża oczy znużone ku ziemi, i dziwne postrzega w oddaleniu zjawisko. Drogę przebiegła jakaś postać potwornych, poziomych kształtów, i znikła w gęstwinie. Czyżby wzniesieniem myśli ku nadzmyslowym elementów mieszkańcom, króla gnomów wywołała na ziemię?... Hrabina zbliża się ku miejscu zjawiska, wstrzymuje konia, i topi wzrok zachwyconéj duszy tam gdzie znikła poczwara.

Wtém zdaleka dają się słyszeć jakieś tony chrapliwe, astmatyczne, przypominające krakanie sprośnej ropuchy, i hrabina z podziwieniem słyszy wyrazy następujące:

Gnę korne czoło przed potęgą złości,
To me bożyszcze, to urok, to życie,
Jej silne tchnienie dźwiga mię z nicości,
Ona w skrzepłej méj piersi budzi serca bicie.

Świat się poi rozkoszą wielbiąc czcze złudzenia;
Wielkość, chwała, wdzięk lica, to obłęd, to mara;
Kropla jadu jej żądła: fałsz się w prawdę zmienia
I zalega w zwaliska zwodna cnoty wiara.

Ludzie mię w gnuśne przyodziali szaty
By urągać niedoli wyrodnéj istoty;
Lecz czyż piękność, czy cnota ma berło nad światy,
Czy ten co pierś mą wzdyma zawiści duch złoty?

Ty więc co zamieszkujesz padoły podziemne,
Duchu złego, szatanie, wisznu, abderamie,
Jakiémkolwiek cię mianem chrzczą umysły ciemne.
Wyciśnij w sercu mojém swe wszechwładne znamie.

Natchnij mię swoim ogniem, daj swój oręż w rękę,
Łzy gorzkie, żółć zawiści, jad rozprzęgłych chuci,
A ja ci wzniosę ołtarz na śmiertelnych mękę,
I urok twéj potęgi na ziemi powróci.

Przeraża hrabinę ohydna téj piosnki osnowa. Ulatują jej złote złudzenia, i duszę jéj ogarnia jakaś melancholiczna tęsknota. Radaby co najprędzéj opuścić to miejsce; ale urok jakiś niezwyciężony więzi ją jakby żela-

znym łańcuchem. W tém zaszeleściły splecione gałęzie dzikich krzaków zarastających przy drodze, i ukazało się widocznie pierwéj w mgnieniu oka tylko dostrzeżone widziadło. Wzdryga się hrabina na widok jego rysów potwornych; lecz po chwili zastanowienia, poznaje karła króla Augusta, którego ukazaliśmy czytelnikowi w czasie konnej gonitwy w Kaliszu, a który wyszedł był za Lubomirskim, posłuszny jego skinieniu, gdy ten z rozpaczą w sercu na widok zalotów króla do jego małżonki zgromadzenie opuścił.

Przenikliwy wzrok karła poznaje hrabinę, choć ją przeistacza dziwny jej ubior. Wnet kurczą się w potworniejsze jeszcze kształty rysy szpetnego oblicza; oczy toną w wyprężonych muskułach czoła i twarzy; szeroko otwierają się usta, ukazując jakby ujście głębokiéj pieczary i złośliwy wyrodek sardonicznym wybucha śmiechem.

Śmiech ten nieobjawia bynajmniéj owego wzruszenia duszy niewinną tkniętéj wesołością, co w około siebie szerzy sympatyczne dobrego humoru uczucie. Jest to wybuch złośliwego sarkazmu, którego konwulsyjne drganie, zdające się urągowiskiem złego ducha nad zgubą człowieka, dotkliwém odbija się w sercu wrażeniem.

Wzburzyła się krew hrabiny w gniewném uniesieniu, i rzekła porywczo:

— Czyliż niepowściągniesz nakoniec tego sprośnego krakania, zuchwały choć niedołężny wyrodku?

Wiedz żem w téj chwili mniej jak kiedykolwiek usposobiona służyć za cel dla szatańskiej twej złości, i nie życzę ci kusić méj ręki do spłaszczenia potwornych twych garbów płaskiem mojego pałasza.

— Hola! hola! odrzeknie karzeł kryjąc się za gruby pień drzewa, a to jak widzę ten rycerski rynsztunek owionął cię, hrabino, burzliwym duchem Amadysów Orlandów, Tankredów, i źle wyszedłby ten, coby pod twą zbroją szukał tylko serca mężnéj Kloryndy, lub nawet zapalczywej Brengildy, co przy boku walecznego Roberta z Paryża miecz swój na saraceńskich karkach tępiła. Ale choćbyś ogień całéj konfraternii szalonych rycerzy krzyża przelała w swą duszę, i tak żadna jego iskierka na mnie niepowinnaby się roztlić. Wszakże tylko srogie tygrysy nieprzepuszczają przyjaźni i dobremu przymierzu... Mnie własne twoje sprawy w to miejsce przywiodły, sprawy twego serca, twéj duszy, twéj najsłodszéj w życiu nadziei....

— Ach! pewnie cię król Jegomość wysyła na me spotkanie z upominkiem jego pamięci, przerwie hrabina z zapałem. O poznaję w tém powabną wesołość jego słodkiego i uciesznego humoru! Jakżem szczęśliwa, że powrót mój wyprzedzają dowody pamięci jego serca, o któréj tak niebacznie wątpiłam! Spiesz, śpiesz co żywo z dopełnieniem twego zlecenia, oddaj co ci poruczono, bo widzisz, umieram z niecierpliwości!...

— Jesteś w błędzie, hrabino, odpowie karzeł jakby cedząc rozmyślnie słowo po słowie... Serce miłościwego króla już ostygło dla ciebie; już inne rozpaliły je ognie, a choć jesteś piękna między pięknemi, wiedz że słońca niegasisz blaskiem swych wdzięków, i że umie tworzyć cuda ręka wszechwładnej natury. Słowem, jak dzień jaśniejszy od nocy, tak piękniejsza od ciebie bogini w całym majestacie swych powabów przestąpiła progi królewskich podwoi, i już ich serca złote spoiły łańcuchy.

— Kłamiesz, niegodny oszczerco, zawoła hrabina w rozpacznej zapalczywości, i spinając konia, usiłuje stratować go pod jego nogami; karzeł łatwo unika ciosu chroniąc się za drzewem, i hrabina hamuje konia mówiąc: — Przysięgam, że jeżeli powezmę przekonanie o fałszu twej szkaradnej potwarzy, choćby cię łaskawość króla uwolniła od kary, ostrze własnego mego żelaza wynajdzie i dosięgnie wyrodne twe serce.

Słysząc te słowa, karzeł opuszcza swą kryjówkę, i idąc ku hrabinie z pewnością, rzecze:

— Jeżeli ci idzie tylko o prawdę, masz mnie, hrabino, a ta ufność jest jej pierwszym dowodem.

Ten śmiały krok wymówne rzetelności wyrazów karla składa świadectwo. — Hrabina wpatruje się weń jeszcze z niedowierzaniem: zdaje się, iż chciałaby odepchnąć od siebie oczywistość swojej niedoli; ale

zwycięża prawda, i wybucha rozpacz w sercu tłumiona.

— Niestety! więc niezwodziły mię srogie moje przeczucia, rzecze zalewając się łzami: Tak, wszystko potwierdza złowieszczy instynkt mej duszy... W cóż się obrócę, nieszczęśliwa! Gdzie złożę brzemię cierpień zawiedzionego serca!.... Na toż to zdradliwą przepaść wykopałam pod nogami najszlachetniejszego przyjaciela na świecie, aby go tylko zagrzebać w gruzach własnego upadku!..... Ale ty, posłanniku nieszczęścia, ty coś z okrutném urąganiem wzniósł duszę moję do szczytu błogich nadziei, aby ją tém boleśniej zranić jadem fatalnych twych wieści.....

— A zemsta, hrabino, zemsta! przerwał karzeł. — Czyliż usta twe są bez smaku na tę słodycz niebianów? czyliż serce twe głuchém będzie na głos uroczy téj nadziemskiej córy? Ja ci przynoszę pełną czarę tego nektaru; ja ci dam w rękę najstraszniejszy jéj oręż, którego pocisk zada ranę głęboką, bolesną, niezagojoną: I niemiałżem słuszności mienić się posłannikiem błogich dla serca twojego nadziei?

— Zemsta! prawda, masz słuszność; to jedyna ma teraz osłoda, to balsam na rany méj duszy!... Rychlej, podaj mi ten oręż; niech doświadczę jego ostrza w mych rękach.

Karzeł wyjął z swéj sukni list zwinięty starannie, i podał go hrabinie z wyrazem piekielnego na twarzy tryumfu.

Hrabina pożera go oczyma. — Drga papier w jej ręku od silnego wzruszenia w sercu, które przewrotny karzeł potrafił ogniem zemsty zapalić. Jest to list Augusta do Lubomirskiego znany czytelnikowi, w którym król z niebaczną ufnością wyjawia swe plany, i wskazuje jedyną a dotąd nieznaną Karolowi XII drogę do osiągnienia celu wszystkich jego zamiarów i dążeń. Hrabina pojęła zaraz jak fatalnem ten dokument w ręku nieprzyjaznem stać się może narzędziem. Przeraża ją na chwilę następstwo wydania tego ważnego aktu. Niemogła potargać od razu wszystkich więzów współczucia ku sprawie, dla której, przez miłość swą ku jej naczelnikowi, tak straszną niedawno uczyniła ofiarę. Czyliż wreście zawierzyć ma ślepo samemu słowu karła, którego przewrotne serce i pochopność do figlów równie śmiałych jak podstępnych i złośliwych znane jej są oddawna? Pragnie więc pewniejszych dowodów, i chowając list starannie na swém łonie, rzecze:

— Pojęłam cię; myśl podobną wyrodzić tylko mogło godne prawdziwie serca twojego natchnienie: ale mniejsza oto; żadna następność niepohamuje ciosu, choćby nawet tą drogą, sprawiedliwej mej zemsty, jeżeli niewiarę króla potwierdzą gruntowniejsze nad świadectwo fałszywych ust twoich dowody. Jeżeli więc masz sposobność przeświadczyć mię naocznie, śpiesz dopełnić co rychlej piekielnego dzieła twojego.

— Niewydaj tylko tajemnicy, hrabino, a dowody same ci się nastręczą: aby jednak usłużyć co rychléj natarczywości twej żądzy, mam nadzieję że cię dziś, w téj chwili jeszcze na dobrą drogę naprowadzić potrafię. Udaj się więc za mną, i bądź dobréj w sercu otuchy.

To rzekłszy, poszedł leniwym i ociężałym swym krokiem ku miastu, od którego o kilka tylko stai byli oddalonemi. Hrabina jedzie za nim, i wkrótce stawają u krużganków królewskiego pałacu. Tam hrabina daje się poznać odźwiernéj straży, wchodzi do środka zamku, i udaje się do swych apartamentów za poradą karła, który sam jeden wychodzi na zwiady.

Na widok miejsc w których wszystko oddycha wspomnieniem tak świeżych jeszcze chwil błogiego a już znikłego szczęścia, duszę hrabiny pożerająca ogarnia tęsknota. Przebiega żywo swe komnaty, wraca ku drzwiom z rozpaczą, i opierając o nie głowę, jakby w niecierpliwości oczekiwania na roztrzygnienie swych losów, sprawia ulgę bolejącemu sercu łez gorących potokiem. Wkrótce odbija się głucho po załomach korytarzy szelest ociężałych kroków wracającego karła. Wnet oschły oczy hrabiny; żądza zemsty znowu do jéj serca przemawia, i odważnie drzwi otwiera karłowi, który w nie lekko zapukał. Posłuszna jego skinieniu, idzie za nim w milczeniu aż do przeciwnego skrzydła pałacu: karzeł ukazuje jéj drzwi, i jak zły

duch po dopełnieniu piekielnego swego zlecenia, znika niepostrzeżony.

Hrabina drzwi otwiera z zapędem, wpada do komnaty nadobnej Lubomirskiego małżonki, i znajduje ją w objęciach króla właśnie w chwili, gdy pierwszy dowód jej miłości, otwierał mu drogę do nowych rozkoszy. Ale już widział tę scenę czytelnik, a dalszych niemamy zamiaru uprzedzać wypadków.

V.

W obozie wojsk szwedzkich panowało niezwykłe wzburzenie, bo wszystko co żyło, zdawało się przejętém wrażeniem podziwienia, żalu, i smutnego współczucia. Poszukiwania trybunału ustanowionego do zdjęcia czarnej zasłony, okrywającéj zdradę wprawdzie dotąd tylko domyślną, ale już wcieloną uczuciem jej istoty w niezachwiane każdego żołnierza przekonanie, zdradę, od której zgubnych skutków, zaledwie cała potęga geniuszu Karola ocalić wojsko zdołała, przybrały boleśnie zadziwiający charakter. Głośna i gwałtowna ucieczka hrabiny pod znakami oficera królewskich muszkieterów, całą na ten dziwny wypadek skierowała uwagę inkwizytorów. Pierwsze ich dochodzenia łacno wykazały, że ten mniemany oficer wyjechał z mieszkania Gillenstirna, i że tam widocznie przed swą ucieczką przebywał.

Przeraził się Jenerał Mardefeld, widząc się w konieczności przywołania przed swój trybunał oficera wyższego, którego szlachetność uczuć, niezachwiana

prawość charakteru, przykładne męztwo, nadewszystko zaś nieograniczona ufność króla złączona z otwartą i stałą dlań jego przyjaźnią, czyniły go przedmiotem powszechnego w całém wojsku szacunku i uwielbienia; a nieprzypuszczając aby zacne to imię mogło się wikłać do sprawy tak czarnej, tak sromotnej, postanowił osobistém porozumieniem się rozwiązać zawiłość faktów, aby mógł honor jego od wszelkiéj skazy ocalić.

Zawiesiwszy więc w tym względzie dalsze wywody, udał się sam do mieszkania Gillenstirna. Jakież było jego zadziwienie, gdy ten w zwięzłych i żadnéj dwóznacznej myśli niedopuszczających wyrazach, uznał się winnym, domagając się kary śmierci, na którą zasłużył, i którą ponieść jest gotów, oświadczając zarazem, iż gdy idzie tylko o wyśledzenie i ukaranie sprawców doznanej klęski, tém więc szczérem i prawdziwą skruchą zniewolonem wyznaniem, przecina drogę do dalszych dochodzeń, i żadnych szczegółowych objaśnień składać niewidzi potrzeby!

Pomimo wszelkie nalegania Mardefelda o cofnięcie tych nierozważnych wyrazów, Gillenstirna domagał się wystosowania przeciw sobie formalnego aktu oskarżenia i rozwiązania go tém jego szczérém wyznaniem, z którego żadnego odwołać niechciał wyrazu.

Zdziwi się bezwątpienia czytelnik nad tym postępkiem człowieka, który błąd lekki karze w sobie jak zbrodnię najcięższą, i niewaha się rzucać rozmyślnie

w przepaść mającą pochłonąć nietylko jego życie, ale nadto zacność nieskażonego imienia, i prawo do wspomnień politowania i szacunku. To zadziwienie sami z nim podzielamy; lecz czyż nieznamy przykładów ludzi tak wyexaltowanych zasad, takiego fanatyzmu cnoty, iż niemogąc przenieść najmniejszéj skazy moralnej, czynią się dobrowolnemi ofiarami drażliwości swego sumienia. Szereg upłynionych wypadków, zburzył całą harmonją moralną nieszczęśliwego Gillenstirna. Nikt gruntowniej nad niego niebył przeświadczonym o popełnieniu zdrady; przerażały go jej straszne następstwa, a gdziekolwiek obrócił spojrzenia badając, ktoby z przypuszczonych do tajemnicy planów królewskich zdolnym był do tak czarnego postępku, w gruncie serca uznać musiał niepodobieństwo, i puszczał wodze domysłom, iż ukrycie zapalonej dla sprawy swego kochanka hrabiny, tam właśnie gdzie się rozwijały te plany, tym lub owym sposobem ułatwić mogło wydanie ich nieprzyjacielowi; nieusiłował jednak zgłębić tajemnicy tego sposobu, bo widział zawsze w konkluzyi swego rozumowania, iż tylko siebie samego mógł słusznie o wszystkie obwinić następstwa.— Powziął więc niecofnioną wolę, spełnić aż do dna zastawioną mu przez fatalne przeznaczenie czarę goryczy.

Mardefeld z głęboką w sercu boleścią, musiał nakoniec formalne przeciw szanownemu dotąd koledze swemu rozwinąć postępowanie. Ale w inkwizycyi

czynił wszystko coby mogło wyjaśnieniem istoty rzeczy zrzucić zeń brzemi zarzutu, które go obciążyć tylko mogło zbiegiem równie fatalnych jak nieodgadnionych okoliczności. Te jednak usiłowania głębszą jeszcze i okropniejszą otworzyły mu przepaść. Badania jeńców z bitwy pod Stawem wykazały, iż w szeregach wojsk sprzymierzonych szerzyła się wieść, jakoby własnoręczne plany króla szwedzkiego były w ręku ich wodzów. Ta okoliczność zrodziła potrzebę jak najściślejszego sprawdzenia wszystkich aktów sztabu, tyczących się ostatniéj z nieprzyjacielem rozprawy, i przekonano się, że niepojętym i tajemniczym sposobem, zniknął własnoręczny rozkaz królewski.

Wiadomość ta przejęła Gillenstirna zgrozą i oburzeniem, bo już niemógł wątpić o przewrotnym hrabiny de Königsmark postępku; ale nie wydał na jaw swych uczuć, i przetrwał w wyznaniu swéj winy.

Tym sposobem podług form najściślejszych, istota czynu została ostatecznie stwierdzoną, i na mocy wyraźnego brzmienia królewskiego rozkazu, trybunał inkwizycyjny przeistoczył się na sąd wojennéj karności, który wydał wyrok śmierci na nieszczęśliwego Gillenstirna.

Drżącą ręką podpisał go Jenerał Mardefeld, a dopełniając dzieła okrutnéj swéj powinności, łudził się nadzieją, że król w sercu swém znajdzie pobudkę do odpuszczenia kary, którą prawo wskazało za winę

przyznaną, chociaż okrytą ciemną i nieprzejrzaną zasłoną.

Od czasu bitwy pod Stawem, Karol XII, pomimo nieustanne zajęcie wszystkich chwil swoich zrazu przygotowaniami do odporu nieprzyjaciela, gdyby ten, jak okoliczności kazały, chciał ze zwycięztwa swego korzystać, następnie expedyowaniem rozlicznych zleceń dla zkoncentrowania sił rozproszonych, i unieważnienia wrażeń swéj porażki na krajowych stronnictwach, wahających się zawsze za popędem okoliczności, ponurém i surowém odznaczał się humoru usposobieniem. Całą jego harmonią moralną burzyła myśl dolegliwa, iż go dosięgnąć śmiała usnuta pod bokiem jego zdrada pokątna i tajemnicza, a wyniosły jego charakter, chociaż znosił z wytrwałym hartem nieuchronnéj doli następstwa, okazywał się małym i drażliwym, gdy go zraniły pociski nikczemnéj i niegodnéj wielkiego ducha jego przeciwności.

Gdy więc stawił się przed nim Jenerał Mardefeld z rapportem o skutku dokonanych dochodzeń, i już, jak wiemy, z przygotowanym do sankcyi wyrokiem, król rzekł doń tonem rozdrażnienia i złego humoru:

— Zadziwiasz mnie, Jenerale, twą opieszałością w uiszczaniu się z tak ważnego jakie ci w szczególném zaufaniu poruczyłem zlecenia. W istocie, gdybyś jak ja każdą ze swych pulsacyi uważał za wiek w pożerającéj strawiony tęsknocie, gdyby serce twe biło uczuciem czystéj prawości, nieścierpiałbyś aby nikczemna

zdrada dotąd bezkarnie natrząsała się z fatalnych skutków piekielnéj swéj przewrotności, któremi dosięgnąć mię potrafiła. Niewątpię że po dwóch dniach brodzenia po ścieszkach czczych formalności, przynosisz mi suche jeremiady nad znojem czoła twojego, z konkluzyą poruczenia wymiaru kary wyrzutom sumienia zdrajcy, i ręce sprawiedliwéj opatrzności.

— Niestety! Najjaśniejszy Panie, wątpię czylibyś niewolał tę ostateczność nad prawdę okrutną, którą mi fatalny obowiązek przedstawić sprawiedliwości twéj nakazuje. Tu Mardefeld w zwięzłych wyrazach opowiedział fakta obwiniające i dobrowolne wyznanie Gillenstirna, co wszystko, w ścisłem wymaganiu prawa, istotę winy jego ostatecznie stwierdziło, i położył przed nim wyrok któremu brakło tylko jeszcze królewskiego podpisu.

Król zerwał się z siedzenia swojego jakby uderzony piorunem, zbliżył się ku Mardefeldowi, i rzekł głosem wklęsłym i głuchym:

— Cóżeś wyrzekł, nieszczęsny! On zdrajcą!... On! którego serce me wybrało z tłumu martwych narzędzi! którego wzniosły i szlachetny charakter przyjaźń mą wzmagał uwielbieniem i jednał ufność wiary braterskiéj!... To niepodobna!... Tyś w błędzie, Jenerarale; sumienie twe uwiodły czcze i błahe pozory.... Zawiść tylko piekielna mogła tak szkaradną potwarz wyrodzić...

— To właśnie głos serca mojego, Najjaśniejszy Panie, ale głos sumienia inny nakazuje mi obowiązek, z którego uiszczam się z najdotkliwszą boleścią, niewątpiąc że łaskawość W. K. M. najwłaściwsze znajdzie tu pole, i że ona ukoi żal, rozpacz, którą zemną dzieli całe twe wojsko.

— Nie ma tu miejsca dla łaskawości: Ona jest niepodobną! Ona mnie samego policzyłaby w poczet zdrajców, bo i ja mam obowiązki, a te są świętsze i nietykalniejsze od waszych. Gillenstirna niemógłby, niepowinienby przeżyć tak czarnego zarzutu, a jeżeli sprawiedliwość dosięga nikczemnego zbrodniarza, tém straszn ejszym ciosem uderzyć musi tego, który stokroć świętszą pogwałcił powinność. Ja chcę go widzieć nieskalanym, niewinnym, ja pragnę zgłębić tę tajemniczą przepaść, i zdaje mi się że ją w mglistych przeglądam tumanach. Wyexaltowana duszy jego szlachetność, za błąd lekki, za zrządzenie losu może niezależne od woli jego, bierze na siebie brzemie tak okropnego zarzutu..... Niewiem z resztą co myśleć i mówić.... Ale powinienbyś też, Jenerale, przejrzeć przez tę czarną chmurę, zanim dobrą sławę człowieka, którego ja przyjaźnią mą zaszczycałem, skalałeś uznaniem tak ohydnego występku.

— Ja wypełniłem również świętą powinność, a nieuczyniłem tego bez dowodów jakich tylko w najrozciąglejszém rozumieniu prawa wymagać było można. Czyn domaga się kary; własne wyznanie stawia wi-

nowajcę przed trybunałem sprawiedliwości, a tajemnicze zniknienie własnoręcznego pisma W. K. M., które jego straży było powierzone, może niezłamać wiary w szlachetny obwinionego charakter, ale nieodpartym dowodem krępuje sumienie sędziego.

Król miotany najgwałtowniejszém wzruszeniem, żywym przechadzał się krokiem, a niepokój jego duszy, odznaczał się w wyrazach myśli przerywanych, mówionych raczéj do siebie, jak do obecnego świadka.

— Tak, to prawda.... sumienie sędziego.... sumienie moje.... to wyższa nad skłonność serca powinność.... Mogęż los mego wojska, kraju, całej sprawy, ważyć na szali z życiem jednego człowieka? Miałżebym czyn prawnie udowodniony przepuścić bezkarnie, i pogrążyć się w przepaść zdradzieckich zamachów?.... Nie; trzeba dla wojska, dla świata, dla potomności, przykładu nieugiętej sprawiedliwości,... a dla zdrajców postrachu!....

Jeszcze czas niejaki król przechadzał się w milczeniu; zbliżył się potém nagle do stołu, wziął pióro do ręki, śpiesznie podpisał wyrok, i oddając go Mardefeldowi, który w zdumieniu postrzegł po raz pierwszy w życiu łzą zroszone jego powieki, żywém i nakazującém poruszeniem ręki ukazał na drzwi, dając do zrozumienia iż pragnął być samym.

Nazajutrz na błoniach przyległych obozowi, rozwinęły się szeregi wojska szwedzkiego, opasując kwadrat niemałej przestrzeni, na któréj złowieszcze jakieś

wykonywały się przygotowania. Straż trzymał w środku oddział królewskich drabantów, z którego kilkunastu szeregowych uwijało się tu i ówdzie, zajmując się czynnie przysposobieniem miejsca do krwawéj exekucyi.

Wszystko co z obowiązku, dla z ostrzenia bodźca przykładu zgromadzić się musiało na tę dramatyczną widownię, grobową ciszą, ponurym wyrazem oblicza, malowało żal głęboki i rozpacz przemagającą nad uczucie sprawiedliwości, która w dzielonem powszechnie mniemaniu, wyrodziła surowość wyroku w sprawie tak nieszczęśliwéj, tak ważnéj w swych fatalnych następstwach.

Po chwili jęk rozgłośny choć głuchy i przytłumiony rozległ się po szeregach, i ukazał się Gillenstirna idący pewnym krokiem ku fatalnemu miejscu, pod strażą dwóch małych oddziałów, z których jeden szedł za nim, a drugi na przodzie.

Spojrzenie jego było spokojne i pewne, czoło wypogodzone, a cały wyraz twarzy odznaczał się jakąś ciszą melancholiczną, wymownie świadczącą, iż w duszy jego głęboko wpojone było uczucie sprawiedliwości wyroku, który go dosięgał zasłużonym ciosem, i że w bliskiéj już śmierci upatrywał osłodę dla dojmującéj goryczy wyrzutów własnego sumienia. Ten charakter zewnętrznego wyrazu zachował przez całą swą ostatnią w życiu przechadzkę, a przyszedłszy na miejsce, stanął, okrążył czułém spojrzeniem opasujące plac

exekucyi szeregi, ujmującém skinieniem ręki pożegnał współbraci oręża, i skrzyżowawszy ręce na piersiach, spokojnie oczekiwał chwili dokonania ostatecznych już przygotowań.

W tém rozległ się po szeregach szelest głuchy i niespokojny: kobiéta jakaś z wyrazem rozpaczy, z gorączkową natarczywością, pasowała się z broniącemi jéj przystępu do środka przestrzeni żołnierzami. Tyle było uporu, wytrwałości, zapału w jéj rozpacznych usiłowaniach, że uwiadomiono o tém Jenerała Mardefelda, który miał dowództwo wojska zgromadzonego na exekucyą, a który pośpieszył zaraz na miejsce wrzawy zrządzonéj.

Po kilku minutach rozmowy z przybyłą damą, Mardefeld, drżącym głosem dał rozkaz zawieszenia exekucyi, i ofiarując damie swą rękę, z całą na jaką tylko mógł się zdobyć szybkością, udał się z nią razem do króla.

Zdawało się że pośpiech ten naglony był przedmiotem największéj wagi, i że każda chwila zwłoki fatalném i niepowetowaném groziła następstwém, bo Mardefeld odepchnął silnie żołnierza trzymającego straż drzwi królewskich, i wpadł nagle do komnaty, gdzie król przebywał sam jeden, rozkazawszy wprzód, aby samotności jego nieprzerywano pod żadnym pozorem.

Karol XII siedział przy stole wsparty na obu rękach, w których krył czoło i oczy. Na odgłos drzwi

nagle otwierających się, obrócił się z żywością, a postrzegłszy przybyłych, powstał, szybkim krokiem przybliżył się do damy nieznanej, utopił w niej swe przenikliwe spojrzenie, i zawołał głosem straszliwym:

— De Königsmark! Czyliż już przeznaczeniem mojém, aby mię zewsząd oblegały zdradzieckie oblicza? Precz z oczu moich, i niech ją zaraz osadzą pod strażą do dalszych wyroków!

— Nieprzybyłam tu, Najjaśniejszy Panie, odpowie hrabina głosem pewnym i śmiałym, uniewinniać czynów nieszczęsnéj mojéj przeszłości, do których mię obłąkane me serce przywiodło; niemam również zamiaru błagać cię o litość i złagodzenie surowości praw twoich; ale przynoszę pod miecz sprawiedliwy W. K. M. głowę występną, dla okupienia niewinnéj. — Tu hrabina opowiedziała głosem zawsze niezachwianym, ale często przerywanym łkaniem, wszystkie szczegóły znane czytelnikowi wykradzenia planu bitwy, i wydania go królowi Augustowi.

Im bardziej wyjaśniało się tajemnicze pasmo téj fatalnéj intrygi, im w czystszém świetle stawała niewinność Gillenstirna, tém wyraźniej ustępowały oznaki gniewu i złego humoru z królewskiego oblicza, które nakoniec rozpogodziło się czystą i niewymuszoną radością. Inna rzecz przeniewierstwo kobiety ślepą obłąkanej namiętnością, a inna znowu zdrada człowieka wyniesionego ufnością i zasługami do wysokich godności, a nadewszystko zaszczyconego osobistą przyjaźnią mo-

narchy. Po chwili w której król zdawał się poić słodyczą odzyskanéj w serce ludzkie ufności, rzekł nagle do Mardefelda:

— Stawić tu natychmiast obwinionego.

Po wyjściu Jenerała, król wlepił wzrok badawczy w hrabinę, która rzekła z mniejszą już jak przedtém śmiałością:

— Chociaż wiem, że niewczesną skruchą niezdołam wynagrodzić mych błędów, i niekuszę się o zmiękczenie serca W. K. M., pragnęłabym jednak oznaczyć przysługą spóźniony mój powrót do obowiązku, i odzyskać przed zgonem prawo do szacunku mojego Monarchy, którego dotąd tak haniebnie zdradzałam. — Traf zrządził, iż posiadłam akt tyczący się obecnych spraw tego kraju, i ośmielam się go przedstawić do uznania W. K. M.

To mówiąc, wyjęła z za gorsu list króla Augusta do Lubomirskiego, który dostała z rąk karła, i podała go królowi z uszanowaniem.

Król zbliżył się do okna i zaczął go czytać z zajęciem. Dwakroć głośnym wybuchnął śmiechem, co niepowinno dziwić czytelnika, gdy przypomni sobie kilka uwłaczających Karolowi XII tego listu wyrażeń. Gdy skończył, objawił zaraz oznaki silnego wrażenia i głębokiego zajęcia umysłowego. W milczeniu przechadzał się po komnacie, niezważając bynajmniéj na obecność hrabiny; potém, jak gdyby w głębokości swych myśli najpomyślniejsze wyrozumował koleje,

zbliżył się do hrabiny z wypogodzonym na twarzy wyrazem, i miał coś do niéj przemówić; ale myśl gotową przerwało przybycie Gillenstirna, do którego rzekł zaraz głosem silnym i pewnym:

— Gillenstirna, chociaż przyjmując na siebie występek którego niepopełniłeś, uwiodłeś okrutnie prawo i sprawiedliwość twojego Monarchy, chętnie ci jednak odpuszczam tę winę, ciesząc się, że upadły stokroć ważniejsze zarzuty, których brzemię miało cię za chwilę przywalić.

Gillenstirna przyklęknął, i rzekł w téj postawie uszanowania i hołdu:

— Najjaśniejszy Panie, serce me pragnie odpuszczenia w sercu W. K. M., którego zmiana obarczyłaby mię żalem dozgonnym, iż mię zawiodła śmierć, która mi przed chwilą groziła.

— Serce moje nieobwiniało cię nigdy. — To rzekłszy zbliżył się król ku niemu, i czule uścisnął mu rękę; ale Gillenstirna pozostał na kolanach, i błagającém spojrzeniem zwrócił na hrabinę uwagę króla, który rzekł doń z uśmiechem:

— Jestże ona zawsze potrzebną dla twojego szczęścia? — To rzekłszy wlepił weń badawcze, ale zawsze rozchmurzone i wesołym oznaczone wyrazem spojrzenie, a po długiéj przerwie, dodał:

— Dobrze, niech nic niezaciemnia pogody dnia dzisiejszego: — Przebaczam ci, hrabino; ale chcę abyś wiedziała, żeś to winna tylko przysłudze dla mnie i dla

kraju, która ważnością swą wyrównywa wielkości twych przewinień. Spodziewam się wreście, że stałością charakteru i serca, wynagrodzisz twą płochą i nierozważną przeszłość, i powierzam ci szczęście mojego przyjaciela. — Gillenstirna, chcę abyś dziś jeszcze zdał twe obowiązki Mardefeldowi, i mianuję cię ministrem dworu mojego; masz więc udać się niezwłocznie dla objęcia tych obowiązków do méj stolicy.

Gillenstirna rzekł doń ze smutkiem i czułym wyrzutem:

— Oddalasz mię od siebie, Najjaśniejszy Panie, — od zaszczytu dzielenia zawodu twych trudów, niebezpieczeństw i chwały.

— To jest nieodzowna konieczność, odpowiedział król stale; ale bądź dobréj myśli: ten zawód już jest na schyłku, a dzięki tobie, hrabino, mogę ci dać bardzo niedalekie do zobaczenia.

Przywiodłszy do rozwiązania akcyą naszéj powieści, niemogliśmy w jéj zakresach rozwiązać również akcyi epoki, która jéj za tło posłużyła, a odsyłając ciekawość czytelnika do źródeł, w których prawda historyczna nie może już podlegać zarzutowi skażenia jéj zmyśle-

niem ubogiej wyobraźni autora, nie od rzeczy znajdujemy w krótkim kilku wierszy przelocie, napomknąć o dalszych wypadkach dotkniętego przez nas peryodu ze słynnego w dziejach naszych drugiego najazdu szwedzkiego.

Karol XII, zostawując w kraju silnie już wspieranego Stanisława Leszczyńskiego, wtargnął z całemi siłami do Saxonii. Król August, widząc się zagrożonym tam, gdzie, jak się w swym liście wyraził, sercowa jego życia politycznego biła arterya, wyprawił zaraz z Kalisza pełnomocników z gotowym do wszelkich ustąpień swym własnoręcznym blankietem, i zawarty został głośny w dziejach traktat pod imieniem *Altransztadzkiego,* od wsi tegoż nazwiska, którym na głowę Leszczyńskiego zrzekł się korony Polskiéj na wieki, i wszelkie inne jakie tylko Karolowi XII podobało się mu narzucić, przyjął warunki. Odtąd niekusił się już nigdy o odzyskanie berła, które wziął znowu do rąk wtenczas dopiero, gdy król Szwedzki został pod Pułtawą pobity, i gdy Stany Rzeczypospolitéj *sua sponte* opuszczoną na powrót ofiarowały mu koronę.

PRZEZNACZENIE.

Kwiaty, rozkosz i miłość duszą obejmować,
Żyć na łonie natury z obliczem pogodném....
W piersi tęsknéj do sławy, podłości niechować,
Kochać ludzi przyjaźnią i z duchem swobodnym,
Biedz naprzeciw piękności, uśmiéchem ją witać,
Przy niéj życie przemarzyć jak jedno wspomnienie...
I w sercu jéj najdroższą wzajemność wyczytać—
Oto zawód młodości! słodkie przeznaczenie!

Być własnym skorpionem — samotności szukać,
Na pustynie uciekać, i śmierci przyzywać—
Do wrót szczęścia daremnie z cierpieniami pukać...
I w łonie życia zaród zniszczenia ukrywać!
I z piętnem potępienia wyrytem na czole
Straszyć bliźnich od siebie jadem grzechotnika...
I urągać cierpieniom, i przeklinać bole...
Oto jest przeznaczenie gorzkie śmiertelnika!

Tam go miłość przyzywa — tu nań przyjaźń woła;
Jedna wabi uśmiéchem, druga słów urokiem...
U piérwszéj kwitną róże i pogoda czoła,
Drugiéj słowo trucizny napuszczone sokiem!
Piérwsza jako bogini śmiertelnego życia
Roni kwiaty pamiątek w różanéj kolei...
Druga cisnąc do serca kwiat bliski rozwicia,
Usypia go na łonie trosków i nadziei....

On lodem dla miłości — głazem dla przyjaźni;
Ucieka od bogini, od wzroku potęgi...
I odpycha tę rękę co mu serce drażni,
I natrząsa się z uczuć, niewierzy w przysięgi...
Jak sam żył — tak samotny koniec go nie minie,
Bo gdy na grób innego dłoń ludzka kwiat ciśnie...
Jedna tylko mogiła w samotnéj dolinie
Na któréj kwiat niezejdzie — słońce nie zabłyśnie!

Marcelli Głuski.

OBRAZY TOWARZYSTWA WARSZAWSKIEGO

Z ROKU **1808**,

w dwóch wówczas pisanych listach przechowane.

Rzucona myśl przez szanowną autorkę *Karoliny*, przy ogłoszeniu niby jej *notatek* zimę w Warszawie roku 1805 opisujących, jest mi powodem do wydania dwóch poniżej zamieszczonych listów. O tym jakoby dzienniku wyraża się w zbytniej skromności autorka: „Lubo po większej części są drobiazgowe i zbyt kobiece, zdało mi się nie odrzeczy przepisać je tu dosłównie. Zawierają bowiem niektóre szczegóły o ówczesnej Warszawie, o znanych osobach, które im nadają barwę jakby pamiętników. Takich pism mamy tak mało, że ogłaszać wypada, choć mierne i niedokładne.“ (II, 167—168).

W ustępie tym znamienitej wartości dzieła, zamieszczone opisy pełne są ciekawości, zajmujące szczegółami, zachwycające niezrównanym urokiem wystawienia, jak całe dzieło niepotrzebują pochwały. Wszakże ulegają one pewnemu w zdaniu osób współczesnych zarzutowi, dla niektórych w opisanych zdarzeniach niezgodności. Bo też nie jest to autentyczne opowia-

danie, tylko później daleko, lubo nader zręcznie ułożona powieść. Prawdziwe współczesne opisy, mniej mogą być powabnie wydane, mniéj w ciekawe szczegóły trafnie z sobą złączone obfite; lecz jako prawdziwe, zasłużą zawsze na większą uwagę, istotniejszą będą miały wartość. Jak wyszukiwać one miłem jest zatrudnieniem, tak skoro tylko w jakim względzie ciekawszej są treści, pomijać ich ogłoszenia nie należy. Czas w postępie swoim wszystko chłonie, wszystko przeinacza: nie tak dawno ubiegłe chwile, mało już mają świadków żyjących, i dla nich niesąż one tylko jakby snu jakiego przypomnieniem? Dla powszechności weszły w dziedzinę historyi, któréj się uczyć przychodzi. Jeżeli więc natrafimy na żywy jaki czasów tych opis, zatrzymajmy go choć drobiazgowy, choć mniéj dokładny: niechaj nam przechowa uchodzącą przeszłość, któréj szczegóły wkrótce uszłyby niedopatrzone niknąc w następstwie coraz nowych i zmiennych wydarzeń.

Dwa tu dołączone listy, tak jak opisy *Karoliny*, obrazami są zabaw wyższego Towarzystwa Warszawskiego, z innéj wprawdzie epoki, lubo z bardzo sobie blizkiego czasu. I one pisane były przez młodą damę, do tegoż towarzystwa należącą, udział w jéj zajęciach mającą; lecz pisane przez nią rzeczywiście, pod datą przy nich wyrażoną, w niczém co do słowa odmienione dziś nie są. Że obyczajem ówczesnym pisane były w mięszaninie dwóch języków francuzkiego i polskiego, to jedno w nich zmienić należało; gdyż ta śmie-

szność jak była zawsze naganną i językowi własnemu szkodliwą, tak życzyć wypada żeby na dal ani wzorów ani naśladowania nie znajdywała.

Warszawa dnia 26 Marca 1808 r.

Kiedy cię bawią opisy moje, więc ci opowiem wczorajszy wieczór pod Blachą. Był to dzień urodzin Xiężnej Würtembergskiej. Znajduje się pod Blachą mały teatrzyk, na którym grywają teraz często komedyą. Wczoraj odegrano naprzód ładną sztuczkę: *Zakład Nieprzewidziany*, którą znasz, bo przed kilku laty grała ją tu pani Sewerynowa Potocka. Potém nastąpiła mimiczna. Przedmiotém jej był Eneasz, żądający od Sybilli Kumejskiej wywołania cienia ojca swego. Sybilla go usypia, i pokazuje mu we śnie Elizejską krainę. Roztwiera się głąb sceny, skąd występuje dwanaście cieni niewieścich, które dokoła rycerzy tańcują powiewając białych róż wieńcami. W końcu ukazuje się cień Anchizesa a za nim Kreuza z małym Juliuszem, którzy przepowiadają uśpionemu wielkie jego przeznaczenie. Tym czasem inne cienie okrążają ród Eneasza, opasując go wieńcami; z przebudzeniem się którego wszystko znika. Taka jest treść obrazu; lecz wierność i bogactwo ubiorów przy wybornem rzeczy oddaniu, uczyniły widowisko szczególnie zajmującém. Będziesz ciekawa osób, które do tego wchodziły. Otóż Sybillą była pani Alexandrowa Potocka, Eneaszem Antoni Potocki, Anchizesem Rau-

tenstrauch, Kreusą Teressa Kicka, Juliuszem mała pani Adamowej Walewskiej. Cienie: pani Cichocka, Anastazowa Walewska, Adamowa Walewska, Łubieńska, Rautenstrauchowa, Zabiełłowa, obie Górskie i Panna Dzierżanowska......

z Warszawy dnia 9 Maja 1808 r.

Dnia 6go tego miesiąca był to dzień urodzin Xięcia Józefa. Na ich obchód ułożyła pani Tyszkiewiczowa świetną zabawę, która się jej szczególnie udała. Wytworność smaku Polek okazała się tu Francuzom w nowym blasku, jakoż istotnie co tylko mogą wyobrażenia, smak i wspaniałość, wszystko to użyte zostało, żeby nadać tej zabawie powabu i okazałości. Ale czas powiedzieć ci, co to było. Wystawże sobie naprzód niezmiernej obszerności salę, zamienioną mnóstwem doborowych drzew, krzewów i kwiatów, w świeży i woniejący ogród. U wejścia sploty różane mieściły w sobie pełno dzieci w postaci jakby ulatających amorkow; te wchodzącemu Xięciu złożyły w darze ozdobny szyszak. Tym czasem ku środkowi ogrodu ukazało się w klombie nimf dwanaście, które snując się pomiędzy drzewy, wykonywały taniec cały w misternych kształtach i obrazach. Postępując w ogród, ujrzał Xiąże w bliskim od wchodu gaiku grono grenadyerów francuzkich i polskich, którzy chórem odśpiewali na cześć jego ułożone wiersze. Dalej nieco lasek pomarańczowy ukrywał grono hiszpanów. Tu przy klawikorcie śpiewała romans panna Kochanowska i xiążę Ludwik Radziwiłł. W innem miejscu widzieć by-

ło wspaniały arabski namiot, bogactwy i barwami wschodu cały świetniejący. W nim rozłożeni arabowie, zachwycali oko pięknością i kosztownością ubiorów. Gdy się do nich przybliżył Xiążę, najpiękniejsza dziewica rzuciła mu chustkę. Idący dalej widzowie, trafili na towarzystwo Katolończyków. Tu słyszyć się dała przy gitarze śpiewka Katalanki, a chór rodaków wtórzył jej z tamburynem i kastanietami. Tu śpiewającą była xiężna Würtembergska. Inny znowu obraz tworzyło grono siedzących przy ogniu cyganów, których przewódzcy pani Alexandrowa Potocka i Michał Grabowski, wróżyli Xięciu przyszłość, co pięknym wierszem polskim oddali. Nakoniec w samej głębi sali wznosiła się świątynia, w której dwadzieścia kapłanek składało ofiarę za szczęście i pomyślność bohatyra świata. Kapłanki te przyodziane w białe suknie, i osłony bogato złotem wyszyte, dyamentami jaśniejące, przedstawiały różnemi postawami urozmaicony obraz, co miało być zajmującego skutku, lecz czego ja ocenić nie mogłam, należąc sama do ich liczby. Gdy Xiąże i całe towarzystwo napatrzyli się dostatecznie obrazom, wszyscy zeszli z miejsc swoich, i rozpoczęto tańce, które przedłużyły się do samego rana. Trudno byłoby ci opisać piękność i szczegóły wszystkich owych ubiorów. Tyle ci tylko w ogóle powiem, że Francuzi przyznali, iż we Francyi i w Paryżu nic piękniejszego nie widzieli.

Edward Baron Rastawiecki.

KALINA.

Czego ty kalino smutna?
Bo młodego Jasia niema.
Powiastka Gminna.

Rosła kalina z liściem szerokiem,
Nad modrem w gaju rosła potokiem,
Drobny deszcz piła, rosę zbierała,
W majowym słońcu liście kąpała.

W Lipcu korale miała czerwone,
W cienkie z gałązek włosy wplecione,
Tak się stroiła jak dziewcze młode,
I jak w lusterko patrzała w wodę.

U téj krynicy u téj kaliny,
Jasio piszczałki kręcił z wierzbiny,
I grywał sobie długo żałośnie,
Gdzie nad potokiem kalina rośnie,

I śpiewał sobie, dana i dana,
I głos po rosie leciał co rana
Kalina suknie świąteczne brała
I jak dziewczyna w gaju czekała.

Aż gdy jesienią w skrzynkę zieloną
Pod czarny krzyżyk Jasia złożono,
Biédna kalina znać go kochała,
Bo wszystkie swoje liście rozwiała:
Żywe korale rzuciła w wodę,
Z żalu straciła swoją urodę.

Teofil Lenartowicz.

MYSZKI NA JARMARKU.

Wybrały się na jarmark razem cztéry myszki.
Myślą sobie: tam mąka, kiełbaski i kiszki,
Dobrzeby co oberwać, ale cóż? gdzież grosze
Różnemi sposobami dostaniem potrosze...
Idźmy, — tu rzekła Matka, ostrożnie dziateczki,
Są tam pieski i kotki i zdradne łapeczki,
Może was wielkie nieszczęście tam czeka,
Piesek jeszcze jak piesek bo on pierwéj szczeka,
Ale koty i łapki... drżę ze strachu cała,
I jam raz na jarmarku wiele strachu miała.
Myszki nic nie zważają i nic się nie boją —

I przychodzą na rynek. Budki rzędem stoją.
Jakże tu wszędzie pięknie: tu mączka bielutka,
Tu groszek zielonawy, tu kaszka drobniutka,
Tu séra krajanki, tu smaczne gomułki,
Tu obwarzanki, tu bułki.
Tu się smażą kiełbasy, a tu syczą kiszki,
Nie mogą nacieszyć się myszki.
Przyjemny zapach wszystkie jednoczy;
A w tém rzeźniczka je zoczy.
„Poczekajcie, myśli sobie,
Śliczny ja wam balik zrobię.“
Wyjmuje łapkę, kładzie słoninkę
Przypieka ją odrobinkę.
Nowy zapach się rozchodzi....
— „E! skosztować nie zaszkodzi,
Zwłaszcza nisko i tak blisko;
To są dla nas specyjały“
Trzask! i myszki się złapały.
Okropnie życie skończyły:
Oj nie będą już więcéj na jarmark chodziły!

Stanisław Jachowicz.

KONIEC.

SPIS PRZEDMIOTÓW

PODŁUG IMION AUTORÓW.